MARZENIE O ODBUDOWIE IMPERIUM

Geopolitycy pchają Polskę do wojny – wskazuje prof. Wielomski

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 49/658 1–7 GRUDNIA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Ambasador Niemiec w Polsce – dyplomata z utajnioną przeszłością

Zagadka przemiany Andżeliki Borys

Rozbiór Ukrainy?

Jakie opcje Kijów ma teraz do wyboru – analizują: Warzecha, Semka, Krupa

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 49>

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 31386a225f

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Gra sprzecznych interesów

Wiele wskazuje na to, że ostatnio ujawniony, 28-punktowy plan pokojowy prezydenta USA Donalda Trumpa skończy tam, gdzie wcześniejsze, a więc w koszu. Powód jest prosty: zbyt wielu ma zbyt wiele do stracenia, żeby mogło się to skończyć w inny sposób.

Inaczej niż większość polskich komentatorów i ekspertów uważam, że przygotowany razem z Rosjanami projekt dawał szansę na zawarcie porozumienia i zakończenia wojny. Uwzględniał bowiem – a to jest warunek kluczowy – realną sytuację na froncie. Nie przyznawał Moskwie niczego więcej niż to, co i tak sobie wywalczyła, pozwalał natomiast przetrwać Ukrainie. Koszty byłyby dla niej znaczące, ale i tak niższe niż te, które będzie ponosiła, jeśli rozmowy ulegną zawieszeniu. Po prostu z każdym kolejnym miesiącem pozycja negocjacyjna Kijowa słabnie. Jeszcze w marcu 2022 r. ukraińscy politycy mogli zawrzeć porozumienie na nieporównanie lepszych warunkach niż obecnie, w listopadzie 2025 r. W tym czasie rosyjska machina wojenna się rozkręciła, a kolejne pakiety sankcji okazały się niezbyt skuteczne. Dlatego wojska ukraińskie znajdują się w coraz gorszej sytuacji.

Dlaczego nie widzą tego politycy w Kijowie? I dlaczego przywódcy europejscy robią wszystko, co w ich mocy, żeby do porozumienia Rosji z Ukrainą nie doszło? Jedni i drudzy nie chcą przyznać, że wojna zakończyła się wygraną Moskwy. O ile zatem interes Ukrainy jako państwa wymagałby jak najszybszego zakończenia działań wojennych, o tyle już całkiem inaczej wygląda to z punktu widzenia kijowskich elit. Ich przedstawiciele muszą wojnę toczyć jak najdłużej z bardzo prostego powodu: bo w przeciwnym razie musiałoby się pojawić pytanie o ich odpowiedzialność za gigantyczne straty ludzkie i katastrofę gospodarczą, którą sprowadzili na swoje państwo. W imię mirażu, czyli przystąpienia do NATO, zaryzykowali wojnę z silniejszym i bezwzględnym przeciwnikiem. Dali się zwieść zachodnim obietnicom i pchnęli swój naród ku tragicznej rozprawie. Dodatkowo wielu z nich obciążają zarzuty korupcyjne, a tylko sprawowana obecnie w sposób dyktatorski władza zapewnia im poczucie bezpieczeństwa.

Żeby zatem osiągnąć z Rosjanami porozumienie, Donald Trump musiałby zdecydować się na posunięcie brutalne, a więc na wymianę obecnego reżimu w Kijowie na inny, który byłby skłonny zaakceptować przegraną. Z kilku powodów jest to przedsięwzięcie trudne. Po pierwsze, sam Donald Trump nie wydaje się mieć spójnej i jasnej wizji tego, co chce osiągnąć. A operacja wymiany władzy na Ukrainie musiałaby zostać przeprowadzona w sposób szybki i stanowczy – chwiejny, zmienny i kapryśny prezydent USA nie jest do tego zdolny. Tym bardziej że tak politycy w Kijowie, jak i ich europejscy sojusznicy doskonale już poznali profil psychologiczny Amerykanina i wiedzą, za pomocą jakich metod – mieszaniny pochlebstwa, lizusostwa i szantażu – storpedować jego działania.

Po drugie, zaplecze polityczne prezydenta Trumpa jest niespójne. Nie bardzo wiadomo, kto do końca i za co odpowiada i jak się mają działania Departamentu Stanu, na czele z Markiem Rubiem, do poczynań osobistych wysłanników prezydenta, jak Steve Witkoff. Jeśli do tego dodać postawę większości przywódców europejskich, którzy robią, co w ich mocy, by Ukraina rosyjskich warunków nie zaakceptowała, przepis na niepowodzenie jest gotowy.

Wszyscy oni, z wyjątkiem Victora Orbána, Roberta Ficy czy być może nowego rządu czeskiego, robią, co mogą, żeby podtrzymać ukraiński opór. Oczywiście tylko w taki sposób, który nie pociągałby za sobą wysłania na Ukrainę własnych żołnierzy i realnego ryzyka wplątania się w wojnę. Jak to wielu z nich przyznawało, podtrzymywanie wojny toczonej przez Ukraińców jest najtańszą formą wykrwawiania Rosji. Po drugie nie da się ukryć, że zawarcie porozumienia na warunkach przygotowanych przez Trumpa i Putina oznaczałoby utratę twarzy przez przywódców europejskich. Przecież to oni konsekwentnie od lat twierdzili, że nikt nie będzie decydować za Kijów, jeśli chodzi o przynależność do NATO i jeśli chodzi o jakiekolwiek ustępstwa terytorialne.

Po trzecie, wszyscy oni należą do liberalnej oligarchii i wykorzystują wojnę na Ukrainie do centralizacji władzy w Unii. Efektem wojny na Ukrainie ma być powstanie całkowicie scentralizowanej Unii Europejskiej, w której żadne państwo nie będzie dysponowało prawem weta, a decyzje dotyczące polityki zagranicznej i obronnej będą podejmowane na szczeblu centralnym. Będzie to Unia w pełni poddana realizacji globalistycznej ideologii z jej wszystkimi elementami. Do tego zaś niezbędne jest podtrzymanie strachu przed Rosją, bo tylko w ten sposób można przekonać zachodnie społeczeństwa do poddania się liberalnej autokracji. Tak długo, jak długo udaje się budzić panikę i przerażenie – Rosja lada moment zaatakuje Zachód – można realizować projekt centralizacji. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

TEMAT TYGODNIA

14 MICHAŁ KRUPA
KRWAWA GRA
Historia im tego nie zapomni

17 PIOTR SEMKA
WE MGLE WOJNY O POKÓJ

20 ŁUKASZ WARZECHA
KONIEC ZŁUDZEŃ

23 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
UKRAINA. KOŃ TROJAŃSKI W UE?

KRAJ

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CYFROWA BEREZA TUSKA
Polityka i cenzura

30 JAN BOGATKO
AMBASADOR NIEMIEC W POLSCE – DYPLOMATA Z UTAJNIONĄ PRZESZŁOŚCIĄ

32 RADOSŁAW WOJTAS
I KTO TO MÓWI?

34 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PSY BEZ KONTROLI

KULTURA

36 STANISŁAW DANIELEWICZ
OLŚNIEWAJĄCA DEKONSTRUKCJA
Szokujący spektakl w słupskim teatrze

38 KRZYSZTOF KOEHLER
MÓWIĆ ZA MILCZĄCYCH

40 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
KRYSTYNA HR. SKARBEK PONOWNIE ZAMORDOWANA

41 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BOHATEROWIE KSIĄG ZBÓJECKICH – ZEPSUTA BUSOLA

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 ADAM WIELOMSKI
POLSCY GEOPOLITYCY MARZĄ O POLSKIM IMPERIUM
Czy geopolityka proponuje wojnę?

49 ROBERT BOGDAŃSKI
CENA KLIMATYCZNYCH ILUZJI

52 KRYSTIAN KRATIUK
KOMU PRZESZKADZA MARYJA?

56 FILIP MEMCHES
LEWICOWE MARZENIE O DOBRYM MUZUŁMANINIE

HISTORIA

58 ANDRZEJ NOWAK
OD SASA DO LASA – I Z POWROTEM
Fragment „Dziejów Polski"

ŚWIAT

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZAGADKA PRZEMIANY ANDŻELIKI BORYS
Pakt „Polka – Łukaszenka"

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
SZTURM „CHIŃCZYKÓW"
Przewodnik „Do Rzeczy" po najpopularniejszych chińskich autach

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (62), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (78), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 31386a225f

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Shawn Thew/EPA/PAP, Sergey Dolzhenko/EPA/PAP, Mikhail Metzel/Sputnik/Kremlin/EPA/PAP**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Pod skrzydłami orła

Szanowni Państwo,
nie wszyscy chcą pamiętać, jak bardzo tolerancyjnym krajem jest od zawsze Polska. Uciekali do niej Żydzi przed pogromami w Europie, przyjeżdżali innowiercy. Azyl mógł nawet znaleźć niejeden homoseksualista, ponieważ tylko w naszym kraju homoseksualizm nie był penalizowany, podczas gdy ostatni przestępca seksualny w Niemczech opuścił więzienie bodaj w 2000 r. Kobiety uzyskały prawa wyborcze w 1918 r., jako drugie na świecie, gdy tymczasem Szwajcarki głosują dopiero od lat 70. ubiegłego wieku.

Wciąż nieprzekonanych z pewnością przekona najnowsza historia. Od czterech lat Polska jest bowiem nie tylko centrum przerzutowym broni, lecz także ludzi i towarów. Nie bacząc na własne interesy, wpuściliśmy bez żadnej kontroli setki tysięcy Ukraińców, obdarzając ich wszelkimi przywilejami oraz masą pieniędzy, a potem wjechały do naszego kraju tony ukraińskich płodów rolnych. W swojej dobroduszności nie tylko wpuszczamy, lecz także beztrosko wypuszczamy podejrzane typy, dywersantów, sabotażystów, podpalaczy, a nawet potężnych malwersantów, również naszych pieniędzy, różnych panów Mindiczów, Serhijów, Oleksandrów, Jewhienijów. Wszyscy sobie wjeżdżają i wyjeżdżają, jak im się żywnie podoba. W związku z tym polscy żołnierze będą teraz maszerować wzdłuż torów kolejowych całymi nocami. A o tej porze roku noce są długie – oznajmił pierwszy żołnierz Polski gen. Kukuła.

Biedni oni, biedni my.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Postkomunista i „przyzwoity marszałek"

Ostatnie wydarzenia w życiu publicznym pokazują kolejny raz, jak systematycznie zanika poczucie herbertowskiego smaku, a w polskim języku rozpychają się słowa i teksty kreujące na przyzwoitych ludzi politycznych przestępców i małych opryszków. Z przykrością stwierdzam, że temu trendowi poddają się często także niezależne media obozu patriotycznego. A oto przykłady:

[...]

2. Większość mediów (również prawicowych) pisze o Włodzimierzu Czarzastym „postkomunista". Nie bardzo rozumiem, co to słowo znaczy, ale wydaje mi się, że pan Czarzasty był, jest i będzie komunistą (z czym się zresztą nie kryje). Stykając się na co dzień z określeniem „postkomunista", powoli nasiąkamy myśleniem, że choć „komuniści to zbrodniarze", ale ich spadkobiercy nazywani postkomunistami to normalni osobnicy z konkurującego obozu politycznego. Jak tak dalej pójdzie, to niedługo słowo „postkomunista" będzie się kojarzyło z przyzwoitym politykiem lewicy, a słowo „prawicowiec" ze spadkobiercą faszyzmu.

3. Wspominając odchodzącego w niebyt polityczny marszałka Szymona Hołownię, wielu publicystów, polityków i zwykłych obywateli podkreśla, jak nadzwyczaj przyzwoicie i szlachetnie zachował się w sprawie zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego. Tak tworzy się kolejna aberracja intelektualna. Marszałek Hołownia zachował się zgodnie z zapisami polskiej konstytucji, tzn. tak, jak każdy normalny człowiek się zachowuje, i nie było w tym nic nadzwyczajnego. Traktowanie tego jako czyn wyjątkowo szlachetny obraża pamięć Inki Siedzikówny, która przed śmiercią pisała: „Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się jak trzeba".

4. Polskie ulice, domy i cmentarze usiane są tablicami o rozstrzelanych bohaterach naszej historii. A przecież w większości wypadków byli to ludzie zamordowani (często strzałem w tył głowy). Trzeba się wreszcie zdecydować, czy gen. Nil, Inka, rtm. Pilecki, polscy oficerowie z Katynia i tysiące obywateli naszej wspólnoty narodowej byli „rozstrzeliwani" czy „mordowani". Wbrew pozorom różnica w określeniu jest bardzo istotna, bo wpływa wyraźnie na pamięć narodową.

Przypominając powyższe fałszerstwa językowe, podkreślam, że w powiedzeniu „słowa kreują rzeczywistość" jest wiele mądrości, oraz zachęcam do przestrzegania tej zasady w mowie i piśmie.

Wojciech Starzyński

eprasa.pl 31386a225f

NA PIERWSZY OGIEŃ

Przy oglądaniu „Heweliusza”

PIOTR SEMKA

Podobnie jak wielu Polaków z zainteresowaniem obejrzałem serial „Heweliusz” w reżyserii Jana Holoubka. To opowieść o tragicznej katastrofie polskiego promu płynącego w styczniu 1993 r. ze Świnoujścia do Szwecji. W środku zimowej nocy, wskutek huraganu, statek zaczął wpierw gwałtownie się przechylać, a potem szybko zatonął. Ostrość dramatu wzmacniało to, że alarm ratunkowy zaskoczył większość pasażerów w środku nocy. Syreny alarmowe wyrwały ich ze snu. Większość z nich nie zdołała ani dostać się do szalup ratunkowych, ani przetrwać w lodowatej wodzie.

Serial „Heweliusz” okazał się ogromnym sukcesem. W ciągu dwóch tygodni na całym świecie serial obejrzało ponad 5 mln widzów. W tygodniu od 3 do 9 listopada producenci odnotowali liczbę 3,3 mln wyświetleń, co zapewniło „Heweliuszowi” czwarte miejsce w światowym rankingu oglądalności Netflixa. Nie wiadomo, ilu było polskich widzów, bo Netflix nie ujawnia wyników oglądalności w poszczególnych krajach. Ale sądząc po skali komentarzy, oglądalność serialu w Polsce jest ogromna.

W jakim stopniu tragiczny los pasażerów polskiego promu kojarzyć się może z coraz większą niepewnością Polaków w sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa naszego kraju? Czy zainteresowanie serialem objawia utajony lęk przed tym, że nagle w Polsce możemy zobaczyć na własne oczy obrazki, które znaliśmy dotąd z Ukrainy? Zburzonych blokowisk, rannych dzieci wygrzebywanych z rumowiska i syren regulujących życie w Kijowie, Charkowie czy Tarnopolu? Ten lęk objawia się choćby w bardzo nerwowych reakcjach na wzmianki o jakiejkolwiek obecności polskich żołnierzy na terenie Ukrainy. W marszach „Polska za pokojem”, które organizuje Grzegorz Braun. Na lęki te wpływają też obawy przed prowokacjami czy to na granicy polsko-białoruskiej, czy też niedawno na linii kolejowej w okolicach Garwolina.

Żadne społeczeństwo nie jest nigdy przygotowane na nagłe przeniesienie się ze świata spokojnej i bezpiecznej konsumpcji do sytuacji, w której nagle ataki rakietowe mogą obracać w perzynę osiedla mieszkaniowe i centra miast. Tyle że my na powolne oswajanie się z tym nowym, groźnym światem mieliśmy trzy lata od wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie.

Jak wykorzystaliśmy ten czas? W Polsce wyjątkowo wolno podejmowane są akcje mogące przygotować ludzi na sytuacje nadzwyczajne. Zamiast szybkiego powrotu w szkołach do czegoś w rodzaju dawnych zajęć przysposobienia obronnego i ratowniczego toczyliśmy do niedawna debatę na temat zajęć z edukacji zdrowotnej. Nie ma nic nienormalnego w tym, że ludzie boją się myśleć, iż ich dobrobyt może rozsypać się dosłownie w ciągu paru tygodni. Ale od rządów można wymagać rozsądnego przygotowania ludzi na najgorsze warianty. Na razie specjalnego programu przygotowywania Polaków na czarne scenariusze nie widać. A utajony lęk objawia się choćby w fascynacji serialem o tragedii, która dopadła ludzi w środku nocy w kajutach promu. ©℗

FAUX PAS TUSKA W STOLICY ANGOLI

Premier Donald Tusk wywołał burzę w mediach społecznościowych, gdy w ubiegłym tygodniu przybył do Angoli na szczyt Unia Europejska – Unia Afrykańska. Powodem nie były słowa szefa polskiego rządu, lecz jego niestosowny wygląd. Podczas uroczystego, oficjalnego powitania na lotnisku w Luandzie premier Polski Donald Tusk kroczył po czerwonym dywanie ubrany w koszulę bez krawata i marynarki oraz sportowe obuwie. ***(jap)*** ©℗

FOT. X.COM/PREMIERRP

KARDYNAŁ RYŚ METROPOLITĄ KRAKOWSKIM

Papież Leon XIV ogłosił w ubiegłym tygodniu, że nowym metropolitą krakowskim będzie kard. Grzegorz Ryś. Dotychczasowy metropolita łódzki zastąpi abp. Marka Jędraszewskiego, który przeszedł na emeryturę. Dla abp. Rysia to powrót do rodzinnego Krakowa, gdzie przed laty posługiwał jako biskup pomocniczy i gdzie był m.in. rektorem seminarium. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 31386a225f

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

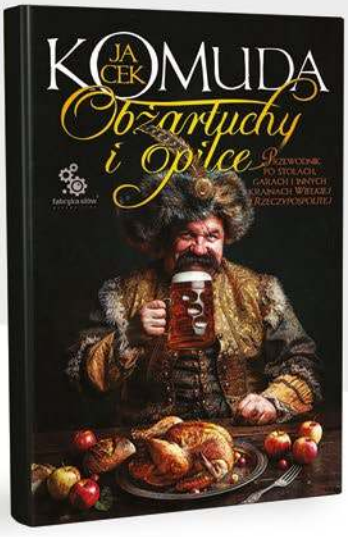

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE" ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~601~~ ZŁ

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 31386a225f

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zagadka Morawieckiego

Mateusz Morawiecki został „wycięty" z zespołu, który przygotowuje program PiS na nadchodzące wybory – doniosły, z nieskrywaną satysfakcją, prorządowe media. W ramach odwetu odmówił występu na kolejnej konferencji programowej PiS. Potem z powodu wykluczenia i samowykluczenia Morawieckiego dojść miało do kłótni na posiedzeniu komitetu politycznego partii, chyba znowu dla Morawieckiego niekorzystnej, skoro mimo poparcia prezesa i wysoko przezeń cenionego prof. Glińskiego były premier miał wyjść, trzaskając drzwiami.

Prawda? Nieprawda? Nie jestem skłonny bezkrytycznie przyjmować wszystkiego, co wspomniane media podają, ale wygląda na to, że wojna „sasinowców" z „morawiecczykami" – czy jakkolwiek tam odczytywać PiS-owskie ruchy frakcyjne – rozpaliła się na całego i że spora część PiS chce się od Matusza Morawieckiego odciąć.

Nie wiem tylko, z którego z dwóch możliwych powodów. Pierwsza możliwość jest taka, że antymorawiecka frakcja zrozumiała wreszcie, że tym, co uwięziło PiS pod „żelaznym sufitem", w dodatku powoli, ale nieubłagalnie osuwającym się w dół, były błędy popełnione podczas ośmioletnich rządów – ustępliwość wobec UE, histeryczne egzekwowanie restrykcji covidowych, Polski Ład ze słynną składką zdrowotną etc. To miałoby sens, ale żaden z „antymorawiecczyków" nic podobnego otwarcie nie mówi. Paradoksalnie, jedynym – jedynym! – politykiem PiS, który otwarcie przyznał, że rząd Morawieckiego „popełnił pewne błędy", jest sam Morawiecki. Bez konkretów, bez przesadnej skruchy, ale jednak publicznie powiedział to w programie Bogdana Rymanowskiego. I właśnie od tego momentu zaczęło się w PiS jego „wycinanie".

Może zatem – i to jest druga możliwość – podpadł nie błędami, które kiedyś firmował swą twarzą, ale tym, że okazał się mięczakiem i przyznał się do nich, łamiąc obowiązującą w PiS zasadę „ani kroku w tył: za nic nie przepraszamy, bo żadnych błędów nie popełniliśmy!"? Czyli że PiS wciąż nic nie rozumie i jest z nim jeszcze gorzej, niż widać na pierwszy rzut oka. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Strategia urojeń

Wpisanie do wykazu prac legislacyjnych Krajowej Strategii przeciwdziałania antysemityzmowi i wspierania życia żydowskiego nastąpiło dokładnie w dniu publikacji Raportu na temat wolności religijnej na świecie, publikowanego przez Pomoc Kościołowi w Potrzebie. Koincydencja przypadkowa, choć wymowna. Raport, obok informacji o krwawych prześladowaniach chrześcijan w Azji, Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Ameryce Południowej, odnotowuje nasilenie się antysemityzmu w Europie Zachodniej i w USA. We Francji odnotowano ponad 1000-procentowy wzrost liczby takich aktów. Tylko w 2023 r. było ich 1676, rok później – co najmniej 106 przypadków fizycznych ataków, w tym gwałt na 12-letniej żydowskiej dziewczynce w Courbevoie. W Stanach Zjednoczonych na kampusach uniwersyteckich doszło do erupcji antyizraelskich protestów – całodobowych demonstracji i okupacji budynków uczelni. Ataki na studentów pochodzenia żydowskiego zmusiły niektóre amerykańskie uniwersytety do przejścia na tryb on-line. Rekordową liczbę antysemickich przestępstw z nienawiści zanotowano także w Niemczech. W 2024 r. było ich 8627, rok wcześniej – 4886. Podobnie było na Wyspach Brytyjskich.

A w Polsce? Oddajmy głos ambasadorowi USA Thomasowi Rose'owi, który na konferencji Międzynarodowego Stowarzyszenia Żydowskich Prawników i Jurystów w Warszawie, odnosząc się do drugiej wojny światowej, zaznaczył, że narzucanie Polsce odpowiedzialności za zabrodnie popełnione podczas drugiej wojny przez inne państwa „jest nie tylko historycznie fałszywe, lecz także moralnie skandaliczne". Komentując obecny stan, stwierdził zaś: „W którym kraju w Europie Żydzi są dziś najbezpieczniejsi? W którym mogą poruszać się bez obaw? Właśnie w nim jesteście: w Polsce". Kancelaria Sejmu, rozpoczynając procedowanie Strategii, żyje chyba – jak widać – w innej Polsce. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

ĆWIERKOT

Zagrożony Myrchą

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Nie no, ludzie, no jak? Ciosy padają z miejsc nieoczekiwanych! Stop. Ja sobie myślałem, że zastąpi mnie z powodzeniem sztuczna inteligencja, która poznawszy moje słownictwo, sposób pisania i tematy, które staram się ujmować w żartobliwą formę, wymyśli algorytm, który napisze jak ja, ale lepiej, szybciej i taniej o połowę (swoją drogą, po co jej aż takie pieniądze?). Stop. Tu się jednak okazuje, że zagrożeniem jest dla mnie nie AI, a Arkadiusz Myrcha, wiceminister sprawiedliwości, który mówi. Stop. Tak, tak, posiadł umiejętność mówienia, zdaje się, na moją zgubę. Wystarczy bowiem Myrchę nagrać, przepisać, co rzekł, i Jastrzębowski wcale nie jest już zabawny. Stop. Zresztą proszę, oto przykład: dziennikarka pyta Myrchę, czy przyszedłby do określonej redakcji i udzielił wywiadu. Na co nasz as: „To już nie do mnie pytanie". Nieco zdziwiona dziennikarka dopytuje: „To do kogo mam się zgłosić?". Na co Myrcha: „Jeśli już, to do mnie bezpośrednio". Jeśli ktoś z państwa słyszał coś głupszego, to proszę o kontakt z redakcją. Stop.

Ludożerka w minionym tygodniu gremialnie natrząsała się z Tuska, który poleciał z oficjalną wizytą do Angoli i niedbałym, niechlujnym ubiorem zaprezentował, że pomocnikiem stróża mógłby być także, a jakże. Stop. Nie narzekajmy jednak za bardzo na ubiór Tuska, bo może to wziąć do siebie i przy następnej wizycie zrezygnować z ubioru. Stop. Nie. Nie chcemy tego oglądać! Stop.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej uznał, że my, Polacy, musimy uznać, że jakiś np. Hans z jakimś np. Zygfrydem wzięli ślub w Berlinie i według tychże z TSUE oni są małżeństwem i my mamy to respektować. Stop. Oczywiście podniosły się głosy oburzenia, że facet z facetem ten tego i że bzdura, i że konstytucja, i że dzieci z tego nie będzie. Stop. Tu pozwolę sobie przypomnieć znaną, choć nie za świeżą wypowiedź pani profesor Moniki Płatek, którą uznano za szaloną, a ona po prostu spokojnie tłumaczyła. Stop. Tako rzecze Płatek: „Jeżeli państwo przyjrzycie się takim państwom, jak chociażby Izrael, Stany Zjednoczone, Skandynawia, to w związkach jednopłciowych rodzi się tyle samo dzieci, a często więcej niż w związkach wielopłciowych". Sądzę, że już wkrótce każdy, kto będzie próbował na gruncie starej, zgniłej, kułaczej i burżuazyjnej biologii negować słowa wielkiej wizjonerki, pójdzie po wyroku TSUE do więzienia, aby nabyć nieco tolerancji. Stop. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

FAJNI NIE SĄ FAJNI

Niemożliwe! Ci, którzy mają się za „fajnych" i na podstawie własnego widzimisię oraz poczucia estetyki dzielili ludzi na „fajnych" i „niefajnych", okazali się być „niefajni". Skomplikowane? To nieco prościej – im więcej ktoś mówi o tolerancji, tym mniej tolerancyjny okazuje się w życiu realnym. Tę prostą, acz niełatwą do przyjęcia prawdę – szczególnie gdy obraca się raczej w kręgach „fajnych" – odkryła i wygłosiła ceniona wokalistka Katarzyna Nosowska. – To,

FOT. FOTON/PAP

co dzieje się w kraju, jeżeli chodzi o taki podział prosty, najprostszy – oczywiście spłycam – ale na dwa obozy polityczne... Ja dawniej myślałam, że ta liberalna frakcja, że oni są ci fajniejsi, bo są bardziej otwarci do wszystkiego – wyznała piosenkarka w prowadzonym wraz z synem podcaście „Bliskoznaczni". – A dla mnie to, że w tym kraju tak jest, obecnie nie znoszę tak samo i jednej, i drugiej [strony – przyp. red.]. Nie znoszę wszystkich, którzy używają pogardy dla drugiej strony. To jest dla mnie straszne – podkreśliła Nosowska. – Dlatego jeżeli ktoś z państwa ma wątpliwości, do którego obozu ja przynależę – otóż ja nie przynależę do żadnego. Mówię to dla tych, którzy myślą, że jestem z tej lewej strony. Nie jestem. Nie jestem w żadnym obozie. Nara – podsumowała wokalistka zespołu Hey. No to teraz okaże się, którzy przyjaciele byli prawdziwi. Weryfikacja nadejdzie szybko.

W SZALE TAŃCA

Aktor Marcin Rogacewicz wyszedł na udziale w „Tańcu z gwiazdami" jak Zabłocki na mydle. Programu nie wygrał, sympatii publiczności też nie zdobył. I to nawet nie jest całkowicie jego wina, ponieważ w centrum była i nadal jest jego taneczna i życiowa partnerka Agnieszka Kaczorowska (wcześniej oboje porzucili małżonków, przemilczmy). Rogacewicza złapał niedawno filozoficzny nastrój. Aktor podzielił się z obserwującymi na Instagramie kilkoma przemyśleniami na temat miłości. „Nie mogę od rana przestać myśleć o miłości. Miłości do teatru, który mnie ukształtował artystycznie. Natomiast od paru miesięcy jestem absolutnie zakochany w tańcu" – rozpoczął. „Taniec uruchomił jeszcze bardziej moją wyobraźnię i ciało. Spowodował, że jeszcze częściej uśmiecham się do siebie. Zacząłem tańczyć nawet we śnie. Ostatnio grałem spektakl w teatrze i nie mogłem w to uwierzyć, jak bardzo taniec odmienił moje aktorstwo. Spowodował ogromną świadomość ciała, ale też dodał mi jeszcze więcej pewności siebie, również na scenie. Kocham tańczyć. Tańczcie" – apeluje do swoich fanów celebryta. Więcej tańca, mniej pisania. Słusznie!

TRÓJKĄT TANECZNY

Z kolei były już mąż Kaczorowskiej, tancerz Maciej Pela, wystąpił w podcaście „Galaktyka Plotek". Zapytano go m.in. o to, czy zdarzyło mu się oglądać show Polsatu, w którym występowała Kaczorowska z Rogacewiczem. – Co drugą niedzielę mam córki pod opieką, a jak nie mam, no to jestem albo w pracy, albo na siłowni. Mój dzień jest dosyć mocno napięty. Poza tym to nie jest taniec, z którym ja się wychowałem. Ja oglądałem każdy odcinek „You Can Dance". Jak nie mógłbym być, bo byłem na zajęciach, to puszczałem sobie powtórki – wskazał. Przyznał jednocześnie, że raz na jakiś czas nagrania z byłą żoną wyświetlają mu się w Internecie. – Algorytm podrzuca roleczki, nie roleczki [...]. No i okej, no i podrzuca. Czasami się coś wyświetli, jak scrolluję, a czasem nie. Wyświetla się i idę dalej – zapewnia. Pela podkreśla, że nowa miłość Kaczorowskiej to nie jego sprawa. – To jest ich życie, ich związek i trzymam kciuki. To jest ich sprawa, niech jakby robią tak, jak chcą [...]. Po prostu, no niech sobie żyją – podsumował. Może wszyscy sobie żyjcie, a nam dajcie spokój?

DŻOANA DO KAROLA

Modelka Joanna Krupa zwróciła się w mediach społecznościowych do prezydenta Karola Nawrockiego z apelem o podpisanie ustawy zakazującej hodowli zwierząt na futra. Celebrytka od lat bierze udział w akcjach mających uświadamiać, że fermy futrzarskie to wielkie zło. „Od ponad dwudziestu lat walczę o prawa zwierząt zarówno w Polsce, jak i na całym świecie. Przez te wszystkie lata widziałam ogrom cierpienia na fermach futrzarskich. Widziałam też, jak bardzo Polacy chcą, aby ten rozdział w końcu się zakończył" – napisała Krupa na Instagramie. Prezenterka zwróciła uwagę, że decyzja Karola Nawrockiego nie jest jedynie polityczna, ale dotyczy fundamentalnych wartości. „Polska jest krajem współczucia, odwagi i wartości. Podpisując tę ustawę, zapisze pan nasze państwo po właściwej stronie historii" – przekonuje Dżoana. Krupa zaapelowała do prezydenta, by wykorzystał swoją pozycję do zakończenia cierpienia zwierząt i zamknięcia „rozdziału, który dawno powinien się skończyć". „Miliony Polek i Polaków, w tym ja, wierzą, że może pan położyć kres cierpieniu, które trwa od lat. W imieniu zwierząt, w imieniu ludzi, którzy od lat o to proszą, bardzo proszę o pana podpis" – podsumowała. Nie żeby coś, ale może Dominik Tarczyński szepnie prezydentowi słówko? ©℗

eprasa.pl 31386a225f

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, piszemy do was niewyspani, zmęczeni i rozdrażnieni. Otósh zaczął się Adwent, a razem z Adwentem zaczęły się roraty, które w naszym korpo nie są obowiązkowe oczywiście, iż pod obecnymi świeckimi rządami mamy rozdział Kościoła od korpo, ale Nowy z Tarnowa i tak wykorzystuje swoją soft power do tego, aby sprawdzać, czy o godz. 6.30 pojawiamy się w kościele z lampionami.

W ogóle te lampiony… Nie po to Prometeusz dał ludzkości prąd, żebyśmy teraz siedzieli wieczorami nad starą instrukcją z pisma dla dzieci „Miś", wyszperaną w kartonie w piwnicy w niewielkim ośrodku, i niczym na zajęciach praktyczno-technicznych próbowali zbudować lampion. Straszny blast from the past i okazuje się, że w związku z ZPT mamy kilka nieprzepracowanych traum, o których trzeba będzie opowiedzieć na terapii: jedno z nas uderzyło się młotkiem w palec, a drugie przypadkiem wsadziło nos w imadło – nie pytajcie.

W każdym razie Nowy nam dał wyraźnie do zrozumienia, że jeśli nie będziemy na wejściu do open spejsa pokazywać mu naklejek z rorat, to on nam się „odwdzięczy" i zobaczymy premie jak prokuratura Ziobrę w Warszawie.

Próbowaliśmy negocjować, iż jedne roraty na cały Adwent będą OK, że przecież musimy być wyspani, aby mieć siły do aktywnej sprzedaży w gorącym okresie przedświątecznym. Rozmowy były twarde, aż zgodziliśmy się na kompromis: dwa razy w tygodniu roraty, ale za to zażądaliśmy wolnego w Wigilię dla całego teamu. Nowy się zgodził, podpisaliśmy oficjalne porozumienie, a potem nas wyśmiał, bo Wigilia w tym roku jest wolna ustawowo. Sami widzicie, iż nieznajomość prawa szkodzi.

W ogóle przez ten śnieg, grudzień, atmosferę na shoppingu itd. zaczęliśmy planować winterholidayowe spotkanie w korpo, ale takie, iżby odbyło się ono bez chrześcijańskiej symboliki, jako iż chcemy mieć Winter Holidays świeckie, różnorodne, nieangażujące religijnie i inkluzywne.

Nowy, jak się dowiedział, to od razu zapytał, kiedy będziemy zapraszać księdza, kto przyniesie opłatki, że może zrobimy jakieś losowanie prezentów, wydrukował śpiewnik z kolędami i rozdał wszystkim do domów w celu nauki oraz poszukiwał chętnej osoby do odegrania na flecie prostym „Lulajże, Jezuniu".

Uznaliśmy, iż w takiej sytuacji to my jednak nie chcemy takiego spotkania w korpo, trudno. Zamiast tego pójdziemy jak normalni ludzie na jakiś ramen czy coś, byle dalej od tego zaściankowego wąsacza. Czy naprawdę do każdej okazji musimy tak na siłę wtrącać akcenty religijne, oczywiście faworyzujące tylko jedno wyznanie?

I uprzedzając wasze pytania: nie, nie zabierzemy go na ramen. Raz, że chcemy mieć trochę świeckiego spokoju i nie ryzykować, iż zacznie ni w pięć, ni w dziesięć śpiewać „Wśród nocnej ciszy", a dwa – że pewnie i tak nie rozróżniłby ramenu od podkarpackiego rosołu i tylko narobiłby nam siary, a my się nie chcemy za niego wstydzić. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Bez marynarki

Donek, jak to było z tą marynarką w Luandzie?
Człowiek taki zakręcony jest, nawet nie wie, dokąd go wiozą. Najpierw myślałem, że do Gdańska lecimy.

No ale… U nas to akurat zimno jest.
No przecież się połapałem, że to nie Trójmiasto. Spojrzałem w dół przez okno, morze co prawda było, ale jakieś slumsy, palmy…

Ale co z tą marynarką?
Normalnie – powiedzieli, że jest 30 stopni. I że do jakichś Murzynów lecimy. No przecież nie będę się dla Murzynów w garnitur wbijał.

He, he, słusznie. Pewnie zjedli jakiegoś polskiego misjonarza. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Szeryf to ktoś, kto stoi po stronie ludzi, kiedy inni odwracają wzrok".

WALDEMAR ŻUREK, *minister sprawiedliwości, prokurator generalny, na X*

eprasa.pl 31386a225f

Nawet w samej partii złe języki mówią, że zamiast wydawać pieniądze, lepiej wydawać się poważnym przeciwnikiem rządu. Tyle tylko że na razie nikt nie wpadł na pomysł „jak"

dwaj panowie g

Nie chce nam się komentować tego, co dzieje się w PiS, gdyż szkoda słów, mamy jednak do zacytowania ciekawe zdanie pewnej ważnej wiewiórki z okolic Nowogrodzkiej. Skomentowała ona nieustanną awanturę wokół Morawieckiego i kłótnie o to, kto jest lepszym PiS-owcem, słowami: „Z partii nie wychodzi się przed wyborami, z partii wychodzi się po wyborach". Zła wiadomość jest taka, że zwykle są to wybory przegrane.

Tymczasem po wystawnej konwencji PiS w Katowicach i nieco mniej wystawnej konferencji w Warszawie w miniony weekend przyszedł czas na ECR Kongres Młodych w Lublinie, dokąd na dysputy udali się Mariusz Błaszczak oraz sam Naczelnik. Głupia sprawa, ale nawet w samej partii złe języki mówią, że zamiast wydawać pieniądze, lepiej wydawać się poważnym przeciwnikiem rządu. Tyle tylko że na razie nikt nie wpadł na pomysł „jak".

Tymczasem na kłopotach wewnętrznych PiS korzystają inni, zwłaszcza Konfederacja Brauna. To wiadomość nienowa. Ale skala przepływu może niektórych zaskoczyć. Jak słyszeliśmy, w najbliższych dniach OGB ma odpalić sondaż, w którym Korona pana Grzegorza ma 10 proc. poparcia. Kupujemy popcorn.

Z rządu. Sprawa znikającej marynarki złego Donalda z Bolandy w Luandzie jest poważniejsza, niż myślicie. W jego sferach marynarki to ważne symbole. Nie tylko dlatego, że są od Armaniego albo takich tam innych. Otóż widzicie, za pierwszych rządów PO, kiedy Rafał Grupiński opuścił salę posiedzeń rządu, by udać się za potrzebą, zostawił na krześle marynarkę. Premier Tusk zrzucił ją na podłogę, wytarł w nią buty i odwiesił na miejsce, obdarowując pozostałych szczerym chłopięcym uśmiechem. A kiedy Grupiński wrócił, nie wiedział, czemu Kierownik i jego koledzy cicho sobie rechoczą. Powstaje pytanie: Kto wyciera sobie buty w marynarkę Tuska, gdy on w koszuli witany jest przez Afroafrykanów z Angoli?

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Powyżej była wersja patetyczna. A teraz wersja przyziemna. Jeśli chodzi o występ Tuska na czerwonym dywanie w Angoli, to nasze wiewiórki twierdzą, że mogło dojść do incydentu w postaci zabrudzenia marynarki premiera treścią żołądkową jednego ze współpasażerów samolotu. Tym razem wątpimy w te doniesienia, bo spojrzeliśmy na obuwie premiera. Doprawdy musiałby to być bardzo rozległy akt zabrudzenia, by jednocześnie wymusić zmianę dwóch tak odległych od siebie części garderoby.

Kontrowersje wizerunkowe z Angoli postanowił zły Donald z Sopotu szybko naprawić po powrocie do Polski. Czym prędzej udał się zatem publicznie do barbera. Co ciekawe, tym razem nie zapomniał marynarki, no ale też gospodarz, znaczy barber, nie był Afroafrykańczykiem. Zainteresowanym objaśniamy, kto to barber: robi to samo co fryzjer, tylko dużo drożej nas to kosztuje i pod inną nazwą. Czyli jest między barberem a fryzjerem taka sama różnica, jak między Platformą Obywatelską w 2007 r. a Koalicją Obywatelską w 2025 r.

Podczas gdy szef bawił się w Angoli, prosty aktyw Koalicji Obywatelskiej brylował na Forum Samorządowym w Zakopanem. Nasze wiewiórki były świadkami takiej oto sceny: w podziemiach hotelu Nosalowy Dwór w pomieszczeniu na przerwy kawowe panowały cisza, spokój i wewnętrzna

prasa.pl 31286a2

harmonia. Do czasu, gdy odkrył je młodociany działacz KO Mikołaj Wasiewicz z kolegami samorządowcami w podobnym wieku. Dzięki jego donośnemu głosowi wiemy już, że ambicje polityczne Mikołaja sięgają o wiele dalej niż „radny dzielnicowy", a koledzy, którzy nie pozwolili mu być przewodniczącym komisji, pożałują swojej decyzji. Jeśli państwo nie znają Wasiewicza, to spieszymy donieść, że jest on gwiazdą portalu X, gdzie wylewa wiadra wazeliny Tuskowi. Wróżymy mu więc szybką realizację gróźb, to znaczy eee, tych no, marzeń.

Natomiast generalnie wiewiórki rozczarowane były charakterem Forum Samorządowego. Otóż po doświadczeniach z Forum Karpacza liczyliśmy na podobne jak tam sceny, to znaczy wspólne rozpijanie. Okazało się jednak, wbrew legendom o bezpartyjności, że samorządowcy to osobniki bardziej partyjne niż posłowie. Chłopy zatem piły z chłopami, libki z libkmi, a prawaki z prawakami. Żadnej, kurdebalans, nowej koalicji.

Apropos koalicji – nasze wiewiórki potwierdzają informacje o tym, że Misiek Kamiński, wicemarszałek Senatu, został obroniony przez chłopów i do końca kadencji ma zachować stanowisko. Nie potwierdzają natomiast, jakoby miał on w 2027 r. kandydować do Sejmu, wskutek znalezienia się na dobre poza paktem senackim, gdyż tego platformersi (obecnie już koalicjersi) nie zdzierżą. Widzimy bowiem inną przyszłość Misia.

Oto szczegóły od wiewiórek: Misio Kamiński rzeczywiście nie będzie mógł kandydować ponownie do izby hejtu i glejtu jako człowiek tzw. obozu demokratycznego. Ale to nic nie szkodzi, bo z tego, co słyszeliśmy, Misio Kamiński chce stratować jako kandydat niezależny. A teraz uwaga: w jego okręgu PiS nie wystawiłby kontrkandydata. Dlaczego? No pomyślcie: A kto zorganizował pół roku temu kolację Hołowni z Naczelnikiem i ocalił tym samym prezydenturę Nawrockiego?

Apropos niezależnych: wielką konfuzję w szeregach Koalicji Obywatelskiej oraz jej sojuszników wywołała sprawa senatora Krzysztofa Kwiatkowskiego, który przez wiele lat był niezależny, ale od zeszłego roku znowu jest w PO, to znaczy teraz w tej no, KO. Wraz z weteranem Peezel Janem Burym dostał wyrok za ustawianie konkursów na posady w NIK. Skąd konfuzja? Wszyscy żyją w przeświadczeniu, że doktryna Sławka Neumanna obowiązuje, więc swoim nie może spaść włos z głowy. No i po wyroku powstał niepokój: Jak to? Cóż, chcieliśmy przypomnieć słynne zdanie Hermanna Göringa: „O tym, kto w Luftwaffe jest Żydem, decyduję ja". Pytanie tylko: Kto jest dzisiaj Göringiem?

Polska znów jest podzielona za sprawą Telewizji Republika. Na jej antenie trio w składzie: raper Wujek Samo Zło, Jakub Maciejewski oraz Piotr Lisiewicz wykonało pospołu piosenkę o Czarzastym. Pół kraju uważa, że była to piosenka żenująca. Drugie pół – że kapitalna. My należymy do drugiej połowy, gdyż ujął nas za serce wers: „Kiedyś lubił ZOMO, teraz lubi homo".

Kontrowersje wizerunkowe z Angoli zły Donald z Sopotu postanowił szybko naprawić po powrocie do Polski. Czym prędzej udał się zatem publicznie do barbera. Co ciekawe, tym razem nie zapomniał marynarki

Z sądu. Otóż po długim procesie była już marszałek województwa lubuskiego, a obecna posłanka Elżbieta Polak zawarła ugodę z również byłymi dziennikarzami „Gazety Lubuskiej". Nasze wiewiórki przyniosły nam treść ugody, w wyniku której mają być opublikowane przeprosiny. Mamy podejrzenie graniczące z pewnością, że pani Polak nie czytała treści tych przeprosin. Albo – co gorsza – czytała, ale nie zrozumiała. Szczegóły poniżej.

Ukrainiec, u którego nasze służby znalazły 46 ruskich paszportów, może odejść wolno i nie trafi do aresztu

Przytaczamy fragment przeprosin: „Przepraszamy Panią Elżbietę Annę Polak, pełniącą w okresie publikacji funkcję Marszałek Województwa Lubuskiego, ponieważ błędem było przypisywanie Pani Polak odpowiedzialności, osobistych zaniedbań i niewłaściwej postawy w związku z opisywanymi wydarzeniami w gorzowskim WORD". Gdybyśmy byli prokuraturą, to podejrzewalibyśmy, że jest to zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa niedopełnienia obowiązków. Bo widzicie, prawo stanowi jasno: nadzór na WORD po prostu należy do obowiązków marszałków.

Pozostajemy w wymiarze sprawiedliwości i rzucamy hasło: Wspieramy polskie sądy! Wszystko to za sprawą decyzji, że Ukrainiec, u którego nasze służby znalazły 46 ruskich paszportów, może odejść wolno i nie trafi do aresztu, choć nie ma u nas ani obywatelstwa, ani stałego adresu zamieszkania. Popieramy! Słusznie! Na co komu ruskie paszporty? Dokąd sobie na nich pojedzie? Do Erytrei? Co innego, gdyby znaleziono paszporty naprawdę coś warte. Na przykład paszporty niemieckie – to byłaby zupełnie inna sprawa.

Kronika towarzyska. Marianna Schreiber rozstała się z kolejnym prawicowym… no właśnie, nie wiemy, jako to nazywać: partnerem, kochankiem, przyjacielem. Nie wiemy dokładnie z którym, bo przestaliśmy liczyć po trzecim. Z tej okazji w odpowiedzi na falę żarcików w soszjalach Marianna lansuje hasło: „Nie szukam faceta!". Niestety, jest z tym hasłem taki sam problem, jak ze zdaniem: „Nie interesuję się polityką!", na które odpowiedź brzmi: „Ale polityka interesuje się panem". ©℗

eprasa.pl 31386a225f

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan (w środku) podczas powitania delegacji z Ukrainy oraz z Rosji przed negocjacjami pokojowymi, 29 marca 2022 r. FOT. SHA DATI/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM

Krwawa gra

Michał Krupa

W kronice wojny rosyjsko-ukraińskiej najbardziej przerażające są nie bitwy, które zniszczyły całe miasta, ani trudne do wyobrażenia liczby ofiar. Najbardziej wstrząsające jest to, że nic z tego nie musiało się wydarzyć. Ta wojna mogła zostać zduszona w zarodku. Mogła zakończyć się, zanim zaczęła się na dobre. Mogła pozostawić Ukrainę niemal nietkniętą, Rosję pewną swojego bezpieczeństwa, a świat oszczędzony przed spiralą, która z każdym miesiącem staje się groźniejsza

W Mińsku i Stambule, w marcu i kwietniu 2022 r., Kijów trzymał wszystkie karty. Zamiast tego zachęcony przez Waszyngton i Londyn Wołodymyr Zełenski zatrzasnął drzwi. To nie była odwaga, lecz pycha, która kosztowała życie ok. miliona Ukraińców i drastycznie ograniczyła potencjał Ukrainy.

Aby zrozumieć skalę tej karygodnej pomyłki, warto odtworzyć strategiczne realia tamtych pierwszych dni. Ciągle trwają dyskusje wśród analityków i komentatorów, czy natychmiastowym celem Moskwy było zdobycie Kijowa w kilka dni, zainstalowanie marionetkowego rządu i ogłoszenie zwycięstwa czy raczej wymuszenie na Ukraińcach szybkiego rozpoczęcia negocjacji. Niezależnie od intencji w pierwszych dniach Ukraina, podbudowana pierwszymi taktycznymi sukcesami i skromnymi dostawami broni z Zachodu, przystąpiła do rozmów. Poparcie dla Zełenskiego przekraczało 90 proc., Zachód narzucił sankcje. Wtedy porozumienie mogło zamrozić konflikt na korzystnych liniach frontu, pozwalając Ukrainie odbudować armię, gospodarkę i sojusze bez spustoszenia trzech lat wojny na wyniszczenie. W pierwszym dniu po inwazji Zełenski potwierdził, że Moskwa skontaktowała się z nim, by omówić negocjacje oparte na przywróceniu neutralności Ukrainy. Trzeciego dnia zaś po inwazji Rosja i Ukraina zgodziły się rozpocząć rozmowy pokojowe, których podstawą miał być rosyjski odwrót wojsk w zamian

eprasa.pl 31386a225f

za neutralność Ukrainy. Zełenski odniósł się do tego warunku przychylnie, a nawet wezwał do stworzenia „zbiorowego porozumienia bezpieczeństwa", obejmującego także Rosję, by ograniczyć rywalizację strategiczną, która doprowadziła do wojny.

CEL: WYCZERPANIE ROSJI

Pierwsza szansa pojawiła się na Białorusi, gdzie delegacje spotkały się 3 marca 2022 r. Już wcześniej główny rozgrywający po stronie ukraińskiej, czyli Waszyngton, sygnalizował jednak, że nie patrzy przychylnym okiem na rozmowy bez warunków wstępnych między Kijowem a Moskwą. Ówczesnego rzecznika Departamentu Stanu, Neda Price'a, zapytano na konferencji prasowej 25 lutego 2022 r.: „Jakie jest stanowisko USA w sprawie skuteczności takich rozmów?". Dziennikarz pytał konkretnie o rozmowy na Białorusi, nazywając je „rozmowami między Rosją a Ukrainą odbywającymi się w Mińsku". Price odpowiedział: „Teraz widzimy, jak Moskwa sugeruje prowadzenie dyplomacji pod lufą karabinu albo gdy rosyjskie rakiety, moździerze i artyleria celują w naród ukraiński. To nie jest prawdziwa dyplomacja. To nie są warunki dla prawdziwej dyplomacji. Jeśli prezydent Putin poważnie myśli o dyplomacji, to wie, co powinien zrobić. Powinien natychmiast przerwać bombardowania ludności cywilnej, rozkazać wycofanie swoich wojsk z Ukrainy oraz jasno i jednoznacznie dać światu do zrozumienia, że Moskwa jest gotowa do deeskalacji".

Stanowisko USA wobec rozmów na Białorusi było więc, delikatnie rzecz ujmując, co najmniej nieprzychylne. Gdyby inwazja miała być szybkim uderzeniem mającym na celu wymuszenie na Kijowie obietnicy nieprzystępowania do NATO – czego Rosji nie udało się uzyskać od Waszyngtonu – cel ten mógłby zostać osiągnięty już w pierwszym tygodniu wojny na Białorusi. Jednak administracja Joe Bidena była innego zdania. W tym kontekście szczególnego znaczenia nabierają słowa Zełenskiego z wywiadu dla „The Economist" z 27 marca 2022 r.: „Są tacy na Zachodzie, którym nie przeszkadza długa wojna, ponieważ oznaczałaby wyczerpanie Rosji – nawet jeśli wiązałoby się to z zagładą Ukrainy i kosztowało życie Ukraińców. Zdecydowanie leży to w interesie niektórych krajów".

Pomimo przeszkód nastąpiła kolejna runda negocjacji, tym razem za pośrednictwem Izraela. Zaledwie kilka dni po zakończeniu drugich rozmów na Białorusi, 6 marca, izraelskie media podały, że ówczesny premier Naftali Bennett złożył niespodziewaną wizytę w Moskwie. Po rozmowach z rosyjskim prezydentem Bennett dwukrotnie kontaktował się z Zełenskim, a także prowadził rozmowy z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem, po czym udał się do Niemiec na spotkanie z kanclerzem Olafem Scholzem. W lutym 2023 r. Bennett ujawnił w wywiadzie, co zostało wówczas uzgodnione, jak blisko sukcesu były rozmowy i co się potem wydarzyło. Według byłego izraelskiego premiera to Zełenski zainicjował prośbę o kontakt z Putinem. Następnie Bennett poinformował Waszyngton, że „cieszy się zaufaniem obu stron", oraz powiedział: „Mam ucho Putina. Mogę być kanałem komunikacji". Putin – jak twierdzi Bennett – zrezygnował z postulowanego wcześniej rozbrojenia Ukrainy i zaproponował „ogromne ustępstwa", żeby możliwe stało się zawieszenie broni. Na pytanie Bennetta, czy zamierza zabić Zełenskiego, Putin odpowiedział wyraźnie: „Nie zabiję Zełenskiego".

Chociaż Amerykanie mówili Bennettowi, że „nie ma szans na sukces", to sam Putin zapewnił go: „Możemy dojść do zawieszenia broni". Bennett twierdził, że Zełenski zrezygnował z wstąpienia do NATO, co miało również być „ogromnym ustępstwem". Putin przekazał przez Bennetta prostą wiadomość do Zełenskiego: „Powiedz, że nie wejdziecie do NATO, a ja nie zaatakuję". Gdy Zełenski złożył już tę obietnicę, chciał w zamian gwarancji bezpieczeństwa. Putin uznał jednak, że takie gwarancje od wielkich mocarstw są równoznaczne z członkostwem w NATO. Dlatego Bennett zaproponował inne wyjście: porzucić gwarancje w stylu NATO i zbudować na Ukrainie silną, niezależną armię na wzór Izraela. Obaj przywódcy – Putin i Zełenski – zaakceptowali to rozwiązanie. Ale również tym razem amerykańska obstrukcja zatrzymała dalszy rozwój tych rozmów. Bennett ujawnił, że Zachód podjął decyzję: „kontynuować uderzanie w Putina".

„Czyli oni to zablokowali?" – zapytał prowadzący wywiad z Bennettem. „Zablokowali" – odpowiedział Bennett. Osoby znające kulisy tamtego spotkania przekazywały wtedy, że Zełenski ocenił propozycję jako „trudną", lecz wcale nie „nierealną", i podkreślał, że „odległości między stanowiskami stron nie są duże". Dziennikarz Barak Ravid na łamach portalu Axios informował, że rosyjskie ustępstwa obejmowały: ograniczenie demilitaryzacji tylko do Donbasu, rezygnację ze zmiany reżimu w Kijowie oraz zachowanie pełnej suwerenności Ukrainy. Zełenski stwierdził, że „ochłonął" w sprawie wstąpienia do NATO, i uznał rosyjską propozycję za „nie tak skrajną, jak się spodziewano". Jednak obstrukcja Białego Domu ponownie sprowadziła negocjacje do martwego punktu.

POROZUMIENIE W STAMBULE

Rozmowy przeniosły się do Stambułu, gdzie turecka mediacja nadała im wyższą rangę. Ołeksij Arestowycz – uczestnik ukraińskiej delegacji w Stambule – ujawnił, że już 9 kwietnia 2022 r. Zełenski i Putin mieli się spotkać osobiście i miało wejść w życie zawieszenie broni. W marcu i kwietniu tego samego roku obie strony prowadziły w Turcji negocjacje i parafowały już „projekt traktatu pokojowego". Jednak zamiast pielęgnować tę realną perspektywę pokoju, Zachód, na czele z USA, aktywnie ją blokował. Turecki minister spraw zagranicznych Mevlüt Çavuşoğlu stwierdził wówczas, że niektóre państwa NATO chciały przedłużać wojnę, aby wyczerpać Rosję. „Po rozmowach w Stambule nie sądziliśmy, że wojna potrwa tak długo. Ale po spotkaniu ministrów spraw zagranicznych NATO odniosłem wrażenie, że w krajach członkowskich NATO są tacy, którzy chcą, aby wojna trwała dalej – niech wojna się toczy, a Rosja dalej słabnie. Nie przejmują się zbytnio sytuacją na Ukrainie".

W artykule opublikowanym w magazynie „Foreign Affairs" Fiona Hill i Angela Stent relacjonowały: „Według wielu byłych wysokich rangą amerykańskich urzędników, z którymi rozmawiałyśmy, w kwietniu 2022 r. negocjatorzy rosyjscy i ukraińscy wstępnie uzgodnili zarys tymczasowego porozumienia negocjacyjnego: Rosja wycofałaby się na pozycje zajmowane 23 lutego (kiedy kontrolowała część Donbasu i cały Krym), a w zamian Ukraina zobowiązałaby się nie dążyć do członkostwa w NATO i zamiast tego otrzymać gwarancje bezpieczeństwa od wielu państw". Arestowycz powiedział, że negocjacje w Stambule

eprasa.pl 31386a225f

były udane i mogły doprowadzić do zakończenia wojny. Stwierdził, że porozumienie stambulskie było przygotowane w 90 proc. i że pozostała jedynie „kwestia liczebności ukraińskich sił zbrojnych w czasie pokoju". Oleksandr Czały, ukraiński dyplomata i uczestnik negocjacji pokojowych z Rosją, potwierdza, że Putin „zrobił wszystko", aby osiągnąć porozumienie pokojowe, a obu stronom udało się „znaleźć bardzo realny kompromis".

Dlaczego więc rozmowy w Turcji nie zakończyły się sukcesem? Arestowycz twierdził, że główną przyczyną miała być masakra w Buczy. Zełenski miał być w kompletnym szoku po ujawnieniu szczegółów zbrodni powszechnie przypisywanej Rosjanom. Istnieje jednak kilka niezależnych świadectw wskazujących, że Bucza miała niewielki lub żaden związek z fiaskiem negocjacji w Turcji. Niektóre źródła sugerują, że decyzja o zerwaniu negocjacji zapadła przed odkryciem ciał w Buczy, inne zaś wskazują, że rozmowy trwały jeszcze pomimo tego. Wszystkie jednak zgadzają się co do tego, że śmiertelny cios dla negocjacji niekoniecznie zadała właśnie Bucza. Były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder, który na prośbę Ukrainy pełnił funkcję mediatora w rozmowach stambulskich, stwierdza, że „podczas rozmów z Umerowem" (kluczowym ukraińskim negocjatorem) „7 i 13 marca nic nie było wiadomo o Buczy". Ten sam wniosek płynie z raportu z listopada 2023 r. przygotowanego przez byłego zastępcę sekretarza generalnego ONZ Michaela von der Schulenburga, emerytowanego generała niemieckiego i w latach 2002–2005 przewodniczącego Komitetu Wojskowego NATO Haralda Kujata oraz emerytowanego profesora nauk politycznych z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie Hajo Funkego. Stwierdzają oni, że „decyzja Ukrainy o porzuceniu negocjacji mogła zapaść jeszcze przed odkryciem masakry cywilów w miejscowości Bucza pod Kijowem".

Istnieją też dowody na to, że Zełenski był gotowy kontynuować rozmowy pomimo informacji płynących z Buczy. 5 kwietnia 2022 r., czyli dzień po wizycie w Buczy, powiedział on ukraińskim dziennikarzom, że to, co stało się w Buczy, jest „niewybaczalne" i że „możliwość negocjacji… będzie wyzwaniem". Dodał jednak: „Trzeba to robić. Myślę, że nie mamy innego wyjścia". Ukraińska opinia publiczna miała podobne zdanie. Socjolog Wołodymyr Iszczenko podaje: „Najbardziej systematyczne dane, które mamy, pokazują, że ukraińska opinia publiczna popierała negocjacje z Rosją w celu zakończenia wojny nawet po Buczy. Sondaż zlecony przez NDI w maju 2022 r. wykazał, że 59 proc. Ukraińców opowiadało się za rozmowami z Rosją".

Samuel Charap i Siergiej Radczenko pisali na łamach „Foreign Affairs" w kwietniu 2024 r., że nawet po ujawnieniu zbrodni w Buczy na początku kwietnia 2022 r. obie strony nadal pracowały dzień i noc nad tekstem traktatu, który mieli podpisać Putin i Zełenski podczas zapowiadanego szczytu. Bucza nie mogła być powodem zerwania negocjacji, skoro projekty porozumienia były dopracowywane jeszcze 12 i 15 kwietnia, czyli 10 dni po wizycie Zełenskiego na miejscu zbrodni. Charap i Radczenko piszą nie tylko, że rozmowy trwały mimo Buczy, lecz także że „nabrały tempa". Wniosek nasuwa się sam: to nie Bucza była przyczyną zerwania ostatniej poważnej szansy na pokój przed eskalacją wojny.

Ukraina miała już szansę na trwały pokój. Jej rzekomi sojusznicy pchnęli ją jednak do wojny

9 kwietnia ówczesny premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson błyskawicznie przyjechał do Kijowa, by powstrzymać Zełenskiego. Nalegał, że Władimira Putina „trzeba przyciskać, a nie z nim negocjować", i nawet gdyby Ukraina była gotowa podpisać jakieś porozumienia z Rosją, „Zachód nie był". Charap i Radczenko podają, że były amerykański urzędnik, który wówczas zajmował się polityką wobec Ukrainy, powiedział im wprost: zamiast poprzeć komunikat ze Stambułu i dalszy proces dyplomatyczny, Zachód zdecydował się znacznie zwiększyć pomoc wojskową dla Kijowa. Mógł wykorzystać istniejący projekt porozumienia – mimo wszystkich jego wad – i aktywnie wspierać dalsze rozmowy. Autorzy zwracają uwagę, że Boris Johnson jasno dał do zrozumienia Zełenskiemu, że „gotowość do rozmów z Rosją" nie była priorytetem dla USA i ich sojuszników. Jak piszą autorzy, zachodnie gwarancje z pewnością wzmocniły determinację Zełenskiego.

Według stanowiska amerykańskiego Departamentu Stanu z tamtego okresu w wojnie na Ukrainie w grę wchodziły „fundamentalne zasady", przez co konflikt stał się „większy niż Rosja" i „większy niż Ukraina", co sugerowałoby szersze geopolityczne machinacje. Wspomniany wcześniej Michael von der Schulenburg twierdzi, że „NATO już 24 marca 2022 r., podczas specjalnego szczytu, podjęło decyzję o niepopieraniu tych negocjacji pokojowych". W czerwcu 2022 r. Boris Johnson mówił przywódcom G7 i NATO, że rozwiązaniem wojny jest „strategiczna wytrwałość" i że „teraz nie jest moment na ugodę ani na zachęcanie Ukraińców do przyjęcia złego pokoju". Również w artykule opublikowanym na łamach „The Wall Street Journal" jak dobry podżegacz wojenny twierdził, że wojna na Ukrainie może zakończyć się wyłącznie „klęską Władimira Putina". Jeszcze przed wizytą Johnsona w Kijowie historyk Niall Ferguson rozmawiał z kilkoma amerykańskimi i brytyjskimi oficjelami, którzy potwierdzili, że zapadła decyzja o „przedłużeniu konfliktu i wykrwawieniu Putina", bo „jedynym możliwym końcem gry jest teraz koniec reżimu Putina".

Ukraina miała więc szansę na trwały pokój, i to znacznie lepszą niż obecnie. Jak pokazuje wiele dowodów, jej rzekomi sojusznicy pchnęli ją jednak do wojny z dużo silniejszym i bardziej zdeterminowanym przeciwnikiem – wojny, która dla każdego, kto nie był opętany antyrosyjską obsesją i zwyczajnie potrafił liczyć, mogła skończyć się choćby kosztownym, ale wciąż zwycięstwem Rosji.

Miliony istnień zniszczone, niezliczone miasta zmienione w gruz, a mimo takiej katastrofy pozostaje gorzka ironia: to, co dziś jawi się – choć niepewnie – jako potencjalna ścieżka do pokoju dzięki planowi Donalda Trumpa, trzy lata temu mogło być w zasięgu ręki. Ludzie władzy w Londynie i Waszyngtonie mieli szansę zakończyć krwawą rzeź, a jednak wybrali świadomą blokadę zamiast rozwiązania. Ciśnie się na usta pytanie o to, jak Boris Johnson i Joe Biden śpią po nocach, wiedząc, jaki jest ludzki koszt ich decyzji. Historia im tego nie zapomni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

We mgle wojny o pokój

Piotr Semka

Prognozy mówiące o możliwości szybkiego zakończenia wojny nie muszą się ziścić. Na dodatek na Ukrainie wzrósł brak zaufania co do intencji Ameryki w tej wojnie. A Chinom może się bardziej opłacać kontynuowanie pomocy dla rosyjskiego brata niż pozwolenie Ameryce na odgrywanie prestiżowej roli mocarstwa, które zaprowadziło pokój w wojnie ukraińsko-rosyjskiej

Jeden z pierwszych teoretyków wojny jako przedmiotu badań naukowych, Carl von Clausewitz, sformułował pojęcie „mgły wojny". Określenie to charakteryzowało stan niepewności i chaosu panujących na polu bitwy. Zjawiska te wynikały z braku dokładnych informacji o siłach i zamiarach przeciwnika, w sytuacji gdy równolegle wszyscy uczestnicy danej rozgrywki na bieżąco prowadzą i modyfikują swoje działania. Wynika to z tego, że w warunkach bojowych gromadzenie dokładnych i aktualnych danych jest niezwykle trudne, a to z kolei prowadzi do podejmowania decyzji na podstawie obrazu sytuacji, która ma wiele znaków zapytania i luk. Z podobnym zjawiskiem mieliśmy do czynienia w ostatnim czasie w kontekście kolejnej odsłony prób stworzenia planu pokojowego, który zakończyłby wojnę między Rosją i Ukrainą. Cały ten przedziwny spektakl z jednej strony miał wiele cech, do których mogliśmy się już przyzwyczaić w ciągu ostatniego roku, a z drugiej strony zaskoczył nas nowymi elementami.

Co jawiło się jako coś znajomego? Któryś już raz powtórzył się ten sam schemat. Oto prezydent Donald Trump ogłasza, że tym razem pokój jest już naprawdę w zasięgu ręki i właśnie ma wspaniały nowy plan, mający zakończyć konflikt na Ukrainie. Zazwyczaj dodaje przy okazji westchnienie, że wojna trwa zdecydowanie za długo, że wciąż niepotrzebnie giną ludzie, a gdyby to on był u władzy w 2022 r., do żadnej wojny by nie doszło.

Potem głos zabiera prezydent Wołodymyr Zełenski, który z wystudiowaną życzliwością wita nowy plan gospodarza Białego Domu, ale jednocześnie twardo podkreśla, że na żadne uszczuplenie granic i praw swej ojczyzny nie pozwoli i bronić będzie podmiotowości Ukrainy za wszelką cenę. Liderzy zachodniej Europy spieszą z dyplomatycznym wsparciem dla Kijowa, a Rosja z pokerową twarzą czeka na wynik tej licytacji. I po jakimś czasie dochodzi do chwili prawdy. Rosjanie albo zaczynają traktować dany projekt serio, ale nigdy nie rezygnują ze swoich żądań wobec Ukrainy, albo wywracają negocjacje do góry nogami. Tym razem, w odróżnieniu od poprzednich prób rozwiązania konfliktu, nową okolicznością jest skala wewnętrznego konfliktu w amerykańskich elitach władzy.

WIELKA KONSTERNACJA

Można odnieść wrażenie, że Trump wysłał swego specjalnego wysłannika Steve'a Witkoffa, aby sprawę załatwił ostatecznie „na skróty" za plecami sekretarza stanu Marca Rubia.

Witkoff nie jest zawodowym dyplomatą, ma w sobie duszę deweloperskiego geszefciarza i zadziwiającą wręcz podatność na rosyjskie techniki perswazji. Po przywiezieniu 28 punktów, które Trump przedstawił jako amerykański plan pokojowy, wiele znaczących postaci w Waszyngtonie przeżyło szok.

Wpływowi kongresmeni, liczący się analitycy z Białego Domu, Departamentu Stanu i Pentagonu zauważyli, że jest to de facto nie żaden projekt kompromisu, a kremlowski koncert życzeń. Istotnie, jeśli wczytać się w pierwotną listę 28 punktów, to niektóre z nich brzmiały po angielsku tak, jakby ich pierwowzór był pisany składnią typową dla języka rosyjskiego. Chodzi tu np. o punkt trzeci: „Oczekuje się, że Rosja nie dokona inwazji na sąsiednie kraje, a NATO nie będzie się dalej rozszerzać". To językowa kalka z typowego dla języka rosyjskiego sformułowania „Ożidajetsa, szto".

Nie wiadomo dokładnie, co się działo w ciągu tych paru dni między powrotem Witkoffa z Moskwy a wyraźną zmianą tonu przez Trumpa.

Jeden z amerykańskich komentatorów nazwał tę miniwojenkę trafnym określeniem – młotkowanie Trumpa pod dywanem. Na pewno spekuluje się, że głównym antagonistą radosnej dyplomatycznej twórczości Steve'a Witkoffa był Marco Rubio, do którego, po pewnym wahaniu, dołączyć miał wiceprezydent J.D. Vance. Ale zwraca uwagę też spory sukces wezwanego do Waszyngtonu na szybkie negocjacje wysłannika Zełenskiego, sekretarza Rady Bezpieczeństwa Ukrainy Rustema Umerowa. Przybysz z Kijowa był na tyle skuteczny w oprotestowywaniu tych punktów

eprasa.pl 31386a225f

planu Witkoffa, które ograniczają suwerenność Ukrainy, że okazało się, iż Amerykanie zgodzili się na wykreślenie aż dziewięciu pozycji z 28-punktowego planu pokojowego. Wszystko to kojarzy się z tak daleko posuniętym brakiem profesjonalizmu w dyplomacji, że wzbudziło to konsternację lub zdumienie w wielu światowych stolicach.

Albo Witkoff powinien wcześniej skonsultować z Ukraińcami, na jakie ograniczenia ich podmiotowości są gotowi, albo też nie przyjmować owych 28 punktów od Rosjan i nie tworzyć sytuacji, w której Trump nazwał je amerykańskim planem pokojowym.

Stało się dokładnie na odwrót. Najpierw Witkoff zaakceptował projekt, który w wielu punktach wiązał ręce Ukraińcom, a na Rosję nie kładł żadnych ograniczeń, a potem, po awanturze w centrum decyzyjnym Waszyngtonu, Trump musiał rakiem wycofywać się z wcześniejszych deklaracji i mamrotać: „To była tylko mapa, taka koncepcja pokojowa, a nie plan". I to samo dotyczyło wcześniejszych gromkich zapowiedzi prezydenta USA, że Ukraina ma czas na zaakceptowanie wcześniejszych 28 punktów do Święta Dziękczynienia, czyli do czwartku 27 listopada. I tu znów Trump musiał zaprzeczyć swoim wcześniejszym deklaracjom i mętnie tłumaczyć, że nie ma żadnego terminu przyjmowania żadnego planu, bo „termin to będzie, jak to wszystko się skończy". A gwoździem do trumny amerykańskiego prestiżu był wyciek do agencji Bloomberga fragmentów rozmów Witkoffa z doradcą Putina, Jurijem Uszakowem. Trudno nie było odnieść wrażenia, że jakaś frakcja CIA czy Pentagonu nie tylko zdobyła dostęp do nagrań dotyczących przecież specjalnego wysłannika prezydenta USA, lecz także nie wahała się ich upublicznić, aby pokazać, że Witkoff był w Moskwie wobec Rosjan jak ciepły wosk.

Kompromitacja Witkoffa zaszkodziła Trumpowi również w obozie republikanów. Krytyka takiej niepoważnej polityki płynie nawet ze strony republikańskich kongresmenów, którzy wspierali jakąś formę unormowania relacji USA z Rosją.

Republikański kongresman Brian Fitzpatrick nazwał wyciek nagrań z Witkoffem „poważnym problemem" i skrytykował „absurdalne przedstawienia i tajne spotkania" administracji. Wezwał wreszcie, by umożliwić sekretarzowi stanu Marcowi Rubiowi „wykonywania swojej pracy w sposób sprawiedliwy i obiektywny".

A Rosjanie jak zwykle zachowują pokerową minę i na razie unikają jakichkolwiek komentarzy. Zadbali jednak, by do zachodnich korespondentów dotarła opinia, że dawny plan 28 punktów po wykreśleniu z nich dziewięciu pozycji ograniczających w dużej mierze suwerenność Ukrainy przestał być przez nich traktowany jako punkt wyjścia do dalszych negocjacji. Donald Trump wzruszył ramionami, wsiadł w odrzutowiec i poleciał pałaszować tradycyjnego indyka w swojej rezydencji Mar-a-Lago na Florydzie.

Kiedy dojdzie do szczytu Trump-Zełenski? Na razie nie wiadomo.

Jak mawiają Włosi: „Finita la Commedia", czyli komedia jest skończona. A przynajmniej jest najnowszy akt. Co zobaczymy po ponownej odsłonie kurtyny?

KTO KOGO?

Wracamy więc do tego, co Rosja i Ukraina znają i praktykują od trzech lat. Dalszej wojny, której kolejnymi akcentami są parokilometrowe ruchy cofania się lub posuwania się na froncie, bandyckie rosyjskie naloty na osiedla cywilne na terenie Ukrainy, ciosy w ukraińską infrastrukturę energetyczno-komunikacyjną oraz odwetowe ataki dronowe Kijowa na rosyjską infrastrukturę krytyczną. I o ile w sferze projektów pokojowych mamy do czynienia z mgłą, o tyle w jeszcze większym stopniu możemy jedynie podejrzewać i zgadywać, jak bardzo wycieńczone przedłużającym konfliktem są obie strony. Ponieważ nie ma żadnych badań, można tylko zgadywać, w jakim stopniu społeczeństwo ukraińskie wymęczone jest wojną na tyle, by opowiedzieć się na szerszą skalę za pokojem nawet przy zagrożeniu swojej suwerenności. Jednakże niewiele wiemy, choć tutaj pewnych czynników ekonomicznych nie da się ukryć, w jakim stopniu Rosja dochodzi do realnego załamania gospodarki.

35 proc.

O TYLE ROK DO ROKU SPADŁY ROSYJSKIE DOCHODY PAŃSTWOWE Z ROPY I GAZU W LISTOPADZIE 2025 R.

Ci, którzy zachęcają do akceptacji rosyjskich żądań, lubią wskazywać, że już wielokrotnie wyznaczano daty rzekomego ostatecznego załamania się gospodarki Rosji, ale ta dzięki kroplówce z Chin jakoś wciąż utrzymywała się na nogach. Jednak żaden kraj, nawet tak duży jak Rosja i potrafiący wytworzyć tak sztywną dyscyplinę społeczną, w której nie ma miejsca na antywojenne protesty, nie może w nieskończoność znosić efektów daleko posuniętych sankcji. A okoliczności zaczynają być dotkliwe dla Putina. Reuters wskazuje, że rosyjskie dochody państwowe z ropy i gazu miały spaść w listopadzie 2025 o 35 proc. rok do roku, do poziomu 520 mld rubli (6,59 mld dol.), co jest wynikiem gwałtownego spadku cen rosyjskiej ropy i umocnienia rubla. Średnia cena rosyjskiej ropy typu Urals od stycznia tego roku spadła z 68,3 do 57,3 dol. Oznacza to spory spadek dochodów z eksportu surowców energetycznych, które wcześniej tradycyjnie stanowiły ok. jednej czwartej budżetu Rosji. Wszystko to w sytuacji, gdy Rosja

eprasa.pl 31386a225f

Amerykańsko-ukraińskie rozmowy w Genewie na temat propozycji planu pokojowego, 23 listopada 2025 r. FOT. FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS

przeznacza na obronność 32 proc. wszystkich wydatków budżetowych. Oczywiście po drugiej stronie Ukraina też ponosi ogromne koszty, ale te jednak równoważone są, choćby w pewnym stopniu, przez dotacje zagraniczne.

W Polsce, szczególnie po prawej stronie, coraz częściej formułowane są lekceważące opinie o naszym wschodnim sąsiedzie jako o państwie skorumpowanym i wyniszczonym. Stąd np. obraźliwe określenie „upadlina". Ale zapominamy, że jest to jednocześnie kraj, który wskutek potrzeby wojennej stworzył jeden z najlepszych przemysłów zbrojeniowych na świecie i który opanował do perfekcji coś w rodzaju przedziwnej mieszanki sprawnej gospodarki rynkowej z aktywną i ofensywną taktyką wojenną.

Oznacza to, że Ukraina dysponuje na tyle poważnym potencjałem militarnym i dyplomatycznym, że Ameryka nie może w prosty sposób nagle sparaliżować ją działania. Owszem, może pozbawić jej informacji geostrategicznej – głównie satelitarnego i elektronicznego zwiadu, ale decyzja taka, mimo że używana jako pogróżka wysyłana z otoczenia Trumpa, też nie byłaby taka łatwa do wcielenia w życie. Jeśli istnieje w Waszyngtonie na tyle silne lobby wśród republikańskich kongresmenów, urzędników administracji Trumpa i generałów, aby sparaliżować misję Witkoffa w Moskwie, to z pewnością nie będzie ono obserwować obojętnie ewentualnych projektów odcięcia Kijowa od amerykańskiej pomocy wojskowej i finansowej.

Ale oczywiście zwrot przez rufę Ameryki i ustawienie się w roli pośrednika między Rosją a zachodnią Europą i Ukrainą pozostaje zmorą, która straszy przede wszystkim Ukraińców, ale także nas – Polaków, a wreszcie państwa bałtyckie, grupę państw nordyckich i last but not least – Turcję. Ukraina w tej wojnie ma jeden cel – zachować suwerenność wobec Rosji. Pod tym względem nawet utrata jakiejś części wschodnich terytoriów nie jest dla niej tak groźna, jak znacznie gorsza wizja zamienienia Ukrainy w jakiś rodzaj niegdysiejszego polskiego Królestwa Kongresowego. Tworu, który powstał wskutek traktatu wiedeńskiego w 1815 r. i który potem podlegał faktycznie widzimisię Rosji.

Dwudziestoośmiopunktowy plan Putina-Witkoffa (bo tak faktycznie trzeba go nazwać) nie tylko był rosyjskim dyplomatycznym wytrychem, mającym uczynić z Ukrainy faktyczny protektoriat Rosji, lecz także stanowił groźne memento dla krajów w naszej części Europy jako układ sytuujący Amerykę w roli zewnętrznego mediatora w relacjach na linii zachodnia Europa – państwa środkowej Europy – Ukraina – Rosja. Ukraina będzie przeciwko temu statusowi walczyć do końca. A nawet jeśli Zełenski pod wpływem jakiegoś potwornego nacisku by to zaakceptował, to wywoła to konflikt wewnętrzny w wojsku ukraińskim i w świecie ukraińskiej polityki.

NA WSCHODZIE BEZ ZMIAN

Niedawno wykryta afera korupcyjna, której tropy sięgają otoczenia Zełenskiego, często przedstawiana jest w Polsce jako dowód na degenerację Ukrainy. Moim zdaniem w dużym stopniu niesłusznie. To, że afera ta wyszła na jaw i przedostała się do opinii publicznej, pokazało, że w państwie ukraińskim działają jednak mechanizmy oczyszczające, nawet jeżeli cała ta ponura plątanina interesów fatalnie oświadczy o prezydencie Zełenskim. Na pewno przyniosła Ukrainie zewnętrzne straty, bo wszyscy przeciwnicy pomocy dla Ukrainy mogą wskazywać, że nie ma gwarancji, iż zewnętrzne dotacje mogą nie trafiać do prywatnych kieszeni.

Jednak przypomnijmy, że sprawa ta wyszła w ogóle na jaw, że Zełenski był zmuszony zdymisjonować dwóch ministrów, którzy mogli być zamieszani w aferę, i że zmuszony został do ogłoszenia, iż wspiera śledztwo prowadzone przez biuro antykorupcyjne.

Wszystko to oznacza, że kolejne prognozy mówiące o możliwości szybkiego zakończenia wojny nie muszą się ziścić. Na dodatek na Ukrainie wzrósł brak zaufania co do intencji Ameryki w tej wojnie.

A Rosja z kolei, niezależnie od tego, jak bardzo kończy się jej finansowa kroplówka, zawsze może zakładać, że Chińczykom bardziej opłacać się będzie kontynuowanie pomocy dla rosyjskiego brata niż pozwolenie Ameryce na odegranie prestiżowej roli mocarstwa, które zaprowadziło pokój w wojnie ukraińsko-rosyjskiej.

Na razie więc – „na wschodzie bez zmian".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

FOT. STRINGER/REUTERS/FORUM

Koniec złudzeń

Łukasz Warzecha

Wykrwawiona i zniszczona gospodarczo Ukraina – która przecież jest Polsce potrzebna jako bufor oddzielający nas od Rosji – dramatycznie potrzebuje pokoju, aby zacząć się odbudowywać jako państwo. Jest to w naszym interesie: pokój i tak wreszcie zapanuje, ale im później to się stanie, tym mniej wydolna i bardziej niestabilna będzie Ukraina

Ilekroć zaczyna się kolejna faza dyplomatycznych zabiegów wokół wojny na Ukrainie, tylekroć w Polsce mamy do czynienia z falą publicystyki histerycznej. Podekscytowani publicyści, a z nimi część polityków, o domorosłych analitykach nie mówiąc, na wyprzódki potępiają Waszyngton, deklarują, że stoją murem za Kijowem, a pojawiające się propozycje lub działania amerykańskiego prezydenta są „skandaliczne" lub „haniebne". Komentariat grzeje się w blasku swojej moralnej wyższości, a politycy grają w swą ulubioną grę „Kto bardziej nienawidzi Putina". Rezultat tego, poza samozadowoleniem kilku tysięcy osób, jest zerowy. I nie inaczej jest tym razem, gdy Donald Trump rozpoczął następną dyplomatyczną ofensywę.

Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na specyficzną grupę komentatorów, ogarniętych już wprost obsesjami. Oto Piotr Zaremba opublikował w „Rzeczpospolitej" – gazecie pod obecnym kierownictwem prezentującej w sprawie konfliktu rosyjsko-ukraińskiego stanowisko całkowicie bezrefleksyjnie, w zasadzie jednoznacznie propagandowe – artykuł, który w dwóch trzecich jest poświęcony tygodnikowi „Do Rzeczy". Nie ma w tym tekście ani akapitu poświęconego sytuacji wojennej, ocenie szans Ukrainy na osiągnięcie celów, które stawia sobie Kijów, jej aktualnemu potencjałowi militarnemu, wydajności pomocy Zachodu czy w ogóle czemukolwiek, co ustawiałoby rozważania autora w realnym kontekście. Nie ma tego, ponieważ prawdopodobnie Zaremba nie ma na ten temat zielonego pojęcia, co zresztą jest jego znakiem firmowym. Za to, niczym psychofan, przeglądać musiał z wielkim zaangażowaniem wydania naszego tygodnika, wynotował bowiem, że w tym roku na 46 okładek „aż 13 dotyczyło wojny za naszą wschodnią granicą i naszych relacji z Ukraińcami". To zaiste zaskakujące: Jak tygodnik opinii może tyle miejsca poświęcać na wojnę, która toczy się w sąsiednim kraju?!

Nie ma tu symetrii: o ile Piotr Zaremba jest psychofanem „Do Rzeczy", o tyle ja nie jestem psychofanem Piotra Zaremby, nie będę zatem wyliczał, w ilu swoich tekstach poświęconych Ukrainie wymieniał nasze pismo czy moje nazwisko. Wiem natomiast, że znajdowałem te wzmianki w każdym jego tekście o Ukrainie, na który trafiałem.

Artykułu Zaremby nie polecam, bo zmarnują państwo kilkanaście minut swojego cennego czasu, a nie dowiedzą się państwo niczego. Całość mogę tu streścić: „Do Rzeczy" rozmawia z Braunem, Braun jest zły i nie lubi Ukrainy, więc „Do Rzeczy" też jest złe i nie lubi Ukrainy, a nastroje się zmieniają na antyukraińskie i nasz tygodnik może sobie pogratulować. Jarosław Kaczyński jest proukraiński, ale inni w PiS już niekoniecznie. A poza tym „i Konfederacja Korony Polskiej, i kierownictwo redakcji »Do Rzeczy« to dziś po prostu regularni sojusznicy interesu politycznego Putina". Koniec streszczenia.

ZABÓJCZA ULEGŁOŚĆ

Nie po raz pierwszy ze strony Zaremby pojawia się utożsamienie realistycznego oglądu sytuacji na Ukrainie z obroną interesu Rosji i Putina. To standard nie tylko u tego autora. Sam niezliczoną liczbę razy pisałem, że polska debata na temat wojny ukraińsko-rosyjskiej jest żenująco infantylna i pełna chciejstwa. Fundamen-

eprasa.pl 31386a225f

tem jest podejście słusznościowe: nie mówimy o tym, co jest i co realnie być może, ale o tym, co uważamy, że jest właściwe. Doświadczone dyplomacje, z rosyjską na czele, skręcają się ze śmiechu. Podsumowaniem rezultatów takiego podejścia także ze strony polskiej klasy politycznej jest nasza pozycja w aktualnych negocjacjach – zerowa. Uczciwie sobie na nią zapracowaliśmy, będąc od początku wojny najłatwiejszym, by nie powiedzieć: najbardziej frajerskim partnerem i dla Kijowa, i dla Waszyngtonu.

Jest to w głównej mierze zasługa poprzedniej władzy, bo to ona wytyczyła kurs radykalnie proukraiński, a polityka pełnego uzależnienia i uległości wobec Stanów Zjednoczonych była częścią programu politycznego PiS od dawna. Gdyby traktować poważnie wynurzenia Mateusza Morawieckiego i Andrzeja Dudy, nasza ofiarna postawa od lutego 2022 r. miała nam przynieść wielkie korzyści i olbrzymi wpływ na przyjmowane w sprawie Ukrainy rozwiązania. Donald Tusk z kolei jako jeden ze swoich głównych atutów wymieniał zawsze „wpływ na Europę" i wspaniałe kontakty w europejskich stolicach oraz w Brukseli. Finał tych samozachwytów nad polską szlachetnością i poświęceniem dla Ukrainy oraz naszą siłą w UE jest taki, że nasi przedstawiciele nie zostali nawet uwzględnieni w rozmowach Europejczyków w Genewie – mających marginalne znaczenie dla kształtu ewentualnego porozumienia – a cóż dopiero w głównych negocjacjach prowadzonych przez stronę amerykańską.

O ile oczekiwanie, że Polska znajdzie się w nich obok Ukrainy i Rosji – na razie niespotykających się ze sobą bezpośrednio – można uznać za nieracjonalne i wygórowane, o tyle już jakaś forma wcześniejszych konsultacji z Warszawą byłaby przecież możliwa. Tak się jednak nie stało. I to mimo że w pierwotnej wersji porozumienia – jeśli wierzyć medialnemu przeciekowi na portalu Axios – Polska była bezpośrednio wymieniona. Jeden z punktów miał mówić, że „europejskie myśliwce będą stacjonować w Polsce", co przez publicystycznych histeryków zostało natychmiast zinterpretowane jako zapowiedź, że nie będzie u nas samolotów amerykańskich. Jako żywo nic takiego z tego zapisu nie wynikało.

W planie znalazł się również punkt dotyczący członkostwa Ukrainy w Unii Europejskiej: „Ukraina może zostać przyjęta do UE i przed podjęciem decyzji na ten temat otrzyma preferencyjne warunki dostępu do europejskiego rynku". Co ciekawe, polscy politycy, oburzający się przeciekami na temat amerykańskiego planu, ten akurat punkt pomijali, a tymczasem był on najmocniej sprzeczny z polskim interesem wśród wszystkich 28 punktów planu. Tyle że cały polityczny mainstream uznał wejście Ukrainy do UE za korzystne dla Polski i przyjął je jako dogmat. Wyjątkiem są Konfederacja oraz Konfederacja Korony Polskiej. Bardziej wstrzemięźliwie na ten temat wypowiadał się również prezydent Karol Nawrocki, jednak w jego przypadku mowa była o problemie z kwestiami historycznymi, podczas gdy powody polskiej niezgody na przyjęcie Ukrainy do UE są poważniejsze. To przede wszystkim przekierowanie funduszy UE w jej stronę, przeniknięcie do struktur Unii korupcji na skalę dotychczas niespotykaną czy zawiązanie sojuszu politycznego z Niemcami – co może być dla naszego kraju szczególnie groźne wobec nacisków na rezygnację z weta w kolejnych dziedzinach, kluczowych dla suwerenności państwa. Zapowiedź przyznania preferencyjnych warunków dostępu do wspólnego rynku – co już w dużej części ma miejsce – w okresie przedakcesyjnym jest już zaś wprost dla Polski zabójcza. Oznacza to dla Ukrainy wszelkie korzyści z wolnego handlu z UE bez konieczności spełniania unijnych norm. W intencji autorów szkicu porozumienia miało to być zapewne osłodzenie Ukrainie konieczności ustępstw na innych polach oraz sposób na powiązanie jej politycznie z Zachodem.

Przy czym trzeba zastrzec, że skrajne emocje związane z planem pokojowym są o tyle bezzasadne, że przecież cały czas mówimy o medialnych przeciekach i spekulacjach. Nikt nie potwierdził ani nie ogłosił oficjalnie przedkładanych stronom propozycji.

REALNE SPOJRZENIE

We wspomnianym tekście Piotr Zaremba stawia dramatyczne pytanie: „Jaką drogę obierze w tej sytuacji prezydent Nawrocki, próbujący łączyć retorykę antyrosyjską z odsuwaniem się od Ukrainy i symbiozą z administracją Trumpa?". Spójrzmy na wpis, który był bodaj jedynym publicznym komentarzem prezydenta, dotyczącym przecieków medialnych na temat planu pokojowego. Karol Nawrocki napisał:

„Pojawiające się propozycje zakończenia rosyjskiej wojny przeciw Ukrainie muszą uwzględniać fakt, że Rosja jest państwem niedotrzymującym umów.

Każdy plan pokojowy zmierzający do zakończenia wywołanej przez Federację Rosyjską wojny na Ukrainie musi zostać zaakceptowany w Kijowie. To Ukraina padła ofiarą zbrodniczej agresji Putina i to Ukraińcy, przy wsparciu Stanów Zjednoczonych oraz krajów UE, muszą mieć decydujący głos w rozmowach pokojowych.

Wszelkie ustalenia dotyczące pokoju i bezpieczeństwa Europy mogą zapadać wyłącznie z udziałem wszystkich zainteresowanych stron.

Polska debata na temat wojny ukraińsko-rosyjskiej jest żenująco infantylna i pełna chciejstwa. Fundamentem jest podejście słusznościowe: nie mówimy o tym, co jest i co realnie być może, ale o tym, co uważamy, że jest właściwe

Ceną za pokój nie może być w żaden sposób osiągnięcie celów strategicznych przez agresora, a agresorem była i jest Federacja Rosyjska".

Gdyby uznać ten wpis za wyraz faktycznych poglądów głowy państwa, a nie jedynie za gest publicznej dyplomacji, wnioski nie byłyby optymistyczne. Argument o niedotrzymywaniu umów przez Rosję jest standardową kliszą, powielaną przez główny nurt. Tyle że w historii relacji międzynarodowych żaden pokój czy porozumienie nie były wiecznotrwałe i w tym sensie państwa generalnie umów nie dotrzymują. W dyplomacji istnieje też tzw. klauzula rebus sic stantibus, czyli generalne zastrzeżenie, że umowa zawarta w określonych okolicznościach może przestać obowiązywać niejako sama z siebie, jeśli te okoliczności mocno się zmienią.

Wszystko to dotyczy porozumień tak fundamentalnych dla światowego ładu

eprasa.pl 31386a225f

jak pokój westfalski z 1648 r., kończący krwawą wojnę trzydziestoletnią, czy traktat wersalski z 1919 r., zamykający pierwszą wojnę światową. Nikt chyba nie sporządził miarodajnej statystyki umów niedotrzymanych przez różne państwa świata. Zapewne Rosja zajmowałaby w niej wysokie miejsce, ale możliwe, że wcale nie pierwsze. Tylko co ma z tego wynikać? Że nie należy z nią negocjować zawieszenia broni lub pokoju? Czy może po prostu – co byłoby truizmem – że porozumienie musi być zabezpieczone jakiegoś typu gwarancjami? Trudno powiedzieć. Karol Nawrocki tego nie pisze.

Ci, którzy inicjatywy pokojowe uznają za zdradę, faktycznie bliżsi są stanowisku Kremla, który niespecjalnie pali się do zakończenia działań zbrojnych

Podobnie standardowe jest przekonywanie – czego pan prezydent nie robi wprost, ale wynika to pośrednio z jego słów – że Ukraina jest w tej wojnie podmiotem. To nieprawda – jest przedmiotem wojny zastępczej, której praprzyczyną jest, że wciągnięcie Kijowa w amerykańską strefę wpływów Rosja uznała za zagrożenie dla siebie. Słusznie czy nie – to temat odrębnego sporu. Oczywiście formalnie Kijów musi się zgodzić na proponowane warunki, ale absurdem jest twierdzenie, że ma rolę decydującą. Takiej roli siłą rzeczy nie może odgrywać państwo całkowicie uzależnione od międzynarodowej pomocy, więc faktycznie niesamodzielne, o bardzo ograniczonej suwerenności. Z pewnym podziwem należy odnotować, że Kijowowi i tak udaje się w tej sytuacji grać niejako ponad swoje faktyczne możliwości. Tego moglibyśmy się uczyć od Ukrainy.

Wreszcie kluczowe dla obecnej sytuacji jest ostatnie zdanie wpisu pana prezydenta. Podobnie jak główny nurt także Karol Nawrocki wydaje się bowiem kwestionować założenie, że Rosja musi w porozumieniu dojrzeć dla siebie korzyść, jeśli ma je zawrzeć. Jedyną sytuacją wojenną, w której warunki można jednej ze stron narzucić, jest ta, gdy strona ta zostaje całkowicie pokonana i następuje jej bezwarunkowa kapitulacja. Była to sytuacja Niemiec po drugiej wojnie światowej – co mimo wszystko skończyło się, po nauczce z międzywojnia, sięgnięciem po względnie umiarkowane środki.

Rosja w żadnym wypadku w takiej sytuacji nie jest i nie będzie, ponieważ mogłoby to być jedynie następstwem potencjalnie katastrofalnej dla świata wojny globalnej i totalnej. Przeciwnie – mimo że oczywiście ponosi koszty działań na Ukrainie, to jednak jej zasoby są o wiele większe niż zasoby przeciwnika. W ostatnim czasie odnosi też ograniczone, ale jednak sukcesy na froncie. W polskich mediach pojawiły się pełne oburzenia głosy po wizycie, którą kilkanaście dni temu złożył w Kijowie zaangażowany niedawno w negocjacje amerykański sekretarz armii Dan Driscoll. Miał on zapowiadać Ukraińcom, że przegrają wojnę z Rosją. Ta realistyczna ocena stosunku sił, zamiast typowego dla naszej dominującej narracji chciejstwa pod hasłem „Ukraina musi wygrać!", wzburzyła polskich idealistów.

LEPIEJ PRĘDZEJ NIŻ PÓŹNIEJ

Czy porozumienie będzie oferowało Rosji na tyle dużo, aby uznała, że opłaca się jej bardziej niż kontynuowanie wojny? Trudno powiedzieć. Ciekawym punktem jest kwestia możliwości wejścia Ukrainy do NATO. Faktycznie jest to całkowicie nierealne i tak się nie stanie. Ukraina – według medialnych przecieków – wiedząc przecież o fikcyjności swoich NATO-owskich aspiracji, twierdzi nie bez racji, że Rosja nie powinna mieć prawa głosu w sprawie przynależności jakiegokolwiek kraju do organizacji, której nie jest członkiem. Ponadto Rosja, choć również świetnie wie, że Ukraina do NATO nie wejdzie, chce mieć to na piśmie jako świadectwo swojego sukcesu i osiągnięcia jednego z zakładanych celów wojny. Wydaje się też, że porozumienie będzie musiało sięgnąć po formułę przekazania Rosji jakichś jeszcze przez nią niezajętych terytoriów, lecz jedynie de facto, a nie de iure. Jak wielokrotnie wskazywałem, to dyplomatyczny zabieg, który pozwala osiągnąć sytuację, w której wilk jest syty i owca cała.

O ile Rosję do akceptacji propozycji pokojowych trzeba przekonać, o tyle Ukraina ma znacznie mniejsze pole manewru. Jej największymi problemami są demografia i brak ludzi – a tu akurat Rosja ma gigantyczne zasoby, na dodatek będąc państwem autorytarnym, a więc nie musząc się przejmować nastrojami społecznymi. „Ukraina stoi w obliczu ogromnych problemów, ponieważ mężczyźni uciekają za granicę" – alarmował w połowie listopada portal Politico, powołując się m.in. na wypowiedzi mera Kijowa Witalija Kliczki. Obszernie o masowym exodusie mężczyzn dobiegających wieku poborowego pisał też m.in. amerykański „The New Yorker". W polskich mediach temat właściwie nie istnieje, a szkoda, bo to właśnie Polska jest pierwszym celem ucieczek młodych mężczyzn od czasu, gdy we wrześniu pozwolono na opuszczanie kraju przez Ukraińców w wieku od 18 do 22 lat, podczas gdy wiek poborowy zaczyna się od 25. roku życia. Niektórzy ukraińscy politycy, tacy jak wspomniany Kliczko, domagają się, aby obniżyć go do 18 lat. Nic dziwnego, że młodzi Ukraińcy masowo wyjeżdżają, nie czekając, aż może zapaść taka właśnie decyzja. To głosowanie nogami jest nawet lepszym probierzem nastrojów w ukraińskim społeczeństwie niż sondaże, pokazujące, że blisko 70 proc. opowiada się za jak najszybszym zakończeniem walk w drodze negocjacji, podczas gdy do końca walczyć ma jedynie 24 proc., co jest niemal dokładnym odwróceniem proporcji z początku wojny (sondaż Gallupa z sierpnia tego roku).

W przekazie polskich wojennych podżegaczy uderza, że właściwie to oni są dzisiaj funkcjonalnymi sojusznikami Putina, z czego najwyraźniej nie zdają sobie sprawy. Wykrwawiona i zniszczona gospodarczo Ukraina – która przecież jest Polsce potrzebna jako bufor oddzielający nas od Rosji – dramatycznie potrzebuje pokoju, aby zacząć się odbudowywać jako państwo. Jest to w naszym interesie: pokój i tak wreszcie zapanuje, ale im później to się stanie, tym mniej wydolna i bardziej niestabilna będzie Ukraina. A tym samym – tym mniej przydatna będzie dla nas. Ci, którzy inicjatywy pokojowe uznają za zdradę, faktycznie bliżsi są stanowisku Kremla, który niespecjalnie pali się do zakończenia działań zbrojnych, uznając wciąż, że kontynuowanie walk daje mu więcej profitów. Po czyjej zatem stronie stoją tak naprawdę Piotr Zaremba i jemu podobni?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, socjologiem, byłym wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Ukraina. Koń trojański w UE?

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/FAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Gdy rozmawiamy, nie znamy jeszcze ostatecznego kształtu planu pokojowego przedstawionego przez administrację prezydenta Trumpa, który ma doprowadzić do zakończenia wojny na Ukrainie. Jednak wiele wskazuje na to, że częścią tego planu jest przyłączenie Ukrainy do Unii Europejskiej. Jakie konsekwencje ten fakt będzie miał dla Unii?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Oczywiście nie do końca to jest jasne, dlatego że przyszłości nie da się przewidzieć. Najogólniej rzecz biorąc, perspektywa wejścia Ukrainy do Unii Europejskiej w zasadzie znajduje wsparcie we wszystkich analizach, które się pojawiają. Takie jest też stanowisko władz Unii. Podkreśla się wszystkie zalety tego kroku w postaci poszerzenia rynku wewnętrznego czy stabilizacji Ukrainy w kontekście geopolitycznym. Natomiast wszyscy wiemy, że ewentualne dołączenie Ukrainy do Unii będzie się też wiązało z wieloma problemami. Przeciwnicy jej szybkiej akcesji wskazują, że jest to państwo nieposiadające sprawnej, odpowiadającej standardom administracji.

Toczone przez raka korupcji...

Czego dowodem jest ostatnia afera na szczytach władzy, poprzedzona – jak wiadomo – próbą zlikwidowania agencji antykorupcyjnej przez prezydenta Zełenskiego. Dodajmy do tego kontrolę gospodarki i życia politycznego przez oligarchów czy niejasne stosunki własnościowe, wreszcie zagrożenie dla konkurencyjności rolnictwa w krajach Unii ze strony ponadnarodowych holdingów operujących na Ukrainie. Skądinąd nie wiadomo, jak włączenie ukraińskiego rolnictwa do Unii rzutowałoby na finalizowaną w tej chwili umowę z Mercosur.

Cały ten bagaż problemów byłby dla Unii Europejskiej ogromnym wyzwaniem. Nie brakuje głosów, że akcesja Ukrainy dodatkowo pogłębi kryzys tożsamości unijnej i funkcjonowania Wspólnoty Europejskiej.

Trzeba wziąć także pod uwagę fakt, że gdyby Ukraina stała się częścią Unii, to jako duży kraj – choć już nie tak duży jak przed laty, gdy jej populacja sięgała 50 mln – dysponowałaby z tego tytułu znacznymi uprawnieniami. Tak należałoby oczekiwać, co przekładałoby się

eprasa.pl 31386a225f

wprost na ogromny wpływ na decyzje podejmowane w Unii Europejskiej.

Mówimy o akcesji Ukrainy do Unii jak o rzeczy wręcz oczywistej, a przecież to właśnie odrzucenie umowy stowarzyszeniowej Ukrainy z UE przez władze w Kijowie doprowadziło na przełomie lat 2013 i 2014 do drugiego Majdanu, obalenia prezydenta Janukowycza, a krótko później do interwencji zbrojnej ze strony Rosji. Czy Moskwa jest w stanie przełknąć wejście Ukrainy do Unii Europejskiej, nawet jeśli kraj ten pozostanie poza strukturami NATO?

Mamy dziś do czynienia z inną jakościowo sytuacją polityczną. Zapis zezwalający Ukrainie na wejście do Unii Europejskiej w tzw. planie pokojowym należy traktować jako rodzaj zabezpieczenia dla Moskwy, której przede wszystkim zależy na tym, żeby Ukraina definitywnie pozostała poza NATO. I nie stanowiła dla niej zagrożenia militarnego. Poza tym w amerykańskim planie zapisano, że Rosja uzyskałaby terytoria ukraińskie, które teraz okupuje. Sądzę, że spełnienie tych warunków spowodowałoby, że Moskwa nie oponowałaby przeciw członkostwu Ukrainy w Unii. A jeśli ta wojna zakończy się zwycięstwem Rosji – a to najbardziej prawdopodobny scenariusz – to nie można wykluczyć, że Rosja będzie realizowała plan odbudowy swoich wpływów na Ukrainie.

Być może aktualności znów nabierze pytanie, które ponad 20 lat temu stawiano w Niemczech, kiedy do Unii przystępowała Polska. Niemcy zastanawiali się wówczas, czy nasz kraj nie będzie koniem trojańskim Stanów Zjednoczonych w Unii. Ukraina w Unii potencjalnie może stać się koniem trojańskim Rosji. Narzędziem kontroli Unii. Mieliśmy już Rosjan w Parlamencie Europejskim. Mam na myśli panią Tatjanę Ždanokę, która reprezentowała w niej Łotwę. Później okazało się, że była związana z rosyjskim wywiadem. Przyjmuje się, że agresja zbrojna Rosji wzmocniła poczucie ukraińskiej tożsamości narodowej. Ale trzeba pamiętać, że miliony Ukraińców nadal posługują się językiem rosyjskim i pozostają pod wpływem kultury rosyjskiej. Nie można wykluczyć społecznego regresu świadomości ukraińskiej wśród części ludności Ukrainy. Poczucie autoidentyfikacji z Rosją dziś na Ukrainie słabe, za 10 czy 15 lat może się wzmocnić.

Obecność Ukrainy w Unii będzie dla Polski zagrożeniem?

Ukraina stabilna i europejska, a nie pogrążona w chaosie i rosyjska, jest oczywiście w naszym interesie. Należy się jednak obawiać, że obecność Ukrainy w Unii zmieni w niej układ sił na naszą niekorzyść. To skutek jednoznacznej orientacji Ukrainy na Niemcy. Zwykle kraje uboższe czy słabsze szukają możnego protektora. Rezygnują z autonomicznej polityki, godząc się na to, żeby to państwo dominujące uprawiało ją na swoich zasadach. Bardzo istotną rolę odgrywają także względy historyczne. Prezydent Zełenski niewątpliwie przyjął orientację proniemiecką. Oczywiście musi się liczyć z Amerykanami, ale jeśli chodzi o Unię Europejską, to kurs Ukrainy na Niemcy jest oczywisty. Reasumując, proces akcesji Ukrainy do Unii na pewno będzie niezwykle skomplikowany i trudno a priori zakładać, że przyniesie pozytywne rezultaty. Nie wiemy, jak będzie ostatecznie, ale znaków zapytania jest bardzo wiele.

Ukraina stabilna i europejska, a nie pogrążona w chaosie i rosyjska, jest oczywiście w naszym interesie. Należy się jednak obawiać, że obecność Ukrainy w Unii zmieni w niej układ sił na naszą niekorzyść. To skutek jednoznacznej orientacji Ukrainy na Niemcy. Zwykle kraje uboższe czy słabsze szukają możnego protektora

Czy amerykański plan pokojowy, jeśli przybrałby ostatecznie postać zbliżoną do dyskutowanej obecnie, de facto nie sankcjonuje rozbioru Ukrainy? A Niemcom daje carte blanche do budowy Mitteleuropy z Ukrainą jako jej kluczowym komponentem?

De facto jest to rzeczywiście podział Ukrainy, bo łączy się z jej stratami terytorialnymi. W pewnym okresie dyskutowano wręcz o trzech strefach. Jedna z nich, środkowa, miała mieć status neutralny, kontrolowana w założeniu przez europejskie siły pokojowe. Wschód Ukrainy byłby dominium Rosji, a zachodnie regiony stanowiłyby niezależne państwo ukraińskie. Tej koncepcji nie należy jeszcze definitywnie odrzucać.

Co do niemieckiej Mitteleuropy, to historyczne związki ukraińsko-niemieckie są silne. Niemcom nigdy nie przeszkadzał nacjonalizm ukraiński. Przeciwnie, był przez nich wspierany, podczas gdy zawsze przeszkadzały im niepodległościowe dążenia czy próby budowania silnego państwa w Polsce. Myślę, że pod tym względem, abstrahując już od spraw ogólnounijnych, znajdziemy się w trudnej sytuacji. No chyba że, choć byłoby to niezwykle trudne, część Ukraińców wybrałaby opcję polską. Nie dzielą nas bariery językowe, a znaczna część Ukraińców w Polsce zaadaptowała się w naszym kraju. Jest jednak kluczowy element, który nastraja sceptycznie do tego procesu. Po stronie ukraińskiej nie widać żadnej skłonności do zmierzenia się z trudną przeszłością.

Ukraińcy nie przyznają się do ludobójstwa Polaków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. I nic nie wskazuje, żeby ta polityka miała się zmienić.

Krytyczne rozliczenie się z własną przeszłością w zasadzie powinno być jednym z warunków przystąpienia Ukrainy do Unii. Tymczasem nikt o takim warunku nawet nie wspomina.

Czy to nie paradoks, że zbrodnicza ideologia banderyzmu, do której odwołują się ukraińskie elity państwowe, okazuje się nie być żadną przeszkodą na drodze włączenia Ukrainy do Unii? Ba, mówi się nawet o przyspieszonej, szybkiej ścieżce akcesji.

Te podwójne standardy są niezwykle charakterystyczne. Po części wynikają one z ignorancji historycznej, ale ta ignorancja jest świadomie podtrzymywana z powodu interesów politycznych. Pewne fakty są celowo pomijane ze stro-

eprasa.pl 31386a225f

ny tych, którzy doskonale znają historię. Każdy przejaw tego, co uchodzi za nacjonalizm czy antysemityzm w Polsce, natychmiast wywołuje falę oburzenia. Często są to zupełne absurdalne obawy; incydenty są rozdmuchiwane przez media, szczególnie niemieckie czy anglojęzyczne media niemieckie w Brukseli, jak „Politico". W wypadku nacjonalizmu ukraińskiego alarmu nie ma. Wiele razy widziałem, jak europosłowie w Parlamencie Europejskim często bezmyślnie wznosili okrzyki: „Sława Ukrainie!". Można było zaobserwować nawet swego rodzaju rywalizację w manifestowaniu gorących uczuć do Ukrainy. Ale o wymogu wobec Ukraińców, żeby spojrzeli krytycznie w swoją przeszłość, odcięli się od faszyzującego nacjonalizmu, nigdy nie było mowy. Kiedyś było to zawsze warunkiem przystąpienia do Unii Europejskiej.

Unia Europejska jest obsesyjnie wyczulona na każdy przejaw antysemityzmu, a przecież był on integralnym komponentem banderyzmu. W Brukseli nikomu nie przeszkadza, że na Ukrainie stawia się pomniki Bandery i Szuchewycza. Ukraińskie pułki SS i UPA są odpowiedzialne nie tylko za eksterminację Polaków, lecz także Żydów.

Wystarczy przywołać pogrom we Lwowie w 1941 r. Wiemy jak antypolskie, antyżydowskie, posłuszne niemieckiemu totalitaryzmowi były Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów oraz UPA. III Rzesza posługiwała się Ukraińcami, a oni mieli nadzieję, że dzięki niej uda im się zbudować państwo ukraińskie. Symptomatyczne jest, że kraje, które były sojusznikami Niemiec podczas drugiej wojny światowej, korzystają i dziś z pewnej taryfy ulgowej ze strony Berlina. Oczywiście nie można przekreślać scenariusza optymistycznego – budowaniu sojuszu z Ukrainą na podstawie wspólnego dziedzictwa, przypomnienia dobrych stron polsko-ukraińskiej historii.

Sytuacja po ewentualnym wycofaniu się lub ograniczeniu obecności USA w Europie wymaga od nas podjęcia nowej, ofensywnej polityki na zachodzie Europy, szybkiego wzmacniania naszej pozycji regionalnej, a zwłaszcza realistycznej oceny naszego sojuszu z USA

Mam wrażenie, że to wspólne dziedzictwo Polaków i Ukraińców zostało zatracone. Scenariusz sojuszu polsko-ukraińskiego jawi się jako bardzo mało prawdopodobny.

To skomplikowana sprawa. Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem" raz po raz powtarza, że płynie w nas pobratymcza krew.

Ale pisze też, że „nienawiść zatruła krew pobratymczą"...

Właśnie. Można by zatem spróbować z historii wywieść inne konkluzje, których na początku XX w. narodowy ruch ukraiński nie chciał wyprowadzić – pokonać nienawiść, ożywić pokrewieństwo Ukraińców, którzy wykazują taką dążność, czasami spotykamy. Ale zgadzam się z panem, że pozytywny scenariusz polsko-ukraiński jest mniej prawdopodobny. Więcej jest dobrej woli po polskiej niż po ukraińskiej stronie. Nasza siła polega na tym, że jesteśmy krajem atrakcyjnym dla wielu Ukraińców. Chodzi o to, żeby Polska nie była atrakcyjna tylko jako miejsce do mieszkania i robienia interesów, by atrakcyjna stała się także nasza kultura, by moglibyśmy coś wspólnie budować na bazie nowego odczytania naszej przeszłości.

Zakładając, że Donald Trump dopnie swego, doprowadzi do pokoju między Rosją a Ukrainą i skoncentruje się na rywalizacji z Chinami na teatrze dalekowschodnim, czy nie wytworzy to strategicznej próżni w Europie? Czy w takich realiach ciąg dalszy rozgrywki o nowy podział stref wpływów Europy jest nieunikniony? Kolejna wojna o sukcesję europejską jest tylko kwestią czasu? Co dalej z Rosją?

Nie należy nie doceniać Rosji. Miały ją złamać kolejne fale sankcji ekonomicznych Zachodu, ale tak się nie stało. Jest to państwo, które ze względu na charakter narodowy Rosjan może dużo wytrzymać. Rosja ma imperialne tradycje, jest silna kulturowo, zdeterminowana, scentralizowana. Pozostanie niebezpieczna. Sytuacja po ewentualnym wycofaniu się lub ograniczeniu obecności USA w Europie wymaga od nas podjęcia nowej, ofensywnej polityki na zachodzie Europy, szybkiego wzmacniania naszej pozycji regionalnej, ale przede wszystkim realistycznej oceny naszego sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Jednak z obecnym bezrządem nie będzie to możliwe.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 31386a225f

Rafał A. Ziemkiewicz

FOT. ADOBE STOCK

Cyfrowa Bereza Tuska

Wzorcowa wolność mediów na Zachodzie zawsze była mitem – jednym z wielu wyznawanych zwłaszcza u początku III RP, z tego samego pakietu „mądrości" postmagdalenkowego establishmentu, co „kapitał nie ma narodowości" czy „wyroków sądów się nie komentuje"

W istocie, by uświadomić sobie, jakim fałszem było wskazywanie ich Polakom jako wzorca niezależności i pluralizmu, trzeba było zdrowego rozsądku i odwagi zadawania prostych pytań. Na przykład: jeśli więcej niż połowa obywateli Europy opowiadała się, w chwili przyjęcia przez kraje „starej Unii" wspólnej waluty, przeciwko temu, to gdzie można w „wolnych" europejskich mediach znaleźć ich zdanie? Gdzie, w jakim medium, mogli wyrazić swe poglądy ci Francuzi i Irlandczycy, którzy w referendum zagłosowali przeciwko przyjęciu „unijnej konstytucji"? Okazało się, że stanowią oni większość, ale żaden z istniejących wtedy „środków masowego przekazu" nie udostępnił im łamów ani czasu antenowego, argumenty „przeciw" w debacie publicznej krajów uważanych przez nas za wzór wolności słowa zostały w jakiś niejasny dla Polaków sposób starannie ocenzurowane i wycięte.

Co dopiero mówić o tych, którzy znaleźli się w mniejszości! Jeśli wierzyć badaniom opinii publicznej, są w niej obecnie w krajach „starej Unii" przeciwnicy aborcji czy „małżeństw" jednopłciowych. Pozostają jednak na tyle liczni, że potrafią organizować np. wielomilionowe manifestacje. Jeśli nawet przyjąć, że stanowią zaledwie jedną czwartą obywateli, to przecież, gdyby zachodnimi mediami rzeczywiście, jak nam wmawiano, rządziły prawa rynku, ćwierć społeczeństwa dysponuje wystarczającą siłą nabywczą, aby jej głos, argumenty i emocje znajdowały w publicznym dyskursie odzwierciedlenie. Tymczasem nic podobnego, ani śladu.

Mało kto pamięta, że to właśnie pierwszy z przywołanych tu przykładów – całkowite wyrugowanie z mediów argumentów przeciwko wprowadzeniu waluty euro, które w istocie okazało się decyzją pochopną i nieprzemyślaną, która wpędziła kraje unijnego południa w systemowy kryzys – dał impuls do powstania w Niemczech partii AfD. W ten sposób mechanizm zmonopolizowania mediów przez „jedynie słuszne" elity władzy zaczął szwankować. Wciąż jednak działa, choć – jak widzimy – przestał już być skuteczny o tyle, o ile w krajach „starej Unii" powstały ugrupowania, z pogardą nazywane przez owe elity „populistycznymi".

eprasa.pl 31386a225f

Nadal nie daje się im głosu w prasie, czasopismach i programach telewizyjnych, otaczane są „kordonowymi" koalicjami, wypychane na różne sposoby z życia publicznego (w Niemczech posunięto się nawet do złamania konstytucji, odmawiając AfD gwarantowanych w niej funkcji parlamentarnych) – ale mimo to rosną, sięgając już po poparcie w granicach jednej piątej, a nawet jednej czwartej społeczeństwa.

UDERZENIE W „NOWE" MEDIA

Istnieje zasadnicza zgoda co do tego, dlaczego, pomimo skutecznej zmiany rzekomej „czwartej władzy" w posłusznego sługę trzech pierwszych, ten bunt jest możliwy. To skutek przede wszystkim rewolucji komunikacyjnej, którą przyniosły Internet, media społecznościowe i upowszechnienie smartfonów. Ludzie pozbawieni dostępu do mediów tradycyjnych odnaleźli się w tych nowych, tam porozumieli, zorganizowali i dzięki temu zyskali możliwość działania.

Zmiana tego stanu rzeczy i objęcie „nowych" mediów taką samą kontrolą, jaką swego czasu udało się objąć telewizję, radio i druk, jest od dawna troską lewicowo-liberalnych elit. Troską słabo ukrywaną, ale jednak ukrywaną. Nikt z grona unijnych urzędników ani polityków realizujących ich polecenia w krajach członkowskich nie powie otwarcie, że taki właśnie cel przyświecał tworzeniu Aktu o usługach cyfrowych (Digital Services Act) – unijnego rozporządzenia, obowiązującego od lutego 2024 r., które nakłada na dostawców usług internetowych odpowiedzialność za udostępniane treści, zobowiązując jednocześnie wszystkie państwa unijne do wprowadzenia do ustawodawstwa krajowego zasad i procedur cenzurowania Internetu.

Nawet przy pobieżnej lekturze nowego prawa widać zasadnicze niebezpieczeństwo

Polska uczyniła to właśnie pod koniec listopada: spełniającą wymagania DSA nowelizację ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną uchwalił Sejm, została ona teraz wysłana do Senatu, gdzie trudno spodziewać się jakiejkolwiek sensownej refleksji nad nowym prawem czy bodaj dłuższego namysłu. Następnie nowelizacja trafi na biurko prezydenta. Być może propagandowa kampania rządu, oskarżającego go o „wetowanie wszystkiego" i „legislacyjny sabotaż" oraz przedstawiająca oczywistą, konstytucyjną prerogatywę prezydenta jako coś horrendalnego, jakiś współczesny rodzaj liberum veto, jest obliczona na ten właśnie moment. Ustawa jest bowiem kluczowa dla interesów lewicowo-liberalnego establishmentu – zarówno tego unijnego, jak i jego miejscowych wypustek.

Nie można oczywiście odmówić słuszności oficjalnie używanym przez niego argumentom. Handel „żywym towarem" bez wątpienia jest złem, które powinno być zwalczane – i to, można złośliwie dodać, także wtedy, gdy jest ubrany w szaty „prouchodźczych" fundacji i NGO'sów, współpracujących ściśle z gangami przemytników ludzi. Państwa i ich służby specjalne powinny mieć możliwość usuwania z Internetu treści popularyzujących narkotyki czy służących popełnianiu innych przestępstw. Przestępcy błyskawicznie nauczyli się wykorzystywać nowe metody komunikacji i prawo powinno za nimi nadążyć. Tak, to wszystko prawda. Tylko że trudno mieć zaufanie, iż wyłącznym celem unijnej „klasy panującej", której interesy realizuje gorliwie obecna władza, jest walka z prawdziwymi patologiami, a nie chęć wykorzystania jej do uderzenia w tak dla niej niewygodną sferę „nowych mediów". Tym bardziej że wielokrotnie mieliśmy już dowody, iż polscy politycy chętnie wykorzystują argument „konieczności" implementowania prawa „europejskiego" do wprowadzania przepisów znacznie od wymagań surowszych, a często nawet wcale przez unijne dyrektywy niewymaganych. Mniejsza o to, czy wypadki takie (np. w kwestii „prania pieniędzy" czy dostępu do broni) wynikały z nadgorliwości i chęci konkretnych osób i formacji politycznych, by „zasłużyć się" w oczach unijnych elit, czy były cynicznym nadużyciem – doświadczenie uczy, żeby się szczegółom przyjętej przez Sejm nowelizacji starannie przyjrzeć i wniknąć w jej szczegóły.

URZĘDNICY ZAMIAST SĄDU

Nawet przy pobieżnej lekturze nowego prawa widać zasadnicze niebezpieczeństwo. O tym, jakie treści są dopuszczalne, a jakie nie, mają decydować urzędnicy, którzy pochodzą z nominacji rządzących partii, mówiąc wprost – z politycznego układu. Szczególnie dotyczy to prezesa Urzędu Komunikacji Elektronicznej, który podejmować ma lwią część tego typu decyzji. Jedynie tam, gdzie chodzi o podejrzenie działania na szkodę konsumentów i producentów, a więc przede wszystkim o nadzór nad platformami handlowymi, decyzje powierza ustawa prezesowi Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, a w wypadku platform wideo – Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji, której niezależność jest większa.

Co prawda, ustawa daje możliwość odwołania się od podejmowanych przez urzędników decyzji do sądów, ale nie precyzuje żadnej osobnej procedury ani nie zobowiązuje sądów do rozstrzygania takich spraw w określonym terminie. Czyni to drogę odwoławczą fikcją.

eprasa.pl 31386a225f

Istnieje tu bardzo wymowny precedens, który nakazuje zawetowanie ustawy w takim kształcie. Procedura oddająca władzę nad treściami internetowymi prezesowi UKE funkcjonowała już w polskim prawie telekomunikacyjnym, w formie szczątkowej, jako możliwości uznaniowego blokowania przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego portali internetowych, które uznała za zagrażające porządkowi publicznemu. ABW wykorzystała tę możliwość w marcu 2023 r. wobec portalu tygodnika „Najwyższy Czas!", zarzucając mu „szerzenie propagandy rosyjskiej". Uzyskanie wyroku pierwszej instancji, stwierdzającego bezprawność i bezpodstawność tej decyzji, trwało 22 miesiące, a prawomocne jego potwierdzenie – jeszcze kolejne pół roku.

W trakcie tych zmagań przyznano właściwie otwarcie, że portal zablokowano nie tyle za konkretne naruszenie, ile po to, aby do niego nie doszło. Było to więc oczywiste złamanie Konstytucji RP, która jednoznacznie zakazuje cenzury prewencyjnej. O nowelizacji implementującej do polskiego prawa DSA można powiedzieć to samo. O tym, co jest treścią dozwoloną, a co „niebezpieczną", o tym, co jest prawdą, a co fake newsem albo „rosyjską dezinformacją", decydować ma partyjny nominat, a nie żaden sąd?

Do złudzenia przypomina to zasady regulujące przed wojną działanie „miejsca odosobnienia", jak eufemistycznie nazwano oficjalnie obóz koncentracyjny dla wrogów sanacji w Berezie Kartuskiej. Przypomnę, że kierowano do niego właśnie na mocy decyzji administracyjnej, w praktyce bez możliwości odwołania – chyba że uchylenie tej decyzji zawdzięczało się prywatnej protekcji. Tak jak było z poetami Tuwimem i Słonimskim, których do Berezy chciał wsadzić za pacyfistyczne wiersze sprzed kilkunastu lat minister Kasprzycki, ongiś dowódca legendarnej Pierwszej Brygady, a których obronił po znajomości bardziej legendarny gen. Wieniawa-Długoszowski, były adiutant samego Piłsudskiego. Stanisław Cat-Mackiewicz takiego legendarnego protektora nie miał, więc za „dezinformujący" artykuł, podważający urzędową propagandę o polskiej mocarstwowości, w obozie wylądował.

Pozostawianie takiej decyzji do uznania urzędnika, który – wedle ustawy – nawet za najbardziej niesłuszne postępowanie nie poniesie potem żadnej kary, poza mocno wątpliwą „odpowiedzialnością polityczną", byłoby nie do przyjęcia nawet, gdybyśmy mieli u władzy ludzi godnych zaufania, szanujących prawo i jego procedury.

W czasach Waldemara Żurka, otwarcie głoszącego, że „musi mieć w sądach swoich zaufanych prezesów", w czasach gdy funkcje prokuratorów krajowych pełnią uzurpatorzy, nominowani wbrew konstytucji, bo bez kontrasygnaty prezydenta, tak skonstruowane prawo jest absolutnie nie do przyjęcia i mam szczerą nadzieję, że wbrew całej propagandowej kanonadzie zostanie przez prezydenta zawetowane, i to z hukiem.

Być może jest to tylko kolejna rozpaczliwa próba napełnienia rozkradzionej kasy państwa

Tym bardziej że nowelizacja przyjmowana jest w czasie, gdy rząd rozpoczął istną obławę na youtuberów, kwestionując wykładnię, dotąd przez urzędy skarbowe uznawaną, że ich zarobki zostały uzyskane w USA i chroni je międzypaństwowa umowa o unikaniu podwójnego opodatkowania. Izby skarbowe dostały wyraźnie polecenie, żeby „trzepać" partnerów Google, żądając od nich natychmiastowej zapłaty rzekomo zaległych podatków za wiele minionych lat. Być może jest to tylko kolejna rozpaczliwa próba napełnienia rozkradzionej kasy państwa, być może chodzi o dobranie się okrężną drogą do zarobków amerykańskiego koncernu, na które już kilka razy bezskutecznie czyniła zakusy Unia Europejska. Nie można jednak wykluczyć także motywacji politycznej – zdecydowana większość youtuberów, zwłaszcza tych najbardziej popularnych (a więc i najlepiej zarabiających), to przecież „pisowcy", regularnie demaskujący w swych filmach świństwa obecnej władzy i szaleństwa patronujących jej unijnych biurokratów.

Rzetelność każe uprzedzić czytelnika, że w tej sprawie nie jestem obiektywny. Podobnie jak w kwestii traktowania youtuberów jako „dostawców usługi VOD (wideo na żądanie)", co – przykro pisać – wynika z arcynieprzemyślanej ustawy przyjętej za rządów PiS, zresztą mimo negatywnego zaopiniowania projektu przez KRRiT. Jest to jeden z tych prawnych batów, które za swych rządów nie wiadomo po co ukręcił PiS, by nigdy ich nie użyć i by zostały wypróbowane dopiero na jego własnym grzbiecie, gdy znalazł się w opozycji. Potencjalnie skutkiem uznania uczestnika za „dostawcę VOD" jest możliwość wlepienia mu kilkusettysięcznych kar, za np. brak oznaczenia w filmiku dopuszczalnego wieku widza lub niespełnienie innych wymogów, które prawo stawia wielkim stacjom telewizyjnym. A nie spełnił ich chyba żaden youtuber, bo to niemożliwe.

WŚCIEKŁOŚĆ SALONU

Osobiście odmówiłem zatem wymaganej tym prawem rejestracji „usługi VOD", decydując się na spór sądowy – to nie ja jestem dostarczycielem „wideo na żądanie", ale Google Inc., z którą, jak każdy inny twórca, zawarłem umowę o uczestnictwie w programie partnerskim. Mam nadzieję, że sąd podzieli moją argumentację, ponieważ w przeciwnym razie władza, po obsadzeniu KRRiT swoimi wiernymi „żołnierzami", rozpocznie prawdopodobnie w Internecie istną rzeź. Proszę zerknąć w dotyczącą Polski część badania Reuters Institute i Oxford University „Mapping news creators and influencers in social and video networks" – praktycznie nie ma wśród znaczących influencerów nikogo życzliwego Tuskowi i jego formacji. A wściekłość, z którą lewicowo-liberalny salon usiłował zdusić Kanał Zero Stanowskiego czy, ostatnio, będący kolejnym przerażającym salony sukcesem kanał Bogdana Rymanowskiego, raczej nie pozwalają wierzyć, że ta władza cofnie się przed działaniami w stylu Putina i Łukaszenki.

Pod „europejskim" błękitem DSA i innych działań wymierzonych w „dezinformacje" i „szkodliwe treści" można się więc dopatrzyć innego, brunatnego koloru. Pozostaje tylko nadzieja, że Polacy, na różne sprawki rządzących obojętni i skłonni uważać je za wojnę wartych siebie nawzajem politycznych gangów, zamachu na wolność słowa w Internecie nie potraktują tak lekko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

Nie trać czasu!

Kupuj tylko trafione prezenty

w|drodze

wdrodze.pl | sprzedaz@wdrodze.pl | tel. +48 : 61 850 47 52

eprasa.pl 31386a2951

Dyplomata z utajnioną

Jan Bogatko z Berlina

Ambasador Niemiec ma interesy niemieckie. Ale polski polityk ma interesy polskie. Dialog polega na uczciwej, opartej na prawdzie historycznej rozmowie bez pomijania nawet najbardziej przykrych faktów. Straszenie Putinem sprowadza dialog do farsy

Warszawa to najtrudniejsza na świecie placówka dla niemieckiego dyplomaty. Warszawski parkiet dyplomatyczny jest bardzo śliski. Wiedział już o tym ambasador Girolamo Lucchesini, reprezentujący Prusy w Warszawie doby Sejmu Wielkiego. Teraz to doświadczenie stało się udziałem jego spadkobiercy.

Miguel Berger, urodzony w 1961 r. w Madrycie niemiecki dyplomata, reprezentuje od tego roku Berlin w Warszawie (poprzednio był przez trzy lata ambasadorem Niemiec w Londynie). Jest on następcą urodzonego w Karaczi Viktora Elblinga. Miejsca urodzin obu ambasadorów Berlina wskazują na to, że pochodzą oni z rodzin zawodowych dyplomatów. Wskazują, lecz o tym bynajmniej nie przesądzają. O ile wiadomo nam, że ojciec Viktora Elblinga, ożeniony z Włoszką, był niemieckim dyplomatą w Pakistanie, o tyle o rodzicach Miguela Bergera nie wiadomo absolutnie niczego. Skąd ta tajemniczość? Berger to popularne w Niemczech nazwisko. Nosiło je wielu dyplomatów i polityków (osobisty referent Waltera Ulbrichta to funkcjonariusz Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, Wolfgang Berger). Także wybitny aktywista narodowego socjalizmu tak się nazywał: Gottlob Christian Berger, generał Waffen-SS i zaufany Heinricha Himmlera, skazany na 25 lat więzienia, lecz przedterminowo zwolniony w 1951 r. Oczywiście nie musi to wcale oznaczać, by ambasador Niemiec w Warszawie był potomkiem jednego z nich. Czy choćby krewnym. Tylko po co ta tajemniczość? I to w czasach, kiedy mówi się tyle o „otwartości" i „przejrzystości", zwłaszcza wśród lewicy w Niemczech, do której z pewnością należy ambasador Berlina nad Wisłą (jako sekretarz stanu w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych w latach 2020–2021, kiedy to szefem dyplomacji był Heiko Maas z Socjaldemokratycznej Partii Niemiec).

ZLEKCEWAŻONY RAPORT

Berger studiował ekonomię i potem wszedł do służby dyplomatycznej. W latach 1990–1993 zajmował się kwestiami niemieckiej mniejszości w ambasadzie w Bukareszcie, by następnie zostać referentem do spraw prasy i polityki w mieście Meksyku, po czym przeszedł do MSZ w Bonn, które wówczas było jeszcze stolicą Niemiec, by w końcu awansować na kierownicze stanowisko w departamencie parlamentarnym MSZ już w Berlinie. Potem były kolejne szczeble: Berger wyjechał do Nowego Jorku, gdzie pracował w stałym przedstawicielstwie Niemiec w ONZ (w dziale ekonomicznym), by awansować na funkcję szefa biur przedstawicielskich na obszarach palestyńskich i wrócić do Berlina na kierownicze stanowisko w MSZ. W 2010 r. dzisiejszy ambasador w Warszawie wraca do Nowego Jorku na wyższe stanowisko w Stałym Przedstawicielstwie Niemiec, pełniąc w latach 2012–2013 funkcję przewodniczącego komisji budżetowo-administracyjnej 67. Zgromadzenia Ogólnego ONZ. W tym czasie Niemcy przez dwa lata były niestałym członkiem Rady Bezpieczeństwa. Po powrocie do Berlina Berger zajmował się w MSZ m.in. kwestiami polityki klimatycznej, by zostać pełnomocnikiem do spraw bliskowschodnich, włączając w to Iran. Przełom w karierze dyplomaty nastąpił z chwilą uzyskania w roku 2020 z rąk ówczesnego lewicowego szefa dyplomacji, którym był wtedy w ostatnim gabinecie Angeli Merkel Heiko Maas, stanowiska sekretarza stanu. Nie trwało to zbyt długo, ponieważ nowa szefowa MSZ w rządzie kanclerza Olafa Scholza, Annalena Baerbock (z Zielonych), odwołała Bergera ze stanowiska. W 2022 r. dyplomata został ambasadorem Niemiec w Londynie, a dalszy ciąg jego kariery znamy.

Ledwie ambasador rozpakował walizki w Warszawie, a już się poślizgnął na stołecznym parkiecie. Ambasadora Niemiec zaproszono do sprzyjającej rządom Donalda Tuska w Warszawie i Friedricha Merza w Berlinie stacji telewizyjnej TVN24 BiS, gdzie miał pierwszą poważniejszą okazję do zabrania głosu w kwestii niemieckich reparacji dla Polski po drugiej wojnie światowej. Zapomniawszy o naczelnej zasadzie, że dyplomata mówi wiele, by nie powiedzieć nic, Miguel Berger pozwolił sobie na filozoficzne stwierdzenie: „Czasem odnoszę wrażenie, że pewne osoby, mówiące o reparacjach, podnoszą ten temat, ponieważ być może nie chcą, by stosunki polsko-niemieckie dobrze się rozwijały". W języku niedyplomatycznym, dozwolonym z kolei mediom i internautom, oznacza to tyle, co „olewam polskie żądania". To z kolei wywołało burzę w polskich mediach społecznościowych, dzisiaj opiniotwórczych. Również konserwatywni politycy (w Polsce) zabrali głos – jak były wiceminister spraw zagranicznych w Warszawie, Arkadiusz Mularczyk, autor raportu na temat należnych Polsce reparacji. Zwrócił się on do niemieckiego dyplomaty

To wcale nie jest zabawne, ale Miguel Berger zapomina, jakie to inwestycje, prowadzące do zwiększenia zależności Europy od Rosji, finansowały latami Niemcy

eprasa.pl 31386a225f

przeszłością

z ofertą przekazania mu osobiście raportu o stratach wojennych, który to dokument – jak stwierdził – jasno ukazuje skalę zniszczeń oraz nierozliczony dług Niemiec wobec Polski. Mularczyk napisał: „Jest to kluczowy element zrozumienia, jakie kroki są niezbędne po stronie Niemiec, aby budować prawdziwe, partnerskie i odpowiedzialne relacje polsko-niemieckie".

Ambasador nie zwlekał niestety z odpowiedzią. Nie policzył do trzech. A szkoda. W konsekwencji okazała się ona zdecydowanie mniej dyplomatyczna niż poprzednie stwierdzenia Miguela Bergera w TVN24 i adresowane do Mularczyka. Wyraźnie tracąc fason, w odpowiedzi na głos byłego wiceministra zaprzyjaźnionego państwa, termin „raport" ambasador opatrzył cudzysłowem, co po polsku oznacza (czyżby ambasador nie miał doradców?) tyle co „niby-raport", czyli dokument bez znaczenia. Do tego wszystkiego Berger zarzucił Mularczykowi aktywizm, odmawiając mu prawa do kształtowania jutra relacji polsko-niemieckich, jakby rządy Tuska i jego koalicji miały trwać wiecznie. No i wreszcie, w miejsce argumentów, których brak, w obliczu własnej bezradności zarzucił polskiemu politykowi kreowanie podziałów i – uwaga! – okazywanie pomocy Władimirowi Putinowi.

Odpowiedź Mularczyka była ostra i warto ją zacytować w całości: „Szanowny Panie Ambasadorze, Pańska reakcja ukazuje całkowite wyparcie historii i niemieckiej odpowiedzialności za wywołanie II Wojny Światowej. Jeśli przypominanie faktów i domaganie się sprawiedliwości uznaje Pan za »wsparcie Putina«, to znaczy, że nie rozumie Pan swojej misji w Polsce. W takiej sytuacji powrót do Berlina byłby rozwiązaniem uczciwszym wobec obu naszych narodów".

Ambasador Niemiec ma interesy niemieckie. Ale polski polityk ma interesy polskie. Dialog polega na uczciwej, opartej na prawdzie historycznej rozmowie bez pomijania nawet najbardziej przykrych faktów. Straszenie Putinem sprowadza dialog do farsy. To wcale nie jest zabawne, ale Berger zapomina, jakie to inwestycje, prowadzące do zwiększenia zależności Europy od Putina, finansowały latami Niemcy. Albo – co gorsza – wie, tylko okłamuje sam siebie i własną opinię publiczną. Często w rozmowach z przedstawicielami niemieckich elit zarówno politycznych, jak i gospodarczych, kiedy pojawia się temat reparacji, pada argument, że przecież Polska otrzymała dawne niemieckie ziemie wschodnie. Przemilcza się fakt, że polskie straty terytorialne na wschodzie II Rzeczypospolitej były znacznie wyższe. I że nowa zachodnia granica Polski była pomysłem ministra spraw zagranicznych Rosji Siergieja Sazonowa z pierwszej wojny światowej (albo wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza), a nie polskiego rządu w Londynie. Już wówczas pojawiła się w Rosji koncepcja granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej jako najbezpieczniejszej granicy zachodniej imperium carskiego z Niemcami. Józef Stalin zrealizował te plany skutecznie po drugiej wojnie światowej. I to dzięki naiwności zachodnich aliantów.

DOWODY ZBRODNI NIE TYLKO NIEMIECKICH

Ale afera wokół reparacji wojennych to niejedyne z bolesnych potknięć ambasadora Miguela Bergera. Kolejna awantura wokół oferty domu aukcyjnego Felzmann w Neuss odsłania sylwetkę berlińskiego dyplomaty jako człowieka bez empatii dla ofiar Niemiec z okresu drugiej wojny światowej. Felzmann chciał na publicznej aukcji sprzedać kilkaset dokumentów i obiektów związanych z ofiarami zbrodni niemieckich w Polsce. Operacja „handlowa" wywołała oburzenie prezydenta Karola Nawrockiego, a jego rzecznik, Rafał Leśkiewicz, podał do wiadomości, że prezydent RP apeluje do rządu Tuska, by ten zażądał od Felzmanna zwrotu obiektów, względnie wykupił je od właścicieli. Również minister Radosław Sikorski włączył się do akcji w sprawie dowodów zbrodni niemieckich w Polsce. Na platformie X napisał: „Ambasador [właściwie chargé d'affaires – przyp. J.B.] Jan Tombiński, który od kilku dni interweniował u władz Westfalii w tej sprawie, poinformował mnie, że wszystkie artefakty już zniknęły z internetowej strony skandalicznej aukcji". O czym niemieckie media – oburzone licytacją dowodów niemieckich zbrodni – jednak nie wspominają, to Katyń. Również dowody rosyjskich zbrodni, a więc dokonanych przez ówczesnego sojusznika Adolfa Hitlera, Felzmann oferował do sprzedaży: dokumenty dotyczące Henryka Umińskiego, więźnia Starobielska, i Jana Leszczyńskiego z obozu zagłady w Ostaszkowie. Zarząd Federacji Rodzin Katyńskich przesłał do Auktionshaus Felzmann protest odnośnie do informacji, że ten dom aukcyjny planuje sprzedaż cennych pamiątek związanych z ofiarami zbrodni katyńskiej.

Ambasador Niemiec w Polsce Miguel Berger w siedzibie niemieckiego kontyngentu wojskowego w Rzeszowie FOT. MARCIN OBARA/PAP

Ambasador Niemiec w Warszawie, Miguel Berger, na platformie X wyraził zadowolenie z powodu odwołania aukcji. I to dwukrotnie. Znów poślizgnął się on na parkiecie dyplomatycznym, pisząc najpierw o dowodach zbrodni „pamiątki". Ktoś widocznie przy ulicy Jazdów 12/2 w Warszawie zorientował się, wprawdzie po niewczasie, ale jednak, że o dokumentach nie wolno pisać „pamiątki". Paweł Jabłoński, poseł na Sejm, zwrócił się do dyplomaty: „To nie są żadne »pamiątki«, panie ambasadorze, tylko dowody waszych zbrodni – za które najwyższa pora zapłacić". Oświadczenie skorygowano. A w nim Berger pisze: „Nie wolno handlować dokumentami i przedmiotami osobistymi ofiar nazizmu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

I kto to mówi?

FOT. ADOBE STOCK

Radosław Wojtas

Lektor pozywa firmę, która wykorzystała jego głos wygenerowany przez sztuczną inteligencję. To będzie pierwszy tego typu proces w Polsce. Na jego rozstrzygnięcie czeka cała branża, bo problem narasta

To było doświadczenie takie, jakby ktoś podczas mojej nieobecności ograbił mój dom, bo pozbawił mnie czegoś. Pozbawili mnie pewnej części mojej tożsamości, za którą swój głos uważam – tak w podcaście Radia Wnet opisywał swoje odczucia lektor Jarosław Łukomski po tym, gdy obejrzał reklamy firmy z branży wodno-kanalizacyjnej, w których usłyszał swój głos. Głos był jego, ale nie on wypowiadał słowa, którymi reklamowano szamba i systemy oczyszczania. – Zdarzało mi się w życiu zapomnieć o czymś, co czytałem. Ale zawsze wiem, jak czytam, a jak nie czytam, i w jakich projektach brałem udział. Dlatego był to tak ogromny szok i cios usłyszeć, jak ktoś w bezczelny, arogancki sposób, w ogóle się ze mną nie kontaktując, skorzystał ze sztucznie wygenerowanego mojego głosu. Sztuczna inteligencja może brzmi tak jak ja, ale czyta w inny, po prostu sztuczny sposób – cytuje Łukomskiego Wyborcza.pl.

Próba ugody została odrzucona przez przedstawiciela firmy, której ofertę reklamowały sporne filmy. Sprawa znajdzie finał w sądzie i będzie to pierwszy tego typu spór w Polsce. Na jego rozstrzygnięcie czekają nie tylko osoby bezpośrednio zaangażowane w tę sprawę, lecz także całe środowisko lektorskie oraz ludzie tworzący treści do Internetu. Bo przypadek wykorzystania głosu Jarosława Łukomskiego, choć pod pewnymi względami jak na polskie warunki wyjątkowy, nie jest odosobniony. A w przyszłości będzie ich znacznie więcej.

GOTOWI NA WYZWANIA AI

Na rozpoznawalność swojego głosu Jarosław Łukomski pracuje od ponad czterech dekad. Zaczynał w połowie lat 80. jako jeden z pierwszych, którzy nad Wisłą zajęli się tzw. szeptanką na potrzeby rosnącego rynku VHS. Dziś ma na koncie wiele produkcji, a jego głos jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych w Polsce. – Nie jestem zaskoczony [kradzieżą]... raczej rozczarowany. I zły. Rozmawialiśmy o tym wiele razy, wszyscy wiedzieliśmy, że to może spotkać każdego z nas. Ale i tak jest to pewnego rodzaju szok. Dziwne i nieprzyjemne uczucie. No i oczywiście złość, bo w końcu ktoś wykorzystał kawałek ciebie – komentuje sam zainteresowany na stronie polscylektorzy.pl. – Z drugiej strony jest takie powiedzenie, że jeśli już kraść, to miliony – więc może powinno mi to pochlebiać. W sumie nie wybrali mnie przez przypadek.

Jak przyznaje Jarosław Łukomski, choć nagranie z jego „udziałem" generowane przez AI brzmi sztucznie i pozbawione jest emocji, to nie ma on wątpliwości, że jest to jego głos. Takich wątpliwości nie ma również Tomasz Bartos, założyciel i właściciel pierwszego polskiego banku głosów Mikrofonika, który w imieniu lektora zajmuje się sprawą użycia jego głosu. Jak dodaje,

eprasa.pl 31386a225f

spodziewa się tego, że w sądzie strona pozwana będzie chciała podważyć, że w nagraniu słychać głos Łukomskiego. – Pracuję w tej branży 25 lat, rozpoznaję ten głos po sekundzie. Ale i na taką ewentualność jesteśmy przygotowani. Możemy się przerzucać ekspertyzami rzeczoznawców, ale my poprosiliśmy o opinię kolegów realizatorów z ogromnym stażem w czołowych studiach w Polsce. Oni na tym zęby zjedli, a ich opinia jest jednoznaczna. Skopiowano Łukomskiego. A jakby tego było mało, sprawdziliśmy też u źródła. Według narzędzi do rozpoznawania AI prawdopodobieństwo wynosi od 98 do 99 proc. Udowodnienie, że mówimy o kopii głosu Jarka, to najmniejszy problem – komentuje.

A udowadniać przed sądem najprawdopodobniej będzie trzeba, bo propozycja ugody została odrzucona. – To musiało się wydarzyć, ktoś w końcu musiał zacząć. Nie dziwię się, że padło na mojego klienta – mówi mec. Martyna Majewska z radcaprawnytoronto.ca, prawnik Mikrofoniki. – Musiało się wydarzyć, ale nie musiało się tak skończyć. Mój klient podejmował daleko idące próby polubownego rozwiązania sporu. Co więcej – po odpowiedzi ze strony kancelarii klienta, która podważała istotę praw osobistych pana Jarosława i ogólnie kwestionowała zasadność roszczeń, kontynuowałam samodzielnie rozmowy w formule advocatus-advocatus, próbując uświadomić stronie pozwanej wagę problemu. Ta niestety nie wyraziła zainteresowania ugodą.

Polscy lektorzy już jakiś czas temu zaczęli przygotować się na rewolucję, którą w ich zawodzie przynosi sztuczna inteligencja. Pewną odpowiedzią na wyzwania stawiane przez AI był projekt VO+AI, stworzony przez działający od 2001 r. internetowy bank głosów Mikrofonika. Narzędzie umożliwia generowanie nagrań za pomocą sztucznej inteligencji z użyciem głosów kilku lektorów (w projekt włączyli się Jacek Brzostyński, Jarosław Łukomski, Ireneusz Załóg, Anita Maroszek i Maciej Gudowski, ale ma on się dalej rozwijać). Miało to być rozwiązanie korzystne dla obu stron: legalne, dające dostęp do znanych głosów bez dodatkowego wkładu pracy lektorów. – Chcieliśmy stworzyć rodzaj banku naszych głosów. Wiedzieliśmy, że w końcu AI wejdzie do naszego zawodu, ale chcieliśmy mieć nad tym kontrolę. Nie zdążyliśmy jeszcze naszego produktu skomercjalizować. I pojawiła się reklama ze sztucznie wygenerowanym moim głosem – opowiada na Wyborcza.pl Jarosław Łukomski.

WOLNOAMERYKANKA

Sprawa Łukomskiego jest o tyle wyjątkowa, że będzie pierwszą tego typu, która (najprawdopodobniej) znajdzie swój finał w sądzie oraz o której kradzież podejrzewana jest polska firma. Ale każdy, kto publikuje w Internecie, musi liczyć się z możliwością utraty głosu i wizerunku, co w przypadku polskich twórców już się zdarzało.

Głos Norberta Bączyka z podcastu „Wojenne Historie" został wykorzystany w materiałach tworzonych z wykorzystaniem AI przez niszowy kanał na YouTube. Bączyk zgłosił to do administracji platformy Google, ale odniósł połowiczny sukces. Kolejne materiały na tym kanale nagrywane są już z użyciem innego głosu, ale te, w których lektor mówi jak Łukomski, nie zostały skasowane. – Stały się niewidoczne na terenie Polski. Czyli odbiorcy nie widzą ich, gdy przebywają w naszym kraju, nie można ich odsłuchać. Natomiast nie mam żadnej gwarancji, że mój głos nie jest wykorzystywany w innym języku albo że ktoś, kto loguje się z innego kraju, nie będzie mógł zobaczyć tam tych odcinków, w których wykorzystano mój głos. Sukces jest połowiczny. Obostrzenia wobec tych twórców miały bardzo ograniczony charakter, na pewno mniejszy, niż byśmy się spodziewali – wskazuje Norbert Bączyk, cytowany przez wirtualnemedia.pl.

Wcześniej ktoś wykorzystał głos Artura Filipowicza z kanału popularnonaukowego Topowa Dycha. „W naszym przypadku tropy prowadzą do Indonezji, gdzie grupy pirackie masowo kradną content, znane głosy, korzystając przy tym z elementów AI, które ułatwia im powielanie tego – zauważył podcaster cytowany przez wirtualnemedia.pl. – Na tę chwilę ściganie takich twórców z sądowego punktu widzenia jest mało prawdopodobne. Teoretycznie istnieją takie możliwości, w praktyce będzie to niewykonalne. Dlatego na razie nie zamierzam podejmować jeszcze żadnych dodatkowych działań. Częściowo udało się ten proceder ograniczyć. Natomiast problem nie zniknie dopóty, dopóki nie będzie wyraźniejszej zmiany w podejściu do takiego procederu ze strony platformy YouTube. Dodaje, że „dotychczasowe działania YouTube w takich przypadkach są zbyt pobłażliwe. Tym bardziej że na innych polach platforma bywa czasem nawet przesadnie aktywna. Gdy zaś mamy do czynienia z autentyczną kradzieżą tożsamości, głosu, to reakcja jest inna".

BEZ AUTORA NIE MA KSIĄŻKI?

Słuchanie audiobooka własnej książki odradzała niedawno jej autorka. To dlatego, że „Plewy" Katarzyny Bulicz-Kasprzak nagrano z użyciem sztucznej inteligencji bez wiedzy pisarki. Ta uznała, że produkt jest miernej jakości, dlatego zniechęcała swoich czytelników do takiej formy poznawania jej twórczości. „Ponadto [autorka] zwraca uwagę na rozbieżne informacje podawane przez platformy dystrybuujące audiobook – Audioteka wskazuje głos AI, Legimi przypisuje lektorat samej pisarce, a Empik podaje »opracowanie zbiorowe« – podała. Decyzja o zastosowaniu głosu AI bez konsultacji z autorem oznacza ominięcie pisarki w procesie, który dotyczy jej własnego dzieła. To nadużycie zaufania i łamanie dobrych praktyk" – przekazała niedawno Unia Literacka.

„Sprzeciwiamy się takim działaniom. Uważamy, że autorzy muszą być włączeni w decyzje dotyczące interpretacji i formy ich utworów, również w przypadku audiobooków. Wykorzystanie sztucznej inteligencji do nagrania i wydania audiobooka bez wiedzy i zgody autora jest działaniem nieuprawnionym, szkodzącym zarówno twórcy, jak i czytelnikom. Współpraca między autorami a wydawcami powinna opierać się na wzajemnym szacunku, przejrzystości i zgodzie. W dobie gwałtownego rozwoju technologii AI zasady te nabierają szczególnego znaczenia. Wykorzystanie sztucznej inteligencji w kulturze musi być jawne i oparte na poszanowaniu praw autorskich" – oświadczyła Unia Literacka. Dodając przy tym: „Pamiętajmy – bez autora nie ma książki". Przynajmniej na razie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

Psy bez kontroli

FOT. ADOBE STOCK

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Skrajna nieodpowiedzialność właścicieli psów nieraz doprowadziła do tragedii. Coraz częściej słychać o śmiertelnych atakach tych zwierząt

Spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu w postaci choroby realnie zagrażającej życiu, której następstwem jest śmierć pokrzywdzonego – taki zarzut usłyszał 53-letni właściciel trzech owczarków, które pogryzły mężczyznę w Zielonej Górze. Do tragedii doszło w połowie października. Czterdziestosześciolatek, zawodowy kierowca, postanowił zrobić sobie przerwę podczas przejazdu S3. Wszedł do pobliskiego lasu, według relacji – na szybkie grzybobranie. Wtedy zaatakowały go trzy duże psy, określane jako owczarki belgijskie (typowe psy policyjne). Mężczyzna trafił do szpitala z 53 ranami, gdzie jednak po trzech dniach zmarł. Psy zastraszały okolicznych mieszkańców od dawna. Zgłaszali oni sprawę na policję, jednak ta nie podejmowała działań. Zwierzęta „pilnowały" strzelnicy, prowadzonej przez byłego policjanta.

Może to właśnie znajomości i lokalne układy sprawiły, że skargi ignorowano? – To, co podawały media o policjancie, jest bulwersujące. Dlaczego nikt wcześniej nie zajął się tymi psami? Ja tego nie rozumiem, Marcin zginął przez czyjeś zaniedbania i „wpływy" – ocenił w rozmowie z Wirtualną Polską Karol, znajomy z młodzieńczych lat Marcina. Wraz z dziesiątkami innych uczestniczył w pogrzebie. – Dla mnie właściciel psów powinien odpowiedzieć za śmierć Marcina oraz śmierć tych trzech psów, które zostaną pewnie uśpione. Ja rzadko komentuję publicznie takie sprawy, ale teraz nie mogę milczeć. Wyłącznie zachowanie oraz ego właściciela psów doprowadziło do tej tragedii – stwierdził z kolei Arkadiusz, przyjaciel zmarłego. – To nie powinno się wydarzyć. Z Marcinem znaliśmy się ok. 30 lat. To był mój serdeczny przyjaciel, wiózł mnie na porodówkę. Bardzo uczynny człowiek, całe życie jeździł na ciężarówkach, ale chciał pomagać innym. Prawdziwy patriota. To był też bardzo silny chłopak, ale nikt nie dałby sobie rady z takimi psami – dodaje.

Czujne, silne, działające instynktownie i – gdy pozostawione same sobie – agresywne. Już na początku XX w. owczarki belgijskie wykorzystywano w służbach mundurowych jako psy policyjne, wojskowe i ratownicze. Behawioryści zwracają uwagę, że rasa ta bez zapewnienia jej wystarczającej dozy wysiłku – fizycznego oraz umysłowego – może stanowić ogromne zagrożenie. – Zarzut jest umyślno-nieumyślny. Umyślny w tym znaczeniu, że mężczyzna w ocenie prokuratury godził się na to, że w związku z tym, iż jego zwierzęta były agresywne, w sposób nieodpowiedni zabezpieczane i wielokrotnie uciekały wcześniej, miał świadomość tego i godził się na to, że mogą one spowodować u osób postronnych ciężkie obrażenia – przekazała rzecznik Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze prok. Ewa Antonowicz. – Natomiast nieumyślny jest skutek w postaci śmierci poszkodowanego. Kara za ten zarzut jest najwyższa, jaka jest przewidziana w Kodeksie karnym, czyli nawet dożywotnie pozbawienie wolności – dodała. Właściciel psów nie przyznał się do winy. Zwierzęta nie po raz pierwszy zaatakowały człowieka. W 2022 r. miały rzucić się na włamywacza, który wdarł się na teren strzelnicy. Po śmiertelnym pogryzieniu zdecydowano, że owczarki nie zostaną uśpione, ale trafią na trzymiesięczną obserwację behawiorystyczną w tzw. domu tymczasowym. Prokurator Antonowicz wyjaśnia, że sprawcą jest tutaj właściciel i „to on był odpowiedzialny za zwierzęta, żeby je w sposób prawidłowy wychowywać tak, aby nie zachowywały się agresywnie".

eprasa.pl 31386a225f

Niedługo po tragedii w Zielonej Górze media obiegła inna, dramatyczna informacja – ciało 76-letniego mężczyzny ze śladami pogryzienia przez psy zostało odnalezione we wsi Karnice (województwo łódzkie), obok niezabezpieczonej posesji. – Mężczyzna miał rany kąsane pośladka, uda i głowy – poinformował Marek Wojtysiak, prokurator rejonowy w Poddębicach. Ze wstępnych ustaleń śledczych wynikało, że zmarły przyszedł w odwiedziny do właścicielki posesji, na której znajdowały się psy. Sekcja zwłok potwierdziła pogryzienie. Na posesji starszej kobiety mieszkało dziewięć psów, które od lat swobodnie biegały po okolicznych polach i lasach. Po tragedii zwierzęta wyłapano i przekazano do schroniska. Medialne relacje wskazują na to, że kobieta nie była w stanie, z powodu słabej kondycji, zajmować się tak dużą grupą psów. Pytanie: Dlaczego lokalne władze zareagowały dopiero po tragedii?

Na początku 2024 r. Polską wstrząsnęła historia niemowlaka ze Zgorzelca, zagryzionego przez bulteriera. – Kilkutygodniowa dziewczynka została przywieziona do miejscowego szpitala z ranami powstałymi w wyniku pogryzień. Obrażenia były na tyle rozległe, że nie udało się uratować dziecka – przekazała rzecznik Komendy Powiatowej Policji w Zgorzelcu. Pies trafił do rodziny ze schroniska. Medyk, który brał udział w walce o życie dziecka, mówił, że nie doświadczył tak strasznego widoku w trakcie całej swojej kariery zawodowej. – Ten widok to była olbrzymia trauma. Przez półtorej godziny trwała walka połączonych zespołów: anestezjolog, chirurg, ratownicy. Wszyscy liczyliśmy, że przyniesie pozytywny skutek – relacjonował lekarz.

WIĘCEJ PSÓW NIŻ DZIECI

O atakach psów można usłyszeć niemal każdego tygodnia. Najczęściej większe psy rzucają się na te mniejsze. Na facebookowych grupach sporo jest historii o zagryzionych maltańczykach, yorkach, mopsach (czasami, trzeba to zauważyć, małe psy spuszczone ze smyczy podbiegają do większych, co może wywołać instynktowną reakcję). W połowie listopada na wrocławskich Kowalach doszło do pogryzienia psa – owczarka niemieckiego, wyprowadzanego przez właścicieli – przez psa rasy mieszanej. – Pies leciał z nastawieniem na atak, wpadł na wały i od razu doszło do ataku. Gryzł naszego psa po gardle, uszach, po głowie. Próbowałem go odciągnąć, choć było ciężko cokolwiek zrobić. Trzymałem go za tylne łapy. Wymknął się i zaatakował drugi raz. Znowu złapałem go za łapy, żona uciekła w tym czasie z naszym psem do samochodu. Agresywny pies oddalił się dopiero po drugim ataku, podczas którego ugryzł mnie w stopę – relacjonował właściciel zaatakowanego zwierzęcia, pan Dariusz.

W Polsce w 2023 r. żyło więcej psów – 8,5 mln – niż dzieci – 7,2 mln. Jak wynika z danych GUS oraz Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Karmy dla Zwierząt Domowych (FEDIAF), od 2010 r. proporcje się odwróciły – wtedy dzieci było 7,8 mln, a psów szacowano na 7,3. Według danych FEDIAF w 2023 r. odsetek gospodarstw domowych posiadających przynajmniej jednego psa wynosił 49 proc., co stawia nas na drugim miejscu w UE po Węgrzech (średnia unijna to 27 proc.). Wobec licznych, niebezpiecznych sytuacji z udziałem tych zwierząt coraz częściej wybrzmiewają głosy, że nie każdy powinien mieć psa, szczególnie wymagającego konsekwentnego wychowania. Pomocna ma być lista psów ras agresywnych. Znajdują się na niej amerykański pitbulterier, pies z Majorki (perro de presa mallorquin), buldog amerykański, dog argentyński, pies kanaryjski (perro de presa canario), tosa inu, rottweiler, akbash, anatolian karabash, moskiewski stróżujący oraz owczarek kaukaski. Aby móc posiadać takiego psa lub prowadzić hodowlę, konieczne jest specjalne zezwolenie gminy. Jego brak powinien skutkować grzywną lub aresztem, ale nie zawsze jest to egzekwowane. Przepisy są często lekceważone. – Gdy chciałam uzyskać zezwolenie na utrzymanie kaukazów, to w gminie nawet nie wiedzieli, że jest to konieczne – mówi behawiorystka, prezes stowarzyszenia Serce z Kaukazu, Małgorzata Kozłowska-Karbowniczek. – Musiałam im pokazać Dziennik Ustaw. Jednak nie wiedzieli, jak zarejestrować właściciela, więc ściągnęli wniosek z innej gminy, wypełniłam ten wniosek, a urzędnicy nawet nie sprawdzili, czy mam warunki do utrzymania takich zwierząt: czy mam kojce, dobre ogrodzenie, czy mam tabliczki ostrzegawcze. Wiem, że często tak się zdarza, przepisy są bardziej teoretyczne niż praktyczne – dodaje w rozmowie z portalem prawo.pl.

Pytanie, jak na sytuację wpłynie tzw. ustawa łańcuchowa, która jesienią przeszła przez parlament

SPUSZCZONE Z ŁAŃCUCHÓW

Kozłowska-Karbowniczek uważa, że przepisy o psach agresywnych powinny być jeszcze bardziej zaostrzone. – Mam osiem owczarków kaukaskich. To nie są miłe pieski, jeśli idzie o kontakty socjalne z obcymi ludźmi. Do naszego stowarzyszenia ratującego te rasy trafiają psy, które mają na swoim koncie pogryzienia spowodowane tym, że właściciele nie uzyskali pozwolenia albo utrzymywali je w warunkach, które stwarzają zagrożenie dla społeczeństwa – np. mają lichy płot. Likwidacja listy psów agresywnych nie jest dobrym pomysłem – podkreśla. Pojawiają się głosy, że listę należałoby poszerzyć. Od 2024 r. w Wielkiej Brytanii, po serii śmiertelnych pogryzień, wprowadzono zakaz hodowli oraz posiadania psów american bully XL. Do 1 lutego tamtego roku wszystkie psy tej rasy musiałyby zostać uśpione. „W ciągu ostatnich dwóch lat zagryzły one na śmierć co najmniej 14 osób, a w ubiegłym roku odpowiedzialne były za 46 proc. ataków dokonanych przez psy w Wielkiej Brytanii, choć rasa ta stanowi znikomy odsetek wszystkich posiadanych psów" – donosił PAP. Na jednym z polskich portali aukcyjnych psa american bully XL można kupić za ok. 5 tys. zł. Są i oferty oddania psa za darmo.

Pytanie, jak na sytuację wpłynie tzw. ustawa łańcuchowa, która jesienią przeszła przez parlament. Zakłada ona całkowity zakaz trzymania psów na łańcuchach. Nowela czeka na decyzję prezydenta Karola Nawrockiego. Z danych Sieci Obywatelskiej „Watchdog Polska" wynika, że w 2024 r. psy w Polsce pogryzły ludzi niemal 27 tys. razy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

Olśniewająca dekonstrukcja

Stanisław Danielewicz

W nowej inscenizacji utworu Agnieszki Osieckiej płeć jest czymś umownym, ewidentnie należącym do katalogu „gender", którego autorka chyba by ani nie rozumiała, ani nie akceptowała. Na słupskiej scenie nie ma mężczyzn. Ich role grają kobiety z domalowanymi wąsami

FOT. NOWY TEATR W SŁUPSKU

Śpiewogra, według definicji z Wikipedii, to utwór sceniczny oparty na tekście mówionym ze wstawkami muzycznymi, głównie pieśniami zwrotkowymi, prostymi ariami i nieskomplikowanymi partiami zespołowymi.

Wszelkie punkty powyższej definicji spełnia dzieło Agnieszki Osieckiej „Niech no tylko zakwitną jabłonie". Sztuka była od roku 1964 wielokrotnie wystawiana w całej Polsce (premiera w warszawskim teatrze Ateneum), a w roku 1999 wartą uwagi inscenizację w reżyserii Wojciecha Kościelniaka zarejestrował Teatr Telewizji. Osiecka, pisząc scenariusz, nie budowała fabuły, a konstrukcja sztuki (akt I – „Przed wojną", akt II – „Po wojnie") to kwestie, które najłatwiej określić mianem konstrukcji patchworkowej. Są zatem dosłowne cytaty z ogłoszeń w przedwojennych gazetach, fragment powieści odcinkowej, listy do radiowej Fali 49, czyli audycji odgrywającej rolę wentyla bezpieczeństwa dla społeczeństwa w latach stalinowskiego zamordyzmu. Kolejne tematy pojawiają się w kontekście piosenek – np. kryminalnej ballady warszawskiego folkloru podwórkowego, reklamowej wersji „Whispering", okupacyjnych „zakazanych piosenek".

ZMANIPULOWANI PRZEZ SOCREALISTYCZNĄ PROPAGANDĘ

Osiecka łączyła tematy, balansowała między emocjami zapisanymi w przywoływanych historiach, jednak główną linię napięć śpiewogry określała sekwencja piosenek, zarówno tych z lat 30. XX w., jak i utworów nadawanych przez tzw. kołchoźniki – głośniki zainstalowane w mieszkaniach i miejscach pracy, z jedyną gałką, którą był potencjometr – w latach 50.

O ile przedwojnie znała Osiecka z rodzinnych opowieści (urodziła się w roku 1936), a znajomość dawnych przebojów pozyskiwała, słuchając szelakowych płyt, to odgłosy historii z II aktu sztuki są zapisem osobistych przeżyć. Autorka dojrzewała w okresie przełomu między stalinowskim zamordyzmem a „odwilżą" w połowie lat 50., zmanipulowana jak spora część jej pokolenia przez socrealistyczną propagandę, na każdym kroku doświadczając jednak „egzotyki" przedwojennego świata.

Śpiewogra, będąca zapisem emocji autorki, odczytywanych poprzez teksty piosenek i ich przebojowe motywy muzyczne, była skazana na sukces. Widzowie poprzez słowa, obrazy i dźwięki kolejnych inscenizacji z lat 60. doświadczali swoistego déjà vu. W historiach i dźwiękach rozpoznawali własne doświadczenia, klęski i uniesienia.

Czy tak jest dzisiaj, gdy na scenę słupskiego Nowego Teatru im. Witkacego wjechała z przytupem inscenizacja, reżyserowana „po nowemu" przez Wojciecha Kościelniaka i w muzycznej oprawie Mariusza Obijalskiego? Na stronie internetowej teatru nazwano Kościelniaka „najważniejszym twórcą polskiej sceny muzycznej". Skoro tak, to przyjrzyjmy się, jaki efekt owa twórczość wywiera na publiczności, wypełniającej do ostatniego miejsca widownię.

Przyglądając się widowni, odniosłem wrażenie podobne do tego, jakie miałem na koncercie jubileuszowym Czerwonych Gitar z okazji 60-lecia istnienia zespołu. Widzowie (i widzki, a może widzynie?) reprezentowali średnią wieku ok. siedemdziesiątki; 30- i 40-latków mało, nastolatków zaś jak na lekarstwo. Na spektakl przyszli więc ludzie, którzy w latach swojej młodości mieli okazję oglądać którąś ze znaczących inscenizacji, może też spektakl teatru TVP. I oczekiwali, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeniosą się na dwie godziny do krainy młodości, że ogarną ich te same emocje, które towarzyszyły im, gdy pół wieku temu wsłuchiwali się w dźwięki piosenek. A jeśli nawet nigdy żadnej inscenizacji śpiewogry nie widzieli, to może ich oczekiwania wiązały się z reminiscencjami telewizyjnego serialu poświęconego historii życia Agnieszki Osieckiej? Ja nie miałem takich oczekiwań, raczej byłem zaintrygowany tym, jak mocno osobisty przekaz Osieckiej, niefabularny, a emocjonalny, dający pole do popisu oryginalnej inscenizacji, będzie interpretowany dziś, gdy słowo „teatr" coraz częściej spotyka się z dodatkiem rozmaitych „kwantyfikatorów". Raz to będzie „teatr walczący", innym razem „odkrywający" lub dla odmiany „poszukujący", „zaangażowany",

eprasa.pl 31386a225f

„queerowy", „feministyczny", „dokumentujący" itd., itp. Mój materiał do porównań był chyba dokładniej wyskalowany niż ten, którym dysponowali widzowie, ponieważ w roku 1968 miałem okazję przez dwa tygodnie uczestniczyć w spektaklu, zastępując w kanale orkiestry starszego kolegę ze szkoły muzycznej, który etatowo grywał w przedstawieniach teatru Wybrzeże w Gdańsku.

Wróćmy na widownię słupskiego spektaklu. Mam, związaną z wieloletnim doświadczeniem i oglądaniem setek, a może tysięcy przedstawień i koncertów, skalę, opisującą reakcje publiczności. Otóż tę, której doświadczyłem po spektaklu, zapisałem jako „dwa brawka i trzy szmerki". Sądzę, że na premierze było inaczej. Domyślam się zatem, że i standing ovation, i wywoływanie reżysera pozwoliło zaproszonym na premierę dyżurnym recenzentom wynieść przekonanie o uczestnictwie w Wielkim Sukcesie Artystycznym. Ale na „moim" spektaklu, na który nie wysyłano zaproszeń, a widzowie płacili za bilety, rozczarowanie przedstawieniem jakże różnym od oczekiwań było ewidentne. Nie musiałem nawet wsłuchiwać się w głosy widzów zmierzających do szatni, choć na scenie aktorzy kontynuowali ukłony w efektownych układach, a kurtyna wciąż była w górze.

Co się stało? Dlaczego inscenizacja tak błyskotliwa, zrealizowana z profesjonalną precyzją przez zespół siedmiu aktorek, które można dodatkowo chwalić za zdolności wokalne, słuch muzyczny i idealnie zgrany ruch sceniczny, rozczarowała publiczność w stopniu jeszcze większym niż autora tych słów?

ŚWIADOME MORDOWANIE PIOSENKI

Zacznijmy od warstwy muzycznej. Rolę zręcznego dekonstruktora powierzono tu fachowcowi, który większość z elementów składających się na ostateczną postać piosenek potrafił skutecznie zmienić – by zaproponowane aranżacje nie kojarzyły się, broń Boże, z tymi, które były sugerowane przez kompozytorów i zapamiętane przez słuchaczy starych płyt. Najłatwiej było pominąć oryginalny zapis harmoniczny i zaproponować w to miejsce nowe rozwiązania. Prawdę mówiąc, wiele z nich, prowadzących w niespodziewanych kierunkach uwagę słuchacza, należałoby pochwalić, gdyby... Gdyby nie były wyłącznie popisem formalnym, nieuwzględniającym faktu, że utwór słowno-muzyczny zwany piosenką nie jest odbierany w kategoriach wyłącznie formalnych, lecz poprzez połączenie tekstu, melodii, harmonii, metrum, dynamiki, instrumentacji i interpretacji aktorskiej prowadzi do odbioru emocjonalnego. Istnieje próg, poniżej którego na skutek niewłaściwych proporcji między elementami dzieła literacko-muzycznego emocje nie są uruchomione.

Motyw wrzasku Adolfa Hitlera, serii wystrzałów oraz malowniczo rozstrzeliwanych aktorów stopniowo blaknął wobec wielokrotnych powtórzeń

Najlepiej pokazać ten proces świadomego mordowania (który w tej recenzji uprzejmie nazywam dekonstrukcją) na przykładzie „Rebeki", piosenki z tekstem Andrzeja Własta do muzyki Zygmunta Białostockiego. Można się spierać, czy i w jakim fragmencie bliższa jest emocjonalności wyimaginowanego odbiorcy interpretacja Ewy Demarczyk, Soni Bohosiewicz, Lory Szafran, a może Kingi Preis. Przywołane tu wykonania (warte obejrzenia w zapisach internetowych) odwołują się jednak, mimo różnych zabiegów aranżacyjnych i zróżnicowanego akompaniamentu, do wzorca harmonicznego, którym kompozytor chciał wzmocnić efekt dramatycznego rozwoju sytuacji, opisanej w tekście utworu. Brutalne odrzucenie tego wzorca zniweczyło możliwość pokazania fenomenu, który w oryginale piosenka stanowiła. Zwłaszcza dotyczy to drugiej części refrenu, gdzie jakże często stosowane w standardach jazzowych sekwencje II-V-I zostały pominięte, a tym samym zaprojektowana przez kompozytora i sprzęgnięta z tekstem linia napięć legła w gruzach. Reżyser mógł więc tylko przypieczętować świadomą dekonstrukcję – i to zrobił – pozwalając aktorce, umieszczonej wśród innych postaci, odśpiewać tekst, który zagubił znaczenia słów, który nic nie znaczył i niczego słuchaczowi nie narzucał.

Widać, zlecenie dekonstrukcji piosenek to za mało, by w roku 2025 mocno trzymać chorągiew postępu i nowoczesności. Widać, liczba zastosowanych zabiegów inscenizacyjnych, które mogą być przeniesione z podręcznika technicznej realizacji spektaklu teatralnego, została uznana za niewystarczającą dla wzmocnienia dekonstrukcji – choć ich prymat nad esencją gry aktorskiej nie służył intencjom autorki sztuki. Reżyser sięgnął zatem po stosowany do znudzenia efekt zatarcia płci aktorów. W tej inscenizacji płeć jest czymś umownym, ewidentnie należącym do katalogu „gender", którego Osiecka chyba by ani nie rozumiała, ani nie akceptowała. Na słupskiej scenie nie ma mężczyzn. Ich role grają kobiety z domalowanymi wąsami, a męskie knowania („Chodź, Mimi, do alkowy...") zamieniają się w parodię, gdy mezzosopranem czy altem odśpiewuje je aktorka z wąsami. Ciekaw jestem, jakich argumentów dla obrony zastosowanej transpozycji płci użyłby reżyser, gdybym miał szansę go o ów zabieg zapytać. Moja wyobraźnia, wsparta logiką poszukiwań, nie znajduje tu odpowiedzi.

Publiczność, która zrozumiała w końcu, że została okpiona, nie była w stanie docenić maestrii rzemiosła, innowacyjnego wykorzystania symboli dopowiadanych przez reżysera do tekstu śpiewogry (choć motyw wrzasku Adolfa Hitlera, serii wystrzałów oraz malowniczo rozstrzeliwanych aktorów stopniowo blaknął wobec wielokrotnych powtórzeń) ani gry świateł czy zastosowania półprzeźroczystych ekranów.

Z niedowierzaniem porównuję dwie interpretacje Kościelniaka śpiewogry Osieckiej: słupskiej z roku 2025 i kanonicznej telewizyjnej z roku 1999. Cena, jaką trzeba płacić za to, by ktoś zawyrokował, że jest się „najważniejszym twórcą" A.D. 2025, okazuje się wysoka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem nauk humanistycznych, wykładowcą historii i literatury jazzu europejskiego w Akademii Muzycznej w Gdańsku. Ma na swoim koncie książki na temat jazzu i rocka. Był korespondentem „New Musical Express" na kraje bloku wschodniego.

AGNIESZKA OSIECKA, „NIECH NO TYLKO ZAKWITNĄ JABŁONIE", NOWY TEATR IM. WITKACEGO W SŁUPSKU, REŻYSERIA: WOJCIECH KOŚCIELNIAK, PREMIERA: 15 MARCA 2025 R.

eprasa.pl 31386a225f

Mówić za milczących

Krzysztof Koehler

Longinus, Judasz, Barabasz, Eneasz, Odyseusz, Kreon, Trzej Królowie. W „Milczeniu Łazarza" Piotr Gociek dopuszcza ich wszystkich do głosu. Wszystkich w akcie głębszego wejrzenia w siebie, swój los, bieg życia

Nowy tom poetycki Piotra Goćka, „Milczenie Łazarza", nosi dosyć przewrotny tytuł, a to z tej przyczyny, że to raczej nie milczenie jest jego zasadniczym tematem (czy też zasadniczą ideą uruchamiającą pisanie poety), ale raczej mówienie. Mówienie za tych, którzy milczą. Milczeli. Choć byli jakimś – niekiedy bardzo ważnym – elementem pewnych wydarzeń. Z dziedziny historii i z dziedziny kultury.

Albowiem jest przecież tak, że faktycznie Łazarz milczy, to znaczy nie mówi ani słowa w Nowym Testamencie. Milczy przed wskrzeszeniem, ale też po nim. Podobnie jak milczy Piłat (poza tymi kilkoma słowami, które wypowiada w czasie procesu Jezusa), milczą Trzej Królowie; wiemy za to bardzo dobrze, co robią: jadą, docierają, składają ofiary i pokłon, i wracają inną drogą. Milczy Longinus, milczy Judasz, milczy Barabasz – ci, którym Gociek pozwala w „Milczeniu Łazarza" przemówić do nas!

Eneasz, Odyseusz, Kreon – inni Goćkowi „mówcy" – wszyscy w akcie głębszego wejrzenia w siebie, swój los, bieg życia – takich słów, które wypowiadają u Goćka – nie mówią nigdzie indziej.

I mówią też w tej poetyckiej książce inni – ci, których – może tak powiedziałby to Norwid – zaniemówiła historia czy zamknął w milczeniu mit. „Bohaterowie drugiego planu", „Mieszkańcy miasta Hertogenbosch", rolnicy czasów Jezusa Chrystusa…

DOJŚĆ DO GŁOSU

W „Milczeniu Łazarza" Piotr Gociek dopuszcza ich wszystkich do głosu; daje się im wypowiedzieć, pozwala nam ich wysłuchać.

Czemu to robi?

Bo, zdaje się, intryguje go to, co zasłonięte, nieoczywiste, to, do czego trzeba się przyłożyć, by zrozumieć coś, co jest zakrzyczane, poniekąd kulturowo przegłosowane, określone – zamknięte (jak postać Kreona, Piłata czy Judasza, a nawet Odysa czy Eneasza). Przecież wiemy o nich wszystko – znamy ich „miejsce", znamy „rolę", którą przypisały im kultura czy tradycja literacka. Wydaje się, że wszystko już zostało powiedziane.

Ale jednak Piotr Gociek pozwala nam zbliżyć się do nich i… posłuchać ich opowieści, może nawet racji, może jakiegoś rodzaju wytłumaczenia się z tego, co zrobili (lub czego zrobić zaniechali). Nie są to żadne „historie alternatywne". Poeta ma subtelny, wyczuwający dramatyzm wyborów słuch. Zabieg, koncept, którego trzyma się w „Milczeniu Łazarza" autor, pozwala nam dostrzec nieznany nam wymiar opowieści, które wydawałoby się przecież doskonale znamy. Czy ktoś kiedyś przed Piotrem Goćkiem pomyślał o tym, co mogli byli czuć mieszkańcy miasta Hertogenbosch, odmalowani przez tego „pacykarza Boscha"? Gociek pozwala nam czytać ich protest przeciwko temu, co zrobił z miastem swoją sztuką wielki artysta!

Jaki jest zamysł tego działania poety?

W przypadku postaci, które mieszkają od tysiącleci w naszej kulturze, Gociek daje nam szansę spokojnego wysłuchania ich (zwykle) niespokojnego monologu. Nim wydamy wyrok (ale przecież właści-

eprasa.pl 31386a225f

FOT. ADOBE STOCK

wie nie wydajemy żadnego wyroku – on już zapadł w wielkiej narracji), mamy szansę wysłuchać ich głosu: Odyseusz? Ma już serdecznie dosyć brzemienia i przeszłości, i żeglugi, i samej nawet nadziei powrotu na Itakę! Kreon – jeszcze raz, w dramatycznym monologu, przedstawia swoje racje. Mamy szansę posłuchać marzenia Judasza, spowiedzi Longinusa czy apokryficznego uzasadnienia piłatowego wyroku.

NOWE WIDZENIE STARYCH MOTYWÓW

Można powiedzieć, że taki sposób budowania wiersza jest nam już znany dobrze. Słynęli z niego przecież Zbigniew Herbert i inni twórcy (np. Konstandinos Kawafis), którzy wracali do wielkich narracji ludzkości, by przyjrzeć się im z innej, niekoniecznie tej, która została wypowiedziana, perspektywy. Tak, forma jest nienowa, ale zawsze nowa jest owa perspektywa. U Goćka ona się nieustannie zmienia. Inaczej postrzega swoje doświadczenie Odys, inaczej bohaterowie narracji chrześcijańskiej.

Wielogłosowość i… wieloperspektywiczność – to cecha świata przedstawionego w „Milczeniu Łazarza". Owszem, odgrywamy stary motyw, ale wyobraźnia poety odsłania nam NOWE widzenie, NOWE rozumienie. Za każdym razem. I w każdym przypadku.

Czemu za tym nie pójść?

Trochę przecież po to my w ogóle CZYTAMY kanon naszej kultury, po to OGLĄDAMY dzieła sztuki, które kreują naszą wyobraźnię czy tożsamość – odnajdujemy się w tych narracjach, ale też przecież udzielamy tym narracjom poniekąd samych siebie. Nowe ujęcie ożywia opowieść, pierwszoplanowe (czy epizodyczne) postaci znanych nam powszechnie opowieści mogą poruszyć nas jeszcze raz swoją argumentacją. To właśnie robi Piotr Gociek w „Milczeniu Łazarza" i z tego też powodu uważam, że jest to niezwykle ciekawa, inspirująca książka.

Innym sposobem pisania Goćka jest ujawnianie ukrytych głosów: czy będą to ekfrazy (wiersze, otwierające oglądanie obrazów czy obcowanie z nimi) czy też teksty, w których ukazywani są zwykle milczący (ale z konieczności obecni) ci, którzy stanowią tło wydarzeń. Dla mnie szczególnie frapujący jest tekst „Fides implicita", tekst o tych, o których można powiedzieć, że dla nich:

chmury nad Golgotą widziane z oddali
nie były niczym więcej
jak nadzieją deszczu.

To są owi bohaterowie drugiego planu, których egzystencja upływa w codziennych dekoracjach, w czasie, kiedy zachodzą wielkie wydarzenia. W wielkich narracjach nie ma dla nich miejsca. To w czasie ich życia, jak w wierszu „Fides implicita", dzieje się przełomowe wydarzenie historii świata – życie, nauczenie i śmierć Jezusa Chrystusa, a także ich codzienna egzystencja nigdy nie przecięła się z Jego drogami. Widzę w tego rodzaju tekstach w tomie cichą, subtelną polemikę Goćka z Herbertem, który w znanym wierszu o lekturze historii starożytnej przez przedstawicieli trzech pokoleń ukazuje, jak bardzo nasze rozumienie przeszłości podporządkowane jest dominującej narracji kulturowej. Gociek, podobnie, upomina się o pominiętych, tych, którzy są tłem dziejów, ale dotyka innej kwestii: ich pominięcie nie jest wynikiem przyjętej perspektywy rozumienia, tylko egzystencjalnym faktem istnienia w cieniu. Oni milczą. Są tłem, a poeta ich z tego tła wyciąga – pozwala zaistnieć, daje nam szansę ich dostrzec. To o nich pisze, że:

opatrywali poranione owce
zbierali oliwki
nosili wodę drzewom
i doglądali pustych zagród
porzuconych przez tych co poszli
za nauczycielem
czy można
mieć do nich
pretensje.

W „Bohaterach drugiego planu" określi ich zaś jeszcze dobitniej:

na każdym obrazie na każdym
prawdziwi bohaterowie
historii świata.

Wcale nie jestem pewien, czy można ich tak określić. Są wszak zaledwie tłem, na którym dzieją się dzieje bohaterów. Nawet jednak, jeśli nie zgodzę się z Goćkiem, bo tło pozostaje tłem, to przecież będę mu wdzięczny za to, że ich ZOBACZYŁ.

ZOBACZENIE NA NOWO

Sądzę, że „Milczenie Łazarza" przedstawia nam dosyć spójną, konsekwentną, a przede wszystkim niezwykle sugestywną wizję myślenia o kulturze i dziejach. Piotr Gociek zaprasza nas do niezwykłego powrotu do czasów przeszłych. W pewnym sensie poeta ożywia minione, opowiedziane setki, jeśli nie tysiące razy historie i pozwala nam ujrzeć je na nowo, z nowej, niekiedy zaskakującej perspektywy.

Oczywiście można powiedzieć – to już zużyta forma. Owszem, można dodać, mistrz tejże, Zbigniew Herbert, bronił się przed podobnym zarzutem użyciem ironii. Piotr Gociek jest odrobinę odważniejszy: nie zasłania się ironią – po prostu daje nam szansę powrotu, przeżycia jeszcze raz, podjęcia refleksji. Bo doskonale wie, że zadaniem twórcy jest otwierać, inspirować, zaczynać, dawać szansę, zachęcać do podjęcia wysiłku, a przede wszystkim podsuwać możliwość ZOBACZENIA na nowo.

A czymże innym jest wartościowa sztuka, jeśli nie taką właśnie aktywnością?

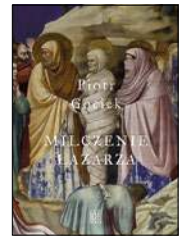

PIOTR GOCIEK „MILCZENIE ŁAZARZA" ARCANA 2025

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem nauk humanistycznych, historykiem literatury, krytykiem literackim, eseistą, poetą.

eprasa.pl 31386a225f

Krystyna hr. Skarbek ponownie zamordowana

Remigiusz Włast-Matuszak

Jedyne, co pozytywnego mogę powiedzieć o filmie, to fakt, że pierwszy raz w publicznym przekazie pokazano koszmarną, zbrodniczą rolę francuskiej ochotniczej organizacji rządu Vichy – Milice Française

Pierwszy raz Krystynę hrabiankę Skarbek zamordował nożem w 1952 r. zakochany Irlandczyk Dennis Muldowney w holu londyńskiego hoteliku Shelborne. Opisał to jako pierwszy i z właściwym sobie talentem dobry znajomy Krystyny Skarbek – Stanisław Cat-Mackiewicz. Krystyna poznała Irlandczyka na angielskim liniowcu, na którym pracowała jako pokojówka, a on był barmanem. Teoria spiskowa mówi, że brytyjski MI-6 motywował Denisa, by się z byłą cenioną agentką ożenił, ale odrzucony Irlandczyk oszalał z miłości na tyle, że czekał na Krystynę w hotelu i po krótkiej scysji zadźgał ją nożem. Przed sądem przyznał się do winy, co spowodowało wydanie wyroku śmierci bez procesu. Karę wykonano.

W jesienny piątek, wraz z dziewięcioma innymi osobami, byłem świadkiem zamordowania Krystyny Skarbek po raz wtóry. Było to w kinie na Krakowskim Przedmieściu, a zabójcą był angielski scenarzysta i reżyser filmu „The Partisan" (polski tytuł „Skarbek") James Marquand, który popełnił kilka fabularnych kryminałów przygodowych klasy B, m.in. „Karty umarlaka" (2006), „Jedna noc w Stambule" (2014) czy „Piękny diabeł" (2017). Potem nic, aż dowiedział się, że w Polsce dział Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej (PISF) i w ramach „zachęt" rozdziela rocznie ponad 200 mln na koprodukcje filmowe.

W 2021 r. złożył w PISF scenariusz filmu pt. „Skarbek". Na przełomie lat 2021 i 2022 jako kolaudant w PISF przekonałem, za trzecim podejściem, MKiDN, by Instytut zawiadywany przez Radosława Śmigulskiego zaczął ujawniać scenariusze tzw. zachęt. (Dwa razy dyrektor Śmigulski zbył decyzje MKiDN milczeniem). Motywowała mnie wola (jakkolwiek okropnie to zabrzmi) wspierania prawdy historycznej. Rok wcześniej, w 2020 r., na ekrany niemieckiej telewizji wszedł niemiecko-polski serial (cztery odcinki) pt. „Dezerter" („Der Überläufer") o antypolskiej wymowie zbliżonej do osławionego serialu ZDF „Nasze matki, nasi ojcowie" wyświetlonego w czerwcu 2013 r. przez TVP prezesa Juliusza Brauna z PO.„Dezerter" dostał z PISF-skich „zachęt" 6 mln zł! Producentem był Aleksander Wojtanowski, a w czołówce tuzy polskiego filmu: muzyka – Antoni Łazarkiewicz, scenografia – Magdalena Dipont i inni.

W kwietniu 2022 r. przeczytałem i dokładnie zrecenzowałem scenariusz filmu „Skarbek". Na próżno ostrzegałem i wręcz prosiłem MKiDN, by odstąpić od realizacji tego „historycznego" pseudointelektualnego koszmarku. Było jednak za późno – umowy były podpisane, miliony złotych przelane i wydane. W scenariuszu znalazłem liczne błędy historyczne (nie ma w Warszawie kościoła św. Pawła przy ul. Lwowskiej). Ale co angielski scenarzysta wie o Warszawie, Budapeszcie czy o walkach w 1944 r. na płaskowyżu Varcors w Owernii – Departament Isére? Tyle, co niedokładnie wyczytał w Internecie.

Ekranizacja scenariusza wypadła fatalnie i poniżej wszelkich ocen filmu fabularnego. Oglądamy przez prawie dwie godziny ciemny, rozedrgany i „artystycznie" nieostry ekran. Zlepek nielicznych prawdziwych wojennych faktów z życia Krystyny Skarbek przedstawiony został w formie mocno krwawego, acz nudnego thrillera, bardziej pastiszu czy parodii „Bękartów wojny" Tarantino z 2009 r. czy „Walkirii". Udręką dla widza są nieznośne psychologiczne wynurzenia bohaterów filmu, rodem z dyskusji feministycznych psycholożek udzielających wywiadu redaktor Biedrzyckiej czy Wysockiej-Schnepf w TVP. To wprost niemożliwe, by ktoś na poważnie to napisał. W dodatku angielski dubbing polskich aktorów jest koszmarny, a polskie napisy adekwatne do bzdur wypowiadanych z ekranu.

Obsada to zbieranina z łapanki na europejskim i polskim rynku filmowym. Skarbek gra córka Romana Polańskiego, Morgane Polański, owszem – ładna, ale zupełnie pozbawiona czaru i wdzięku. Aktorka musi to mieć, tego nie da się nauczyć. Rolę jej ponurego szefa gra popularny 50 lat temu Malcolm McDowell („Mechaniczna pomarańcza" w reżyserii Stanleya Kubricka – 1972 r., „Kaligula" Tinta Brassa z 1979 r.). Piotr Adamczyk w roli kapitana SS Harmana, mordercy matki Krystyny Skarbek, trzyma suspens – spodziewamy się, że w każdej chwili zaprosi publikę do wykupu polisy ubezpieczeniowej, a gdy francuscy więźniowie Maquis zamykają go w trumnie, widać, że sam w to nie wierzy. Autentyczna jest tylko Agata Kulesza w roli matki Skarbkówny.

Jedyne, co pozytywnego mogę powiedzieć o tym filmie, to to, że pierwszy raz w publicznym przekazie pokazano koszmarną, zbrodniczą rolę francuskiej ochotniczej organizacji rządu Vichy – Milice Française – 30-tysięcznej umundurowanej bojówki, która mordowała i wieszała publicznie Żydów i Francuzów z Ruchu Oporu, w tym setki Polaków – górników z Nord-Pas-de-Calais. Milice Française to do dzisiaj temat tabu we Francji.

Po seansie garstka widzów, wychodząc, patrzyła na siebie z zażenowaniem. Jedyny komentarz, jaki padł, to: „Kto zostawił butelkę z wodą?". ©℗

eprasa.pl 31386a225f

Krzysztof Masłoń

Zepsuta busola

FOT. JAREK PRASZKIEWICZ/PAP

Zadziwiająca aktywnością ministra Nowacka ogłosiła wszem wobec rewolucję w podległej jej oświacie, na razie polskiej, ale w przyszłości, kto wie, europejskiej może, a i światowej bym nie wykluczał. Rewolucję spowodować ma reforma, która wdrożona będzie w szkołach podstawowych od 1 września przyszłego roku. Radykalnie zmienić ma ona – cytuję – „sposób myślenia o edukacji – od nacisku na wiedzę przedmiotową ku równowadze między kompetencjami, sprawczością i doświadczeniem ucznia". Reforma zatytułowana „Kompas Jutra" to – jak się dowiadujemy – „długofalowa wizja nowoczesnej edukacji, która ma łączyć naukę z praktyką, technologią i współpracą". Kogo i z kim, dokładnie nam wyjaśniono, ale dziatki nasze z pewnością dowiedzą się tego na lekcjach edukacji obywatelskiej, której program – wbrew pozorom – nie pokrywa się z edukacją zdrowotną, jak wiadomo – oczkiem w głowie Barbary Nowackiej i jej fraucymeru.

Dotychczasowy archaiczny model kształcenia nastawiony był na przekazywanie wiedzy przedmiotowej, ponoć bezużytecznej, bo niewspartej wyuczoną umiejętnością wykorzystania jej w praktyce. Teraz się to zmieni i uczniowie oceniani będą w zależności od stopnia biegłości posługiwania się smartfonem i innymi pomocami naukowymi. W ogóle będzie pięknie, skończą się problemy ze zrozumieniem unijnych instrukcji korzystania ze zlewozmywaka, otwieracza do konserw czy innych dobrodziejstw cywilizacyjnych, przestaniemy być pawiem i papugą, a służebnicą staniemy się własną. W końcu, jak przed laty zadeklarował poeta, jesteśmy wreszcie we własnym domu, a więc nie stój i nie czekaj. Co masz robić? Pomóż! A komu, Koteczku? Jasne, że nowoczesnej i pięknie uśmiechniętej władzy. Współczesna szkoła wesprze swych wychowanków w działaniu, a nie tylko w zapamiętywaniu materiału. Bo i, bądźmy szczerzy, co komu przyjdzie z takich informacji jak ta, kiedy miały miejsce rozbiory Polski i kto nas rozbierał? Żeby popisywać się podobną wiedzą w teleturniejach u pana Sznuka, który na okrągło pyta o to, kto grał na rogu w „Panu Tadeuszu", to znów jakich ran pana Andrzeja niegodna była całować Oleńka w „Potopie". Żenada.

Na konsultacje w kwestii zadeklarowanej rewolucyjnej reformy programowej naród ma czas do 18 grudnia. Korzystając z tej możliwości, z całą mocą powtórzę deklarowane już w tym miejscu dezyderaty. Uczulam oto ministrę Nowacką, by nie prześlepiła nadarzającej się, być może wyjątkowej okazji do pozbycia się raz na zawsze PiS-owskich złogów w postaci niewydarzonych tytułów wciąż obciążających listy szkolnych lektur, wprawdzie mocno już przetrzebionych, niedostatecznie jednak. Kierunek zachodzących zmian wydaje się słuszny. W skrócie sprowadza się on do tego, by „Bogurodzicę" zastąpić „Czerwoną kartką dla Sprężyny" Jacka Podsiadły, a Henryka Sienkiewicza – Olgą Tokarczuk.

Pozostając przy jedynej naszej żyjącej noblistce, zapytam, dlaczego tylko jej „Profesor Andrews w Warszawie" zasługiwał na miejsce wśród lektur obowiązkowych (bo i „Prawiek", i „Bieguni" są lekturami uzupełniającymi, co w praktyce oświatowej często oznacza, że w ogóle ich się nie „przerabia"). Czyżby nieustający w pragnieniu modernizacyjnym naszej jeszcze krytej słomianą strzechą szkoły resort edukacji po cichu przyznawał rację tym wrednym malkontentom, utrzymującym, że z rozlicznych dzieł laureatki Literackiej Nagrody Nobla za rok 2018 jedynie „Profesor Andrews…" nadaje się do czytania? Żeby dać odpór nienawistnej propagandzie, wnioskuję o natychmiastowe wsparcie edukacji polonistyczno-historycznej „Księgami Jakubowymi" tejże autorki. Na razie tylko w szkołach ponadpodstawowych.

Koniecznie należy też zamknąć na cztery spusty uchylone furtki w postaci sugerowanego wykorzystywania fragmentów a to religianckiego „Quo vadis", a to znów antyeuropejskich „Krzyżaków" czy rasistowskiego „W pustyni i w puszczy". Słowem, Sienkiewicz won – w całości. A co jeszcze robią w naszej europejskiej przestrzeni edukacyjnej takie złowrogie postaci jak Zofia Kossak-Szczucka i czy naprawdę dzieciaczkom naszym ukochanym w klasach I–III trzeba wciskać do nieskalanych myślą główek opowieści o dzieciństwie niejakiego Karola Wojtyły, a w klasach IV–VI wybrane przypowieści ewangeliczne?

I jak się ma do wolności wyznania rekomendowanie takich tytułów jak „Wielki Rybak" Lloyda Cassela Douglasa? Jeśli brakuje nam w lekturach literatury powszechnej, to zamiast posiłkować się książkami pochodzącymi z kościelnej kruchty czy z proputinowskich Węgier (przypominam: „Chłopcy z Placu Broni" – wynocha), możemy dać wyraz naszej sympatii dla dzielnego narodu ukraińskiego, a to za sprawą przyswojenia przez młódź utworów Iwana Franki, Tarasa Szewczenki czy Łesi Ukrainki. I to będzie dopiero działanie zgodne z „Kompasem Jutra", jako że polsko-ukraińska dwujęzyczność naszych szkół już puka do drzwi.

Niewątpliwie czeka nas wspaniała przyszłość. Ale może jeszcze piękniejsze Pojutrze, gdy cała ta rewolucyjna reforma znajdzie, wraz z ministrą Nowacką, miejsce jej przynależne: na śmietniku. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Śmierć prezydenta

★★★★★☆
MINISERIA „ŚMIERĆ OD PIORUNA"
USA 2025

wyst. Michael Shannon, Matthew McFayden, Nick Offerman

Niewielu o nich pamięta, choć obaj chcieli pozostawić ślad na piaskach historii. James Garfield, 20. prezydent USA, zapowiadał się na dobrego przywódcę, jego uczciwość była niepodważalna i miał wielkie plany na przyszłość. Kilka miesięcy po wyborze na prezydenta został ciężko postrzelony (wkrótce zmarł) przez Charlesa Guiteau, który przekonany był, że swym czynem zapewnił sobie nieśmiertelność.

W miniserii Netflixa „Śmierć od pioruna" Garfielda gra Michael Shannon, a Guiteau – Matthew Macfadyen – i obaj wykonują świetną robotę. Losy cenionego polityka i śliskiego mitomana pokazane są równolegle, w trzech miejscach przeplatają się ze sobą. Obaj próbują odgadnąć, dokonania jakiego dzieła wymaga od nich opatrzność. Guiteau odgaduje fatalnie. Ale – to jeden z morałów – Ameryka jest dla wszystkich. Jeśli ma być krajem równych szans, to musi się w niej znaleźć miejsce i dla jednostek wybitnych, i dla szaleńców, choć czasem płacona za to cena jest wysoka.

Fascynujące rzeczy dzieją się na drugim planie, gdzie poznajemy kulisy amerykańskiej polityki roku 1880 i następnego. Używając ulubionego terminu Pawła Kukiza, w kraju panuje patriokracja. Każde wygrane wybory, federalne, stanowe czy lokalne, to okazja, by wyrzucić z roboty wszystkich nominatów poprzedniej władzy i obsadzić stanowiska swoimi: teraz niech oni się bogacą. Garfield obiecuje z tym skończyć i jest to jeden z powodów, dla których zostanie prezydentem.

Szczególnie lukratywne są posady w komorach celnych. Najważniejszą z nich, nowojorską, kontroluje gwiazda lokalnej polityki Roscoe Conkling (Shea Whigham). Jego prawą ręką jest niejaki Chester A. Arthur (świetna rola Nicka Offermana), który w wyniku rozgrywek wewnątrzpartyjnych zostanie wiceprezydentem u boku Garfielda. A po jego śmierci – prezydentem, i to naprawdę dobrym, choć nikt się tego nie spodziewał po osobniku przedstawionym na ekranie jako opój, żarłok, osiłek i zwolennik fizycznej przemocy. Niezbadane są wyroki losu, śmierć Garfielda wstrząśnie Arthurem i głęboko go przemieni. A uchwalone wkrótce prawo wymierzone w partyjny nepotyzm odmieni amerykańską politykę. Ameryce walka z tym rakiem zajęła 100 lat. Ciekawe, ile potrwa w III RP. ©℗

GRA TYGODNIA: „JUST DANCE 2026 EDITION"

Seria ewoluuje, w najnowszej edycji nie znajdziemy rewolucyjnych rozwiązań, ale przecież nie tego oczekują fani. W opcji solo można tańczyć, mając wolne ręce, wystarczy sparować smartfon, by nasze kroki, piruety i podskoki odczytywane były przez kamerkę. Niestety, nie zadziała to w trybie wieloosobowym i tu wciąż kontrolerami będą trzymane w dłoniach telefony ze specjalną aplikacją śledzącą nasze ruchy (w wersji na Nintendo Switch wystarczą Joy-Cony). Muzyczna różnorodność (od evergreenów do nowości) sprawi, że odnajdzie się tu cała rodzina. Dobra imprezówka, a do tego potrafi zmęczyć. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** ***taneczna***
- ***Platforma:*** ***PS5, XSX, NS***
- ***Producent; wydawca PL:*** ***Ubisoft***

eprasa.pl 31386a225f

Niebo to ty

KINO

Hulaj dusza, piekła nie ma! Jest tylko raj, urządzony zgodnie z zasadą: każdemu według potrzeb. Co prawda, bezterminowy pobyt w świecie umeblowanym zgodnie z indywidualnym gustem i pragnieniami w pewnych okolicznościach staje się katorgą. To jak z wakacjami: teoretycznie istnieje miliard możliwości, ale jak przyjdzie co do czego, to większość wybiera mniej więcej to samo, czyli Monciak w Sopocie lub Krupówki w Zakopanem. Szczęśliwie po tamtej stronie szanuje się prawa mniejszości. Jesteś lewakiem, amatorem wielkiego żarcia, frankofilem, fanem westernów? Oferta jest szeroka, jak amerykańska autostrada. Rzecz jasna, są i ciemne strony. Nawet w zaświatach będziesz nękany przez reklamy i akwizytorów. W przedsionku nieba niby wolno palić, ale nikt z tej możliwości nie korzysta. Poza tym zmarli też miewają kaca (moralnego).

Fabuła „Eternity" przesadną oryginalnością nie grzeszy. Dość wspomnieć serial „Dobre miejsce" lub powieść „What Dreams May Come" Richarda Mathesona (ekranizację wyświetlano u nas pt. „Między piekłem a niebem"). Prawa rynku są bezlitosne: przeciętny rom-com generuje większy zysk niż najbardziej błyskotliwa komedia filozoficzna. Film Davida Freyna ma jednak sporo dowcipnych momentów. Generują je przede wszystkim „koordynatorzy życia pozagrobowego", zabawni z definicji. Główni bohaterowie nie mogą przekroczyć progu śmieszności, ponieważ ich serca są w rozterce. Luke, zaliczywszy zgon podczas imprezy z okazji ujawnienia płci wnuka (wnuczki?), czeka na połowicę, nie podejrzewając, że ma konkurencję, w osobie pierwszego męża Joan, zabójczego przystojniaka. Z kim spędzić wieczność? Oto jest pytanie. Łatwo o pochopną decyzję, którą oczywiście musi podjąć kobieta. Panowie mogą się co najwyżej unieść honorem, w nadziei, że labilnej wybrance nie przypadnie do gustu opcja, której na imię „świat bez mężczyzn".

Scenarzyści, namieszawszy protagonistom w głowach, sami też się pogubili i zamiast jednego zafundowali widzom kilka zakończeń. Niech każdy wybierze takie, które mu się podoba. Przecież mamy demokrację. Akurat w tej kwestii Polacy są ekspertami, więc rokuję, że „Eternity" rozbije bank. ©℗

Wiesław Chełminiak

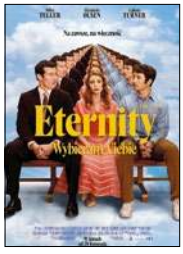

★★★★☆☆

REŻ. DAVID FREYNE
„ETERNITY. WYBIERAM CIEBIE" („ETERNITY")
USA 2025

wyst. Elizabeth Olsen, Callum Turner, Miles Teller

OSTATNIA MISJA

Gadżety, diamenty, piękne i niebezpieczne kobiety. Ktoś to jeszcze pamięta? Tytuł sugeruje pastisz, ewentualnie hołd złożony pierwszemu z filmowych Bondów, mamy jednak raczej do czynienia z piętrową mistyfikacją i artystowskim popisem. Cattet i Forzani pilnują się, by nie dostarczyć pretekstu adwokatom Amazona. Zamiast Jamesa na ekranie miota się więc emerytowany agent John (a może tylko aktor, któremu odbiła palma). Próbuje wyrównać dawne porachunki w odrealnionej scenerii Lazurowego Wybrzeża. Wspomnienia mieszają się z teraźniejszością, kino z komiksem. Wizualnie jest to atrakcyjne (do współpracy wciągnięto nawet Caravaggia), lecz na dłuższą metę męczące. Cui bono? Na ostatecznej kompromitacji antykwarycznego symbolu męskości może zależeć tylko postfeministkom i fanom Stirlitza-Isajewa, który ocalił Kraków. ©℗

KINO

★★★☆☆☆

REŻ. HÉLÈNE CATTET, BRUNO FORZANI
„BŁYSK DIAMENTU ŚMIERCI"
BELGIA/WŁOCHY/FRANCJA/LUKSEMBURG 2025

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Monachijczycy

Do czterech nazwisk z tytułu wystawy – „Monachijczycy. Gierymscy, Stryjeńska, Wierusz-Kowalski, Chełmoński i inni" – warto dodać jeszcze: Teodora Axentowicza, Adama Chmielowskiego, Ludomira Benedyktowicza, Olgę Boznańską, Józefa Brandta, Maurycego Gottlieba, braci Gierymskich. I tu musimy postawić kropkę, bo nazwisk artystów, których prace w liczbie ponad 250 zgromadzono na wystawie, jest 67.

Łączy ich, jak zdradza tytuł, Monachium, które było ważnym ośrodkiem dla polskich artystów. Jak piszą autorzy wystawy: „Miasto oferowało świetną edukację artystyczną [...] oraz sprzyjającą atmosferę i niskie koszty życia". To dlatego polscy artyści w XIX w., zwłaszcza po powstaniu styczniowym, przybywali tu, by szukać możliwości rozwoju. „Monachijska kolonia artystyczna była pierwszym profesjonalnym środowiskiem polskich twórców za granicą oraz ważnym etapem w modernizacji polskiej sztuki i budowaniu nowoczesnej tożsamości narodowej". ©℗

FOT. MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

GDZIE? *Muzeum Narodowe w Lublinie*
KIEDY? *do 8 marca 2026 r.*

eprasa.pl 31386a225f

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zawód: Lec

Stanisław Jerzy Lec – czytamy w „Wycieczce do Szerszeniowiec" – „urodził się w Erew Purim, czyli w dniu, w którym od wieczora zaczynało się święto, bo – jak wiadomo – jeszcze jedną osobliwością kalendarza żydowskiego jest to, że dzień zaczyna się od nocy, mówiąc ściśle: od wieczoru, ponieważ taka jest kolejność słów w biblijnym opisie stworzenia: »I był wieczór, i był poranek – dzień jeden«. Samo sformułowanie, że dzień zaczyna się od nocy, odbieramy jako oksymoroniczne – nic dziwnego, że rodzi ono poetów, przydając słuszności słynnej opinii Marii Cwietajewej, że wszyscy poeci to Żydzi. Właściwie powiada ona tak: »W tym najbardziej chrześcijańskim ze światów / poeci są Żydami«; a by być zupełnie ścisłym: … poety – żydy, używając określenia, które w języku rosyjskim ma charakter pogardliwy, wykluczający – znaczy to zatem coś jeszcze innego, coś więcej, niepokojąco więcej, niż podpowiadał oksymoron, ale nie będziemy się teraz w to wgłębiać".

Może szkoda, bo temat jest sam w sobie pasjonujący. Niemniej opowieść znawczyni twórczości Leca – Lidii Kośki – o krajobrazach wpisanych w życie autora „Myśli nieuczesanych", zwłaszcza tych z dzieciństwa spędzonego przez niego na Podolu, otwierają nowe perspektywy dla miłośników tej niezwykłej literatury usytuowanej gdzieś na pograniczu liryki i satyry. Co nie zmienia faktu, że marzyłaby mi się biografia barona Stanisława Jerzego de Tusch-Letza, który o sobie mówił, że w rubryce zawód mógłby wpisywać nazwisko.

W Szerszeniowcach, rodzinnym majątku matki – Adeli z domu Safrin – przyszły mistrz aforystyki spędzał wakacje. Po dawnym

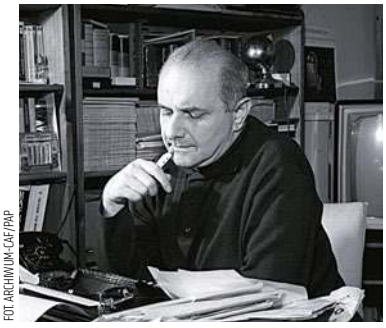

FOT. ARCHIWUM CAF/PAP

dworze nie ma dziś śladu, z domku, gdzie modlili się Żydzi, zostały ruiny, Kościół katolicki też się sypie, odnowiono jedynie cerkiew. A w 1992 r. postawiono we wsi symboliczny grób bojowników o wolność Ukrainy. Wokół „szeroko, pusto i cicho […], od Bukowiny krok, dwa od Rumunii".

Autorka tej książki, zwróconej „w stronę Leca", odwiedziła Szerszeniowce kilka lat temu. Opowiedziała też o innych miejscowościach ważnych w życiu poety: o Tarnopolu, Czerniowcach, a także o Wiedniu, nie pomijając oczywiście Warszawy, gdzie Stanisław Jerzy Lec zmarł w 1966 r. i pochowany został na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Na jego grobie wyryty został, cóż by innego, jeszcze jeden aforyzm: „Niełatwo jest żyć po śmierci. Czasem trzeba na to stracić całe życie".

A życie to było nie wyjątkowe nawet, a wręcz nieprawdopodobne. Ten zamożny „panicz" przed wojną komunizował, a po zajęciu połowy Polski przez Sowietów wsławił się w wątpliwy raczej sposób, pisząc pierwszy wiersz o Stalinie – naturalnie na kolanach. Podpisał deklarację „Polscy pisarze witają zjednoczenie Ukrainy", a w 1940 r. wstąpił do Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej opuścił Lwów, ale zrezygnował z dalszej peregrynacji na wschód, a w Tarnopolu, gdzie się znalazł, trafił do obozu pracy przymusowej. Jak sam wspominał, cudem uniknął rozstrzelania, a w lipcu 1943 r. uciekł z obozu w zdobytym za łapówkę od strażników mundurze esesmańskim. W Warszawie, do której się przedarł, mieszkanie i ochronę przed szmalcownikami zapewnił mu przyszły przewodniczący PRL-owskiej Rady Państwa, Marian Spychalski. Lec angażował się w komunistyczną działalność konspiracyjną, najpierw w Gwardii Ludowej, a następnie w Armii Ludowej, m.in. współredagując organ GL „Żołnierz w Boju". W maju 1944 r. brał udział w walkach partyzanckich na Lubelszczyźnie, w tym w bitwie pod Rąblowem. Przez trzy miesiące był jednym z redaktorów podziemnego pisma PPR „Wolny Lud", a w lipcu 1944 r. wstąpił do Wojska Polskiego, w którym otrzymał stopień majora.

W 1946 r. został attaché prasowym Polskiej Misji Politycznej w Wiedniu. Cztery lata później wyjechał z rodziną do Izraela, co zostało uznane za zdradę socjalistycznej ojczyzny. I żeby nic w tym życiorysie nie było oczywiste, w 1952 r. powrócił do Polski. I, zdanie po zdaniu, dawał swą twórczością odpór totalitarnej zarazie.

„Czy piszę aforyzmy, fraszki, lirykę czy satyrę? – pytał autor »Myśli nieuczesanych«. – Nie, ja piszę siebie, swój pamiętnik". Nie mamy innej możliwości, niż odczytywać jego życie poprzez twórczość. Tak też czyni Lidia Kośka, której podróż po świecie Stanisława Jerzego Leca odbywa się wprawdzie – na co zwraca uwagę w krótkim posłowiu syn poety, Tomasz Lec – „w istniejącej przestrzeni, ale w nieistniejącym już jej duchu". ©℗

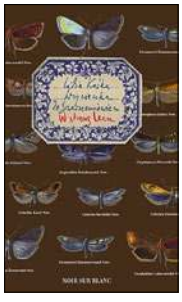

★★★★★

LIDIA KOŚKA „WYCIECZKA DO SZERSZENIOWIEC. W STRONĘ LECA" NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2025

eprasa.pl 31386a225f

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Fantazja napoleońska

Dzieje się: kawalerzyści Neya i Poniatowskiego sieką Rosjan pod Pskowem, ruscy chłopi nie chcą bronić cara, Wielka Armia boga wojny szybkim marszem zbliża się do Petersburga. Na próżno ścigają ją trzy armie rosyjskie: Bagrationa, Barclaya de Tolly i Tormasowa. Bałtyckie porty zdobyte zostają przez Francuzów. Jeszcze chwila i padnie Wenecja Północy nad Newą.

Wszystko pięknie, ładnie, jest tylko jeden kłopot – nic z tego się nie wydarzyło. Marek Baterowicz snuje swą historię alternatywną wokół jednej fundamentalnej zmiany w ustawieniu zwrotnicy historii: Napoleon zamiast ruszyć na Moskwę, wybiera w roku 1812 marsz na Petersburg, stolicę Imperium Rosyjskiego.

Nietypowa to powieść kontrfaktyczna, bo nie wyszła spod pióra zawodowego fantasty, lecz poety, prozaika i tłumacza zakochanego w poezji wieków XVI i XVII. Pamiętam Baterowicza z lat 80. jako autora dwóch świetnych książek: „Rękopis z Amalfi" i „Pułapka pod księżycem" (był to trochę taki nasz realizm magiczny). Kilka lat temu odkryłem jego wydaną już na emigracji powieść „Ziarno wschodzi w ranie" (Sydney 1992), którą uważam za jedną z najważniejszych polskich książek o stanie wojennym. Ową powieść wznowiło w Polsce stowarzyszenie Solidarni 2010 (w roku 2017), które wsparło też wydanie „Wojny 1812".

Rozdarty jestem nieco po lekturze, ale jednak bardziej na tak. Baterowicz troszkę za często skręca w dydaktyzm, jego bohaterowie zbyt często zamiast toczyć dysputy, objaśniają wydarzenia i ich sens sobie nawzajem (a w domyśle: czytelnikowi), przydałaby się całości uważna redakcja. Jednak powstała książka urocza w swym rozmarzeniu, wbrew tytułowi jednak nie „quasi una fantasia" (prawie fantazja), lecz po prostu fantazja. Bo jakże tu wierzyć, że lud ruski odrzuci swego samodzierżcę w imię francuskich nowinek, a Aleksander zrozumie, że lepiej być cywilizowanym i łagodnym niż dzikim i srogim?

Była to jednak fantazja, w którą zanurzyłem się z ochotą, dając się prowadzić za rękę autorowi, który choć żyje w dalekiej Australii, to na Polskę pozostaje nieuleczalnie chory tak samo jak my tutaj. Przynajmniej niektórzy z nas. Warto dumać, czy mógł ją spotkać los lepszy, niż spotkał. Trzeba pracować, by nie trzeba było o tym dumać. ©℗

★★★☆☆☆

MAREK BATEROWICZ „WOJNA 1812. QUASI UNA FANTASIA"
SOLIDARNI 2010, AKWEDUKT 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zapiski prowadzone przez autora „Dżumy" od maja 1935 do grudnia 1959 r. (zginął 6 stycznia 1960 r.). Trzytomowy zbiór ukazuje się w jednym woluminie, wzbogacony o brudnopisy listów i notki zapisywane w kalendarzach.

ALBERT CAMUS „NOTATNIKI" PIW

Zwięzła, acz poruszająca autobiografia genialnego badacza, który od 21. roku życia walczył z SLA. To opowieść nie tylko o intelektualnych poszukiwaniach i życiowych rozterkach, lecz także o powstaniu słynnej „Krótkiej historii czasu".

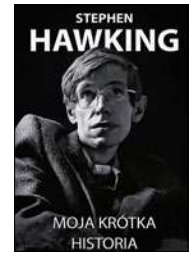

STEPHEN HAWKING „MOJA KRÓTKA HISTORIA" ZYSK I S-KA

Pierwsze polskie wydanie ponad 100 lat od premiery. Wells miał tę książkę za tak ważną, jak „Wehikuł czasu", ale ten miks fantazji i przepowiedni mocno się zestarzał. Potem rozwinięty został w książkę „Kształt rzeczy przyszłych".

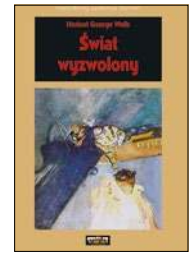

H.G. WELLS „ŚWIAT WYZWOLONY" STALKER BOOKS

Każdy, kto interesuje się historią Polski, powinien przeczytać wspomnienia z dzieciństwa autora „Solaris". Pierwszy raz ukazały się w PRL, nie wszystko mógł Lem napisać, ale to co uczynił, wystarcza: oto Lwów między wojnami.

recenzuje Piotr Gociek

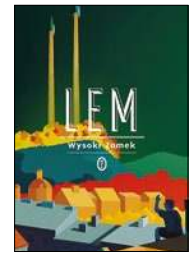

STANISŁAW LEM „WYSOKI ZAMEK" WYDAWNICTWO LITERACKIE

KOMIKS TYGODNIA:
PERFEKCJA NIEDOSKONAŁA

Nieodległa przyszłość. Człekokształtne roboty są powszechnie używane, Japonia natomiast zmierza ku kolejnej epoce dobrowolnej izolacji. Na tym tle rozgrywa się dramat małżeński w najlepszym francuskim stylu: on, ona i ta trzecia (w dodatku android). Ważniejsze jest jednak w tej subtelnej i mądrej historii co innego: jak przyjmujemy przemijanie czasu i prawdę o własnych słabościach.

Piotr Gociek

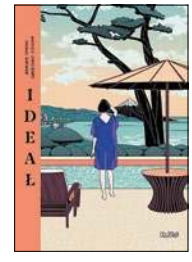

BAPTISTE CHAUBARD, THOMAS HAYMAN „IDEAŁ" KURC 2025

eprasa.pl 31386a225f

Polscy geopolitycy marzą o polskim imperium

Jacek Bartosiak uchodzi dziś za czołowego polskiego geopolityka
FOT. ŁUKASZ WÓJCIK/REPORTER

Adam Wielomski

Na seminarium jeden ze studentów rozstawił mapę Europy i powołując się raz za razem na Jacka Bartosiaka, zaczął opowiadać o koniecznych dla naszego kraju nowych granicach na wschodzie, które miałyby opierać się o Dniepr na Ukrainie i o bramę smoleńską. Spytany o to, jak to osiągnąć, odpowiedział bez wahania: „Za pomocą wojny"

Termin „geopolityka" zrobił w ostatnich latach w naszym kraju oszałamiającą karierę. Każdy jest dziś geopolitykiem i specjalizuje się w geopolityce. Pojęcia tego nadużywają influencerzy na popularnym YouTube i komentujący w mediach społecznościowych. Czym właściwie jest geopolityka i dlaczego stała się w Polsce tak popularna?

IDEOLODZY NADCHODZĄCEGO IMPERIUM

Zacznijmy od pytania: Czy geopolityka jest nauką? O ile mi wiadomo, nigdy i nigdzie nie została ona uznana oficjalnie za dyscyplinę naukową, choć osoby się nią zajmujące bardzo się o to zawsze starały. Widać było tę próbę szczególnie mocno w III Rzeszy, gdy niemieccy geopolitycy chyba co do jednego poparli Adolfa Hitlera. Uznawany za „cesarza geopolityków" Karl Haushofer był w bardzo zażyłych stosunkach z Rudolfem Hessem i odwiedzał jego oraz przyszłego Führera w więzieniu w Landsebrgu w roku 1924, po nieudanym puczu nazistów w Monachium. Mimo tych znajomości geopolitycy nie uzyskali dla dziedziny, którą się zajmowali, upragnionego statusu oddzielnej dyscypliny naukowej. W tej sytuacji Haushofer i jego koledzy próbowali przekształcić swój flagowy periodyk „Zeitschrift für Geopolik" w najważniejszy organ teoretyczny nazizmu. Niestety, tutaj też odnotowali porażkę, gdyż w oczach władz III Rzeszy główną

eprasa.pl 31386a225f

ideologią systemu była nauka o rasach ludzkich, czyli antropologia.

Dlaczego geopolityka nie jest nauką? Dlatego, że problematyką tą zajmowali się ci geografowie, których pociągała polityka. O ile geografia jest dyscypliną określoną, mającą swój obszar badań i własną metodologię, o tyle w przypadku geopolityki wszystko było płynne. Geografowie wypowiadali się o polityce, patrząc na mapy i jeden na tej podstawie twierdził to, a drugi coś innego. Jedni patrzyli na mapy gospodarcze, inni na historyczne, jeszcze inni na lingwistyczne i każdy z nich wnioskował coś innego. W sumie geopolityka była bardziej publicystyką geograficzno-polityczną z przypisami, imitującą oddzielną dyscyplinę. W istocie wszystko to, czym zajmowali się geopolitycy, już dawno stanowiło obszar badań nauk o polityce i stosunków międzynarodowych.

Pomiędzy geopolityką a stosunkami międzynarodowymi i naukami o polityce istniała jednak znacząca różnica. Jest to różnica, która uwodziła teoretyków imperialnych w II, a potem w III Rzeszy, a także podobnych im specjalistów anglosaskich oraz współczesnych polskich i rosyjskich znawców zagadnienia. Chodzi o podmiot zainteresowań. Gdy geopolityka rodziła się na początku XX w., to podstawową jednostką w polityce światowej było suwerenne państwo, zwykle narodowe lub terytorialne, a więc niezbyt duże, nawet jeśli posiadało ono zamorskie kolonie, których jednak nie uważano za część terytorium narodowego. Niemiecki specjalista od stosunków międzynarodowych w 1900 r. miał na mapie podmiot polityczny nazywający się Niemcy, którego granice były wyznaczone (dla uproszczenia) między Renem, Bałtykiem i Alpami. Specjalista taki zajmował się relacjami z państwami sąsiednimi, wspierany przez prawnika zajmującego się prawem międzynarodowym publicznym, który nauczał o zasadach relacji z sąsiadami, i przez teoretyka wojskowości uczącego, jak się z nimi prowadzi wojnę. Niemieckim szowinistom i rasistom tej narodowej przestrzeni (niem. Raum) było mało. Uwodziła ich wizja Rzeszy od Atlantyku do bramy smoleńskiej, Dniepru i Bosforu. Zwolennicy pangermanizmu próbowali dowodzić niemieckich praw do panowania nad większością Europy istnieniem lokalnych skupisk ludności niemieckiej w poszczególnych państwach. Rasiści próbowali tego samego dowodzić, opowiadając bajki o istnieniu rzekomej rasy nordyckiej (w istocie będącej germańską grupą językową), a geografowie rysując mapy z wielkimi Niemcami i otaczającym ich wianuszkiem państw protektoratów w Europie Środkowej (niem. Mitteleuropa). Geografowie byli w budowie doktryny imperialnej bardzo twórczy i dlatego uwodzili swoich zwolenników. Tworzyli tzw. sugestywne mapy, z których wynikać miały niemieckie aspiracje terytorialne. Na podstawie map etnicznych rozszerzali granice Niemiec właściwych. Na podstawie map historycznych wskazywali dawne germańskie ziemie, gdzie zachowały się germańskie geny i które należało skolonizować i zniemczyć. Na podstawie map zasobów surowcowych rysowali granice niemieckiego imperium, aby posiadało ono wszystkie możliwe do samodzielnego trwania surowce i mogło funkcjonować w warunkach ekonomicznej samowystarczalności (autarkii). Na podstawie map fizycznych wyznaczali granice „naturalne" imperium. Każdy kolejny geopolityk za pomocą map dowodził, że imperium musi być jeszcze ciut większe, iż należy jeszcze przyłączyć ten lub tamten kawałek ziemi lub uczynić zeń rodzaj niemieckiej kolonii. Nie jest przypadkiem, że Adolf Hitler pojęcie „przestrzeni życiowej" (niem. Lebensraum) usłyszał od Haushofera, który z kolei znalazł je w pismach nieżyjącego już Friedricha Ratzela.

Tą opowieścią chciałem czytelników doprowadzić do pewnej konstatacji, którą teraz wyłożę zupełnie wprost: podszywając się pod rzekomo obiektywną naukę o relacjach między polityką a geografią, geopolitycy zawsze byli, są i pewnie zawsze będą twórcami marzeń o imperiach. To polityczni fantaści i marzyciele. Zwracam uwagę, że osoby, które same się tak określają, zwykle są najbardziej aktywne nie w sytuacji, kiedy żyją w autentycznym wielkoprzestrzennym imperium, lecz gdy w danym narodzie marzenie to jest najsilniejsze. W Niemczech geopolitycy królowali przed pierwszą wojną światową, gdy Rzesza szykowała się do wojny o panowanie nad Europą, aby stać się graczem światowym (niem. Weltmacht). Wtedy pisali Friedrich Ratzel i szwedzki germanofil Rudolf Kjellén. Królowali przed drugą wojną światową, gdy swoje dzieła tworzył Haushofer, a Carl Schmitt formułował koncepcję „wielkiej przestrzeni". We współczesnej Rosji marzenia o wskrzeszeniu imperium snuje obecnie Aleksander Dugin, zresztą gęsto i często cytując niemieckich autorów. Słowem, geopolityk to ideolog imperium, które dopiero ma nadejść, ma przełamać chaos małych i średnich państw, aby stworzyć wielką potęgę z własnym narodem jako narodem hegemonicznym.

KIERUNEK WSCHÓD

Na prowadzonym przeze mnie seminarium ze studentami jeden z uczestników miał przygotować prezentację o polskiej polityce wschodniej, co też uczynił. Rozstawił mapę Europy i powołując się raz za razem na Jacka Bartosiaka, zaczął opowiadać o koniecznych dla naszego kraju nowych granicach na wschodzie, które miałyby opierać się o Dniepr na Ukrainie i o bramę smoleńską. Patrzę na niego i widzę niesamowite przejęcie na twarzy. Gdy skończył, zapytałem go, czy może głośno i wyraźnie powiedzieć, na terenie którego państwa znajduje się brama smoleńska. Odpowiedział, że na terenie Rosji. Spytałem zatem, w jaki sposób Polska mogłaby przyłączyć tę bramę? Odpowiedział bez wahania: „Za pomocą wojny".

Tak, marzeniem geopolityków jest imperium. Nie odmawiam patriotyzmu polskim geopolitykom, lecz idee mają konsekwencje. Są zwolennikami budowy imperium przez Polskę. Marzy im się atakowanie i zdobywanie Kaliningradu (przemianowanego ostatnio oficjalnie na Królewiec), granica na bramie smoleńskiej, wymagająca najpierw zajęcia Białorusi, a potem wojny z Federacją Rosyjską. Marzy im się granica na Dnieprze lub przyłączenie do imperium całej Ukrainy, z granicami z 2014 r., a więc z Krymem i Donbasem. Stąd też polscy geopolitycy (z wyjątkiem Leszka Sykulskiego) od pierwszego dnia wojny ukraińsko-rosyjskiej nauczają, że to jest „nasza wojna", nawołując do wsparcia Kijowa sprzętem, pieniędzmi, a co bardziej krewcy najchętniej zaatakowaliby Kaliningrad/Królewiec, ostrzelali rakietami dalekiego

eprasa.pl 31386a225f

zasięgu Petersburg i wysłali nasze wojska do walk o Pokrowsk i Mirnograd. Oś tego imperium stanowić miałby tzw. Ukropol, czyli federacja polsko-ukraińska, do której wkrótce miałaby dołączyć Białoruś (gdy tylko obalimy Alaksandra Łukaszenkę) i państwa nadbałtyckie.

W istocie nasi geopolitycy nigdy nie pogodzili się z historyczną porażką ekspansji Rzeczypospolitej na wschodzie, w czasie której, w kolejnych wojnach od XVI w. do roku 1945, utraciliśmy kontrolę nad ziemiami Rusi, przy okazji sami popadając w rosyjską niewolę lub zależność (czasy saskie, zabory, Polska Ludowa). Geopolitycy polscy chcą rewanżu. Marzy im się Rosja skarlona do czasów epoki Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Marzą o jej podziale na „kilkanaście państewek", o „wyzwoleniu uciemiężonych narodów Rosji" etc. Stworzona przez Polskę federacja miałaby mieć jakieś 100 mln mieszkańców i rzekomo miałaby mieć potencjał, aby stać się małym imperium pomiędzy Niemcami a Rosją. Raczej w przyszłości, gdyż na razie Polska nie ma potencjału demograficznego, ekonomicznego, militarnego i politycznego, aby stać się centrum imperium. Ukraina na naszych oczach przegrywa wojnę i wbrew marzeniom geopolityków nigdy nie miała szans jej wygrać. Po wojnie na jej pomniejszonym terytorium zostanie jakieś 25 mln ludzi, głównie starszych (młodzi wyjechali i nie wrócą), a połowę zasobów naturalnych już odebrali jej Amerykanie. Prawdę mówiąc, kompletnie nie widzę potencjału na stworzenie imperium, nawet miniaturowego. Ukraina byłaby kulą u nogi dla rozwoju gospodarczego Polski, trwale obciążając polskiego podatnika. Federacja z Ukrainą nie wzmocniłaby Polski, lecz by ją osłabiła.

Pozostaje jeszcze pytanie: Czy narody, które polscy geopolitycy widzą w tym przyszłym imperium, w ogóle chcą do niego należeć? Trudno nie odnieść wrażenia, że kwestia ta jest w Polsce kompletnie ignorowana. Patrząc na falę szowinizmu i banderyzmu na Ukrainie czy też skrajną niechęć do ekshumacji na Wołyniu, nie bardzo widzę partnera do budowy imperium. Ukraiński nacjonalizm jest w tej chwili nie tyle ruchem pozytywnym, ile separatyzmem wobec rosyjskiego imperium. Nie widzę w Kijowie chęci wychodzenia z jednego imperium, aby zapisywać się do drugiego, szczególnie że jesteśmy tam postrzegani jako stary naród imperialny, który gnębił lud ukraiński przez kilkaset lat. Na Białorusi za jakimiś sojuszami z Polską opowiedzieć się może tylko słaba opozycja antyłukaszenkowska. Przeciętny Białorusin o federacji z Polską nawet nie myśli. Co sądzą o nas Litwini, pisać nawet nie trzeba, gdyż widać, jak zachowują się w stosunku do Polaków na Wileńszczyźnie. Słowem, narody ewentualnie wchodzące w skład planowanego imperium widzą zgodnie w Polakach i Rosjanach dwa historyczne narody imperialne. Prawdę mówiąc, odnoszę wrażenie, że nasi geopolitycy podobnie nas postrzegają. Niemieccy geopolitycy i imperialiści używali zawsze pojęcia „naród imperialny" (niem. Reichsvolk), rozumiejąc przez to Niemców jako naród naturalnie predestynowany do rządzenia wielonarodową całością. Nasi polscy imperialiści, podszywający się pod geopolityków, widzą to podobnie. Ukraińcy, Białorusini i Bałtowie traktowani są protekcjonalnie jako ci, którym starszy i bardziej doświadczony polski brat wskaże kierunek, reformy, wprowadzi do instytucji zachodnich, zbuduje prawdziwą demokrację. Gdzieś tutaj majaczy idea, że na stepach Ukrainy będzie polska „neoszlachta", a wokół będą latały sokoły.

Polacy mieszkają między Odrą a Bugiem i niech to nam wystarczy. Inaczej uwikłamy się w kolejny wielowiekowy konflikt z Rosją o panowanie nad Rusią

Prawdę mówiąc, popularność geopolityków w Polsce interpretuję jako zamaskowaną i podaną w pseudonaukowej narracji polską ideę imperialną. Nie jestem imperialistą. Od lat piszę dużo o imperializmie niemieckim i o tym, jak nas imperialiści niemieccy traktowali. Jak nas traktował kajzer i jak nas dziś traktuje Ursula von der Leyen. Polacy mieszkają między Odrą a Bugiem i niech to nam wystarczy. Inaczej uwikłamy się w katastrofę konfliktów etnicznych na wschodzie, w kolejny wielowiekowy konflikt z Rosją o panowanie nad Rusią, w finansowanie rozwoju „kresów" przyszłego imperium. Po co nam to?

PO CO CZYTAĆ DUGINA?

Jeśli ktoś z czytelników, po przeczytaniu powyższych rozważań, doszedł do wniosku, że geopolityka nie istnieje i w ogóle się tą tematyką nie należy zajmować, to chciałbym na sam koniec ten wniosek skorygować. Jakkolwiek stoję na stanowisku, że zdecydowana większość geopolityków to marzyciele i utopiści, w dodatku z silnym przesłaniem imperialnym (czyli prowojennym), to nie uważam, że nie powinniśmy geopolityków czytać, zwłaszcza cudzych. Naukowiec studiujący stosunki międzynarodowe lub komentator polityki innych państw, a szczególnie mocarstw, winien dzieła geopolityków bardzo starannie studiować, nawet jeśli wie, że w większej części przedstawiają marzenia i utopijne wizje.

Geopolitycy przedstawiają to, co poszczególnym narodom „w duszy gra", o czym marzą te narody lub przynajmniej ich bardziej ekspansjonistyczna część. Stąd np. nie rozumiem protestów w związku z wydaniem w Polsce zbioru tekstów Dugina. Jeśli badamy rosyjską myśl imperialną, to czytając Dugina, można się dowiedzieć, co najbardziej ekspansjonistycznemu segmentowi społeczeństwa rosyjskiego chodzi po głowie i gdzie znajduje się w tych wizjach miejsce Polski.

Innymi słowy, jakkolwiek do geopolityki jako nauki zgłaszam wiele wątpliwości i nie dostrzegam jej naukowej wartości, traktując ją jako ideologię ekspansjonistyczną z naukowymi przypisami, to uważam ją za istotny element myśli politycznej poszczególnych państw i narodów aspirujących do statusu imperialnego. Dlatego musi prace geopolityków czytać i znać politolog, badacz stosunków międzynarodowych i analityk czy też komentator polityki światowej. Ja czytam zarówno Haushofera, jak i Dugina.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

Robert Bogdański

Cena klimatycznych iluzji

Zakończony spektakularnym fiaskiem szczyt COP30 w brazylijskim Belém tylko uwypuklił hipokryzję uczestników konferencji klimatycznych

Właściwie długo przed rozpoczęciem obrad w amazońskim Belém można się było spodziewać, że coś jest z tą konferencją klimatyczną nie w porządku, skoro do mediów przedostały się informacje, że Niemcy robią wszystko, aby nie zostać organizatorem następnej: COP31 w roku 2026. O to, kto miał organizować tę konferencję, spierały się bowiem Australia oraz Turcja i jeszcze po rozpoczęciu obrad w Brazylii nie było wiadomo, czyja oferta przeważy. A gdyby nie udało się wybrać, to Niemcy musiałyby się podjąć organizacji, bo w ich kraju znajduje się siedziba odpowiedzialnej za nią agendy ONZ i w statucie znajduje się ustalenie, że jak nie wskazano chętnego, to pada na gospodarzy. Sekretarz stanu w niemieckim ministerstwie środowiska, Jochen Flasbarth, brzmiał dość dramatycznie, gdy mówił dziennikarzom, że jego kraj chce, aby „na litość boską wskazać na któryś z tych krajów, bo u nas to się nie uda".

Oficjalnie Niemcy przekonywali, że nie poradzą sobie organizacyjnie, co już samo w sobie brzmi jak znak czasów, ale wolno sądzić, że nie mieli ochoty brać sobie na barki imprezy, która gromadzi dziesiątki tysięcy aktywistów i nie gwarantuje niczego poza bezustannym konfliktem, którego mają już u siebie pod dostatkiem. W Dubaju czy w Baku można było wziąć tych aktywistów w ryzy, bo to kraje autorytarne, w Brazylii wywieziono całe towarzystwo w środek Puszczy Amazońskiej i dano możliwość nieustannego kontaktu z przedstawicielami „rdzennych ludów", więc było w miarę spokojnie, a chwilowe i nieliczne ruchawki stanowczo likwidowały ONZ-owskie i brazylijskie służby, które dbały o to, aby ratowanie planety odbywało się w niezbędnym porządku. W Niemczech natomiast ludów rdzennych brak, a rozwydrzenie aktywistów przyzwyczajonych do tego, że demokracja polega na tym, iż mogą robić wszystko, jest znane.

Na szczęście prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan, który lubi kolekcjonować międzynarodowe wydarzenia, by wzmocnić pozycję swojego kraju i przy okazji nieco zarobić, zdołał pokonać Australijczyków i następna konferencja odbędzie się w Ankarze. Czyli Niemcy zostały uratowane…

STATKI MIŁOŚCI

W samej Brazylii natomiast było tylko gorzej. Pozornie umiejscowienie szczytu klimatycznego w samym sercu Amazonii, której puszcze były od dziesięcioleci ikonicznym obrazem pierwotnej natury, którą trzeba chronić, bo jej roślinność absorbuje ogromne ilości dwutlenku węgla i w związku z tym zasługuje na miano „płuc świata", było strzałem w dziesiątkę. Tylko żeby przetransportować wszystkich polityków i aktywistów zatroskanych o zachowanie owych płuc, trzeba było wyciąć jakieś 70 km kw. puszczy pod nowiutką czteropasmową autostradę, dzięki której na miejsce walki można było dotrzeć szybko i na czas.

Wzbudziło to zrozumiałe wzburzenie postępowych mediów, a nieoceniona BBC opublikowała nawet wzruszający reportaż o tym, jak wycinka zniszczyła gospodarczo rodzinę sympatycznego pana Claudia, który utrzymywał rodzinę z tego, że zbierał jagody, a teraz na miejscu lasu, do którego chadzał je zbierać, jest asfalt, w dodatku przesłonięty dźwiękochłonnym ekranem, więc nawet jak jakaś jagoda się uchowała, to nie sposób się do niej dostać.

Ta dramatyczna historia niestety nie wzruszyła nikogo, a prezydent Brazylii Lula da Silva nadal jest kochany przez cały postępowy świat. Może poza Gretą Thunberg, która już drugi rok odmówiła przyjazdu na obrady COP, oskarżając polityków o zdradę ideałów. Bardzo słusznie zresztą, co może się pokazać choćby po tym, że organizatorzy spotkania w Belém, które miało trudności z przyjęciem ponad 50 tys. gości naraz, zdecydowali się na sprowadzenie i zakotwiczenie na Amazonce dwóch ogromnych statków pasażerskich, które posłużyły jako pływające hotele. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo po Amazonce pływa takich gigantów wiele i za drobne kilka tysięcy dolarów można sobie odbyć nimi miłą, tygodniową podróż, oglądając płuca świata z bezpiecznej odległości – ale chwalenie się tym przez organizatorów konferencji, która z założenia ma walczyć z emisjami CO_2, wydaje się cokolwiek dziwaczne. Rzecz w tym, że takie „statki miłości" emitują najwięcej CO_2 spośród wszystkich jednostek pływających, więcej niż tankowce. I jako takie od lat znajdują się na celowniku aktywistów, którzy domagają się zakazu ich używania, bo przy ich pomocy niszczenie planety odbywa się li tylko ku przyjemności obrzydliwie bogatych zachodnich turystów. A tu –

eprasa.pl 31386a225f

proszę bardzo – hotelowe pływające giganty nagle stały się godne, by gościć elitę awangardy (lub awangardę elity). Na miejscu Grety Thunberg też bym się oburzył, bo ona nie zwraca uwagi na takie drobiazgi jak to, ilu ludzi żyje z tego, że „obrzydliwie bogaci" turyści zechcą wykupić rejs po Amazonce.

Tak czy owak, aktywiści klimatyczni zakwaterowani w kabinach statków, z których istnieniem walczą, mogli mieć jednak pewien dysonans poznawczy. Dość podobny do tego, który odczuli wszyscy, którzy przeczytali słynny artykuł Billa Gatesa z października, w którym wycofywał się z proroctw o tym, że Ziemia stanie się wskutek zmian klimatycznych „niezdatna do życia", co napisał przecież całkiem niedawno, bo w książce wydanej w roku 2021. Otrzeźwienie postępowego miliardera spotkało się z pozytywnym przyjęciem samego Bjørna Lomborga, człowieka, który dla wszystkich zatroskanych o los planety jest od wielu lat czarnym ludem, bo stara się argumentować, że do zmian klimatycznych należy się po prostu przystosować, a nie próbować je odwrócić, czego ludzkość zrobić nie jest w stanie, nie przenosząc się do epoki przedindustrialnej. I oto Gates prezentuje podobną opinię, a Lomborg go chwali – co za czasy!

Aby nie było niedomówień: obaj panowie nie kwestionują danych na temat tego, że klimat na Ziemi się ociepla. Tyle tylko, że Lomborg od lat usiłował przekonywać, iż gigantyczne pieniądze wydawane na osiągnięcie nieosiągalnego celu powinny zostać użyte choćby w drobnej części na walkę z ubóstwem i głodem, a obóz, w którym znajdował się Gates, nakręcał histerię której ulegali rozmaici „przyklejacze" i liberalni politycy decydujący o przeznaczeniu wielkich środków, każda z tych grup na swój sposób. W wyniku ich działalności powstał swego rodzaju ekosystem polityczny, promujący wydawanie niewiarygodnie wielkich kwot na obniżenie światowej temperatury pod grozą zagłady ludzkości, bo przecież „planeta płonie". Wycofanie się Gatesa z tego obozu wzbudziło silne zaniepokojenie, czego skutki można było zaobserwować choćby na rodzimym portalu naukaoklimacie.pl, gdzie opublikowano tekst pt. „Co właściwie napisał o zmianie klimatu Bill Gates?", udowadniający, że w gruncie rzeczy żadna znacząca zmiana w poglądach miliardera nie zaszła. A skoro nie zaszła, to nie warto na jego tekst zwracać uwagi, tylko trzeba wzmóc wysiłki na rzecz ratowania planety i można się rozejść do zadań.

DEKARBONIZACJA GOSPODARKI

Tymczasem Bill Gates po prostu zaczął zauważać rzeczywistość, a ta się zmienia – czego nie chcą brać pod uwagę „przyklejacze", a za ich przykładem liberalni politycy. Dekadę temu Międzynarodowa Agencja Energetyczna przewidywała, że światowa emisja CO_2 w roku 2040 osiągnie 50 mld ton. Obecnie przewiduje, że będzie to ok. 30 mld ton, czyli o 40 proc. mniej. Czy stało się tak dzięki działalności aktywistów? To więcej niż wątpliwe, choć taki obraz usiłują namalować. Jak podał znany amerykański naukowiec zajmujący się badaniem klimatu, związany z American Enterprise Institute, Roger Pielke, światowa gospodarka systematycznie dekarbonizuje się od lat i nie ma na to wpływu żadne głośno reklamowane porozumienie klimatyczne. Według wykresu, który udostępnił Pielke, skonstruowanego na podstawie danych Banku Światowego, emisja CO_2 na jednostkę światowego PKB systematycznie maleje o ok. 2 proc. rocznie i ten trend nie wykazuje znaczących wahań. W szczególności nie zaobserwowano przyspieszenia po konferencji w Paryżu w roku 2015, która była w pewnym sensie szczytowym osiągnięciem obrońców planety – bo potem Donald Trump wycofał z porozumień Stany Zjednoczone i rozpoczął się systematyczny odwrót od myślenia w kategoriach globalnej katastrofy. Faktem jest, że aktywiści chcieliby, aby tempo obniżania emisji na jednostkę PKB malało nie o 2 proc., a o 8 proc., ale to jest po prostu nieosiągalne i żadnemu z państw nie udało się tego osiągnąć. Dlaczego

Należałoby zaprzestać organizacji konferencji klimatycznych, bo są one działaniem czysto rytualnym

światowa gospodarka się dekarbonizuje? Zapewne w pewnej mierze z powodu wprowadzania tzw. odnawialnych źródeł energii, ale ten proces nie może być odpowiedzialny za cały wynik, bo te źródła wytwarzają niewielki ułamek światowej energii. Danych o tym dostarcza Energy Institute, instytucja analityczna związana z takimi firmami doradczymi jak KPMG i Kearney. Według Instytutu paliwa kopalne wytworzyły w roku 2024 aż 86 proc. światowej energii, elektrownie nuklearne 5 proc., wodne 3 proc., a wiatraki i fotowoltaika 6 proc. Daje to pewną perspektywę patrzenia, jakże odmienną od prezentowanej przez wzmożonych aktywistów.

Bliższą prawdy odpowiedzią na pytanie o przyczyny systematycznej dekarbonizacji gospodarki będzie to, że postęp polega m.in. na podnoszeniu efektywności, a to dzieje się przez zmniejszenie energochłonności. I będzie się to działo niezależnie od tego, ile osób przyklei się do asfaltu. Obsesyjne dążenie do zastąpienia paliw kopalnych przez instalacje wiatrowe i fotowoltaiczne w wielu sytuacjach może zaś być przeciwskuteczne. Było tak

eprasa.pl 31386a225f

Żeby szybko przetransportować wszystkich polityków i aktywistów zatroskanych o planetę, wycięto 70 km kw. puszczy pod nowiutką czteropasmową autostradę

FOT. JOSHUA A. BICKEL/AP/EAST NEWS

choćby w Polsce, gdy wprowadzenie unijnych regulacji ustalających normy emisji CO_2 dla elektrowni uniemożliwiło modernizację elektrowni węglowych. Wprowadzenie nowych technologii zmniejszyłoby emisje o 30 proc., ale podejście w stylu „wszystko albo nic" doprowadziło do tego, że stało się to nieopłacalne. Z takiego właśnie podejścia wycofał się Bill Gates i miejmy nadzieję, że da to jego zwolennikom materiał do przemyśleń.

KAŻDE PIENIĄDZE SIĘ LICZĄ

Na zdrowy rozum należałoby więc zaprzestać urządzania konferencji klimatycznych, bo są one działaniem czysto rytualnym, niemającym wpływu na rzeczywistość, a ostatnio w dodatku budzącym frustrację uczestników, którzy chcieliby nareszcie widzieć jakieś radykalne działania – a zamiast nich są kwaterowani w pływających hotelach, które normalnie zwalczają, nie mogą się doczekać, by w dokumentach końcowych znaleźć zapis o ostatecznej likwidacji paliw kopalnych i muszą bezsilnie patrzeć, jak ochrona bije demonstrantów protestujących przeciwko poszukiwaniom ropy w dorzeczu Amazonki. Oczywiście do żadnej likwidacji nie dojdzie, bo raz uruchomiony międzynarodowy mechanizm biurokratyczny będzie funkcjonował nawet wtedy, gdyby stracił przedmiot swojego działania. Wystarczy przypomnieć nieśmiertelne prawo Parkinsona. Nie tylko jednak dlatego. Otóż w ciągu ostatniej dekady konferencje COP zmieniły swój charakter i ze spotkań, z których miały wyniknąć efekty klimatyczne, zmieniły się w spotkania mające na celu przeprowadzenie po prostu transferu środków od krajów bogatych do biednych. Transferu tego dokonywano przy użyciu rozmaitych metod, jak fundusze innowacyjne czy fundusze na pokrycie czegoś, co nazwano „reparacjami klimatycznymi". Był to wprowadzony przed trzema laty, w czasie obrad w Szarm el-Szejk, doskonały wynalazek krajów biednych, które odpowiedzialnością za to, że u nich zdarzają się powodzie lub susze, obarczyły kraje bogate.

To, że nie ma żadnego naukowego dowodu na związek konkretnych zdarzeń pogodowych ze wzrostem emisji CO_2 na świecie czy nie sposób w jakikolwiek sposób powiązać emisji konkretnego kraju z jakąś katastrofą pogodową w innym kraju, nikogo nie kłopotało. Ważne było to, że został utworzony fundusz, do którego kraje bogate miały wpłacić, a z którego kraje biedne czerpać. Nauka o klimacie została tu użyta jako narzędzie do utworzenia mechanizmu finansowego. Co ciekawe, w czasie negocjacji między biednymi a bogatymi po stronie biednych wystąpiły Chiny, skądinąd największy emitent CO_2, ale według klasyfikacji ONZ nadal „kraj rozwijający się". Toczyły się więc w egipskim kurorcie negocjacje między Unią Europejską i Stanami Zjednoczonymi (było to jeszcze za Bidena) a formatem nazwanym 77+Chiny. Fundusz stworzono, był on co prawda mniejszy, niż zakładano, ale każde pieniądze się liczą. Trudno zatem przypuszczać, aby kraje biedne, które stanowią arytmetyczną większość w ONZ, zechciały zrezygnować z forum, które daje tak interesujące frukta.

W czasie COP30 postanowiono zabezpieczyć finansowo także aktywistów, aby i oni mieli coś z walki o ratowanie planety. Powstała mianowicie inicjatywa na rzecz – jak to nazwano – „integralności informacyjnej na temat zmiany klimatu". Chodzi o tak modną ostatnio walkę z dezinformacją.

Według preambuły dokumentu powinny się w nią zaangażować nie tylko rządy, lecz także „społeczeństwo obywatelskie". Należy bowiem dbać o to, aby społeczeństwa otrzymywały tylko naukowo zweryfikowane informacje o tym, w jakim stanie znajduje się klimat na Ziemi i co nań wpływa. Pozostaje otwarte pytanie, kto i w jaki sposób będzie weryfikował te informacje i czy np. pozytywnie przejdą weryfikację poglądy Billa Gatesa po przemianie, która co prawda – jak powszechnie wiadomo – wcale nie zaszła, jednak nie jest pewne, czy aby należałoby ją upowszechniać. Dokument o „integralności" na razie podpisało jedynie kilkanaście państw, jednak to, że aż 14 z tych państw należy do Unii Europejskiej, nakazuje zachowanie czujności, bo może się okazać, że Unia, która już intensywnie walczy z mową nienawiści, weźmie na siebie także ciężar walki z dezinformacją klimatyczną. Byłby to nieoczekiwany efekt zakończonego skądinąd spektakularnym fiaskiem szczytu COP30 w Belém.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

Komu Ona przeszkadza?

Krystian Kratiuk

Polska pobożność maryjna pozostaje niemal legendarna. Jednak przywiązanie Polaków do Matki Bożej niektórzy próbują dziś podważyć, wykorzystując do tego... najnowsze dokumenty Watykanu

Na początku listopada prefekt watykańskiej Dykasterii Nauki Wiary kard. Victor Manuel Fernández zaszokował niemałą część katolików. W nocie doktrynalnej zatytułowanej „Mater Populi fidelis" („Matka wiernego Ludu") ogłosił bowiem, że używanie wobec Matki Bożej tytułu „Współodkupicielka" jest „zawsze niewłaściwe". Watykan przestrzegł również wszystkich używających względem Maryi tytułu „Pośredniczki łask", pisząc, że „konieczna jest szczególna ostrożność w stosowaniu" tego sformułowania.

Mało kto nie osłupiał. Wszak termin „Pośredniczka" jest jednym z najczęściej używanych wobec Matki Bożej. Najstarsza modlitwa maryjna (rękopis z jej zapisem pochodzi z III w.), znana w Polsce jako „Pod Twoją obronę", zawiera wszak dopisany później, ale uświęcony przez wielowiekową już tradycję zwrot: „O Pani nasza, Orędowniczko nasza, Pośredniczko nasza, Pocieszycielko nasza!". Do tej pory nikt nie podważał używania tych tytułów, nikomu do głowy nie przychodziło, że mogą być kontrowersyjne.

Co innego „Współodkupicielka" – tutaj teologiczne dyskusje trwały już od dłuższego czasu, postulowanie używania tego akurat terminu wzbudzało kontrowersje, mimo że używali go osobiście również święci, w tym papieże, choćby – kilkukrotnie – sam Jan Paweł II. Sformułowanie to w polskich parafiach pada np. w trakcie Nowenny do Matki Bożej Nieustającej Pomocy.

Nie miejsce tu na polemikę teologiczną z kard. Fernández, pojawiła się wszak dość szybko w katolickim Internecie. Ale trzeba podkreślić, że głównym uzasadnieniem dla – de facto – zakazu używania tytułów stosowanych od dawna stał się następujący argument: „Gdy jakieś wyrażenie wymaga licznych i nieustannych objaśnień, by nie zostało błędnie zrozumiane, nie służy wierze Ludu Bożego i staje się niestosowne". To doprawdy dziwaczne – wszak od 10 lat katolikom na siłę próbuje się wytłumaczyć całkiem nowe i odgórnie wprowadzane pojęcie „synodalności", a przecież i sam tytuł „Matka Boga" wymagał intensywnych tłumaczeń przez całe dziesięciolecia początków chrześcijaństwa. Warto jednak zwrócić uwagę, że natychmiast po tej publikacji, zrozumiałe

eprasa.pl 31386a225f

FOT. ADOBE STOCK

emocje wokół „Mater Populi fidelis" postanowili wykorzystać ludzie, którym polska pobożność maryjna bardzo się nie podoba.

ZWYKŁA SIOSTRA I „SCHIZMA"

Doprawdy rzadko bowiem mamy do czynienia z sytuacją, w której z entuzjazmem o stricte teologicznych dokumentach wypowiadają się media głównego nurtu. Tym razem było jednak inaczej – jeszcze w dniu opublikowania watykańskiej noty informacja o niej trafiła na czołówki największych polskojęzycznych portali informacyjnych. Słowa kardynała komentowano tak na Onecie („Watykan oficjalnie kończy z tytułem, którego Jan Paweł II używał wobec Maryi"), jak na wp.pl („O Maryi mówił tak Jan Paweł II. Watykan prosi, by jej tak nie nazywać"), a nawet w „Fakcie" („Ważne! Watykan kończy z tą praktyką. Zwrot Jana Pawła II »nieodpowiedni«").

Portal TVN24.pl zatytułował swój materiał słowami: „Watykan: to Jezus ocalił świat, nie Maryja". Wszystkich przebiła jednak niezawodna „Gazeta Wyborcza", okraszając swój tekst tytułem: „Watykan: Maryja nie pomagała zbawić świata"…

Komentarzy internautów pod tymi tekstami, skupionych na „polskich kołtunach", na „Wojtyle, który ukrywał pedofilów, a czcił kogoś, kogo chrześcijanie nie czczą" (sic!) oraz na „polskim katolickim zaścianku", nie warto szerzej wspominać. Warto jednak zwrócić uwagę na poważniejszych komentatorów spraw kościelnych. Bo oto wielu z nich nota Watykanu bardzo się spodobała – tak się składa, że są wśród nich głównie publicyści od dłuższego czasu próbujący przemienić polski Kościół i polskich katolików na modłę zachodnią, jakby zapominając, że na owym Zachodzie mimo (lub w skutek) uprawianej tam teologii i praktyki duszpasterskiej, kościoły opustoszały.

I tak Tomasz Terlikowski napisał: „Jego [Chrystusa – przyp. K.K.] matka też była zwyczajną kobietą, skupioną na rodzinie, czasem – co widać z Ewangelii – zakłopotaną szumem wokół jej syna i zmartwioną tym, co się z nim dzieje, czasem pełną pytań, a czasem unikającą bycia w centrum. Ojciec nie wypowiedział ani słowa, wycofany, może czasem przerażony tym, co się im przydarzyło. Ich emocje, ich uczucia były tak bardzo ludzkie. Miriam cierpiała jak wiele matek przed nią i po niej, gdy jej syn został skazany na śmierć. Obraz cierpiącej matki – jakim jest Pieta – ma tak ogromną moc, bo pokazuje uczucia i emocje tysięcy, dziesiątek tysięcy kobiet, które straciły dzieci, którym odebrano nadzieję. Miriam jest jedną z nich, jest siostrą, która towarzyszy, w której obrazie można się odnaleźć".

O Matce Bożej jako „zwyczajnej kobiecie" nigdy nie mówił Jan Paweł II, ale za to papież Franciszek już owszem

Cóż, Matka Boża czczona jest w Kościele jako Niepokalanie Poczęta – nie mogła zatem być „zwyczajną kobietą". O jej „nadzwyczajności" świadczą nie tylko sformułowane przez katolików dogmaty, lecz także słowa Pisma Świętego, na którego łamach Maryja nazywana jest przez Archanioła Gabriela „Błogosławioną między niewiastami", a także – jak sama o sobie powiedziała – tą, którą „błogosławić będą wszystkie pokolenia". Matka Boża wcale nie jest więc „zwyczajną kobietą". A i jej cierpienie związane było – nie tak jak cierpienie „każdej innej matki" – wyłącznie z bólem dziecka, lecz także zostało Jej zapowiedziane przez Symeona słowami: „Duszę Twoją miecz przeniknie".

O Matce Bożej jako „zwyczajnej kobiecie" nigdy nie mówił Jan Paweł II, ale za to papież Franciszek już owszem – i to wielokrotnie. Dziś jego przekonanie powtarzają publicyści postępowego nurtu w Kościele, a także – poniekąd – oficjalny dokument Watykanu, zainicjowany zresztą jeszcze przez Argentyńczyka.

Oprócz świeckich publicystów radość z noty ogłosiło jeszcze kilku duchownych, głównie jezuitów, a także popularny dominikanin, o. Adam Szustak. W swoim programie na YouTube ogłosił m.in., że on sam nie ma „matczynego stosunku" do Maryi i zawsze będzie ona dla niego raczej „starszą siostrą". Duchowny przyznał, że Maryja jest w jego życiu jedną z najważniejszych osób, ale

eprasa.pl 31386a225f

„absolutnie nie widzi Jej jako żadnej królowej". Przyznają państwo, że to również ciekawe, w kontekście tego, że Kościół nazywa Matkę Chrystusa Królową Aniołów, Patriarchów, Proroków, Apostołów, Męczenników, Wyznawców, Dziewic, Wszystkich Świętych, Królową bez zmazy pierworodnej poczętą, Królową Wniebowziętą, Królową Różańca Świętego, Królową rodzin, Królową pokoju – oraz, o zgrozo dla niektórych, Królową Polski. A przecież sam o. Szustak udostępnia na YT nagraną przez siebie modlitwę różańcową (odtwarzaną przez bardzo wiele osób), w której jedna z tajemnic nazywa się „Ukoronowaniem Maryi na Królową Nieba i Ziemi".

To nie koniec przykładów – kiedy w dość odważnych słowach u stóp Matki Bożej Częstochowskiej przeciwko twierdzeniom watykańskiej noty wypowiedział się abp Depo, portal deon.pl piórem jednego z jezuitów przystąpił z atakiem na hierarchę, sugerując, że oto w Częstochowie rodzi się schizma…

KRÓLESTWO MARYI

Większość tych okrzyków nieskrywanej radości walczy jednak z chochołami. Kardynał Fernández, ten sam, który nie widzi problemu w spotkaniach międzyreligijnych z wyznawcami Mahometa, Buddy albo wierzeń pogańskich, troszczy się bowiem podobno o to, by kult Matki Bożej nie przysłonił jedynozbawczości Chrystusa. Ale bądźmy poważni – czy ktoś z państwa kiedykolwiek bowiem spotkał katolika, nie tylko w Polsce, ale i na świecie, który uważałby, że Maryja jest Bogiem? Kapłana, który nauczałby, że to Ona zbawiła świat? Ludzi, którzy szliby w pielgrzymce do Rzymu czy Lichenia i ogłaszali, że Maryja jest jedną z osób Trójcy Świętej, albo głosili podobne farmazony? Wątpię. W każdej katechezie maryjnej, jaką słyszałem przez cztery dekady swojego życia, w każdej książce na Jej temat, którą przeczytałem, spotkałem się wyłącznie z podkreśleniem, że prowadzi Ona do Chrystusa.

Skąd więc to radosne poruszenie wśród samozwańczych naprawiaczy Kościoła i Polaków? Cóż, polska maryjność jest tym, co pozostaje solą w oku wszelkiej maści modernizatorów. W istocie bowiem polski katolicyzm od dawna ma „twarz Maryi". Maryjność jest jednym z najważniejszych sposobów, w jaki w naszym kraju wiara przybiera formę. Widać to w krajobrazie (rozliczne kapliczki maryjne), w kalendarzu (majówki, różańce), w praktykach zbiorowych (pielgrzymki, nowenny), a także w stylu przywództwa kościelnego.

Adwent, jak żaden inny czas, doskonale przypomina nam o roli Maryi w wielkim Bożym planie zbawienia

W Polsce istnieje prawie 500 sanktuariów, z czego ponad 400 to sanktuaria maryjne. To oznacza, że zdecydowana większość krajowych centrów pielgrzymkowych jest związana z kultem Matki Bożej. W kilkudziesięciu z nich odwiedzić można wizerunki Maryi koronowane koronami papieskimi, co jest dowodem ich uznania przez Kościół.

Szacunki ośrodków badawczych pokazują, że co roku pielgrzymuje nawet 5 mln Polaków – w zdecydowanej większości właśnie do sanktuariów maryjnych. Samych pieszych pielgrzymów jest 400–500 tys. rocznie, z czego 230–250 tys. zmierza na Jasną Górę.

Modlitwa różańcowa (a więc za wstawiennictwem Maryi) pozostaje w Polsce niezwykle popularna, tygodnik „Idziemy" w 2023 r. wyliczył, że codziennie modli się w ten sposób ok. 2 mln Polaków. W październiku niemal we wszystkich parafiach organizowane są codzienne nabożeństwa różańcowe, często z udziałem dzieci, młodzieży, kół różańcowych i różnych ruchów, mnożą się wspólnoty, takie jak Żywy Różaniec, Różaniec Rodzin, Różaniec Rodziców, Męski Różaniec itp. Spektakularnym przykładem maryjnej mobilizacji była akcja „Różaniec do granic" z 7 października 2017 r. W ponad 300 punktach modliło się aż ok. 1 mln osób – w kościołach przygranicznych i na samych granicach.

Polacy związani są z Maryją również historycznie, o czym na łamach „Do Rzeczy" pisałem już niejednokrotnie – dość wspomnieć, że nasz pierwszy hymn zaczyna przecież odnoszące się do Niej zawołanie „Bogurodzica" i cały stanowi modlitwę za Jej wstawiennictwem. Doprawdy, nie da się opowiedzieć historii Polski bez Grunwaldu (gdzie rycerstwo śpiewało tę pieśń) czy ślubów lwowskich króla Jana Kazimierza z 1656 r., w których monarcha ogłosił Maryję Królową Korony Polskiej, bez obrony Jasnej Góry w 1655 r. i powszechnego przekonania o Jej wstawiennictwie w czasie Cudu nad Wisłą w 1920 r.; bez rozmaitych aktów poświęcenia narodu, choćby kard. Hlonda (1946) i kard. Wyszyńskiego (1956, 1966), Jasnogórskich Ślubów Narodu, Wielkiej Nowenny przed Millennium, peregrynacji kopii Cudownego Obrazu po wszystkich parafiach czy bez epoki Jana Pawła II z jego „Totus Tuus" i historycznymi pielgrzymkami na Jasną Górę.

KU DEMONTAŻOWI

Tacy byliśmy, tacy jesteśmy. Owszem, zdarzają się przemądrzali teologowie, którzy w dobie social mediów z radością kpią sobie z maluczkich, pokazując wszem wobec, jak bardzo potrzebują atencji dla swych rozważań. Ale wynikiem owej atencji staje się coraz powszechniejsze umniejszanie Maryi wśród znacznie mniej uczonych w Piśmie. A wszelkie umniejszanie Matce Bożej – w tym wykorzystywanie wielkiego teologicznego kryzysu w Kościele – nad wyraz często nie stanowi wcale troski o teologiczną poprawność wiary Polaków, ale właśnie próbę odciągnięcia nas od Kościoła i naszej tradycji.

W dobie ciemnej nocy komunizmu, jednego z najbardziej antykatolickich systemów politycznych świata, umierający prymas Polski kard. August Hlond miał wypowiedzieć słynne słowa: „Zwycięstwo – gdy przyjdzie – przyjdzie przez Maryję". Jestem przekonany, że wśród ludzi, którzy źle życzą Polsce, Kościołowi i polskiej tradycji, posłuch znalazłoby hasło, że zniszczenie Polski – gdy przyjdzie – będzie wymagało zniszczenia w Polsce kultu Maryi.

Adwent, jak żaden inny czas, doskonale przypomina nam o Jej roli w wielkim Bożym planie zbawienia. Oczekując na Boże Narodzenie, w kraju, w którym koncerty kolęd emituje nawet antyklerykalna z zasady telewizja, warto nie zapominać o związkach Polaków z Matką Pana. I tego, że od zawsze, zawsze i na zawsze, prowadzi nas Ona do swego Syna.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 31386a225f

„W czerwcu 2025 pojechałem do walczącej Ukrainy, aby tam odwiedzić największą kolonię karną, w której przetrzymywani są wzięci do niewoli Rosjanie.

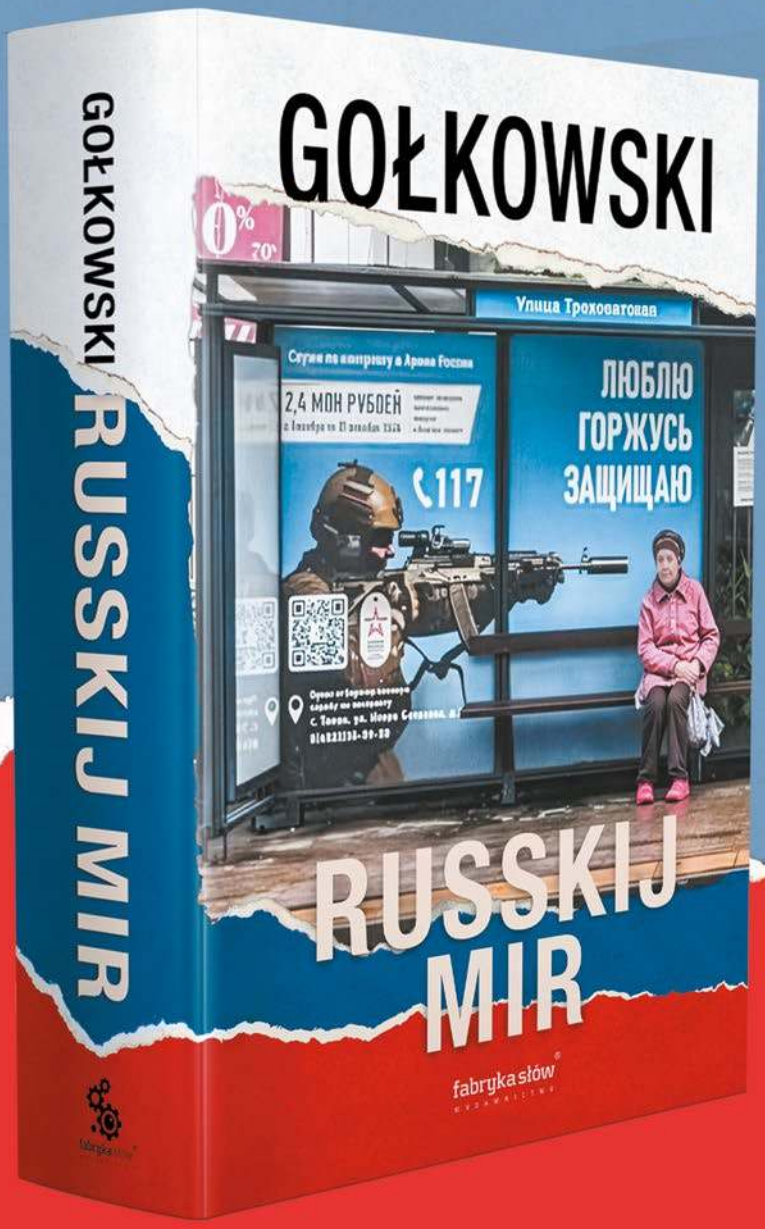

Przeszedłem pełną weryfikację i lustrację ukraińskiego HUR - tym trudniejszą, że nie miałem nawet licencji dziennikarza. Byłem na dobrą sprawę człowiekiem znikąd. Pozwolono mi na sześć godzin dostępu do tych ludzi w ciągu ich normalnego dnia - zbiórka na placu, spacerniak, obiad na stołówce… warsztat. Chwila czasu wolnego. Mogłem rozmawiać z każdym, pod warunkiem, że ten chciał rozmawiać ze mną; żadnego przymusu, selekcji, nic.

Czysta przypadkowość losu, jak podczas rzutu kostką. I widzę teraz, że lepiej trafić nie mogłem.

Michał Gołkowski

fabryka słów
WYDAWNICTWO

PREMIERA 26.11.2025

eprasa.pl 31386a225f

Filip Memches

Lewicowe marzenie o dobrym muzułmaninie

Zohran Mamdani przemawiający przed meczetem i islamskim centrum kultury w nowojorskiej dzielnicy Bronx, 24 października 2025 r.

FOT. NEW YORK DAILY NEWS/TRIBUNE NEWS SERVICE/GETTY IMAGES

Czy Zohran Mamdani – „socjalista demokratyczny" i wyznawca islamu w jednej osobie – z kimś się nie kojarzy? Owszem, ale chodzi o postać literacką. W odróżnieniu od prawdziwego burmistrza Nowego Jorku to fikcyjny prezydent Francji. Warto przypomnieć pewną głośną powieść z roku 2015, bo być może jest ona zwiastunem tego, co czeka Zachód

Zwycięstwo Zohrana Mamdaniego w wyborach na burmistrza Nowego Jorku wykracza poza lokalną politykę tej metropolii. Antrytrumpiści całego świata uradowali się, że w USA Partia Demokratyczna ma nową gwiazdę, a prawicowy „populizm" zaliczył porażkę.

Oczywiście można wygraną Mamdaniego zinterpretować w kategoriach politycznych napięć między wielkimi ośrodkami ludności a prowincją w krajach zachodnich. Donald Trump został dwa razy prezydentem dzięki głosom małomiasteczkowej Ameryki, która m.in. sprzeciwia się masowej imigracji. Tymczasem Mamdani swój sukces zawdzięcza kosmopolitycznej społeczności nowojorskiej, w niej zaś roi się od ludzi takich jak on – przybyszów rodem z innych krajów (w tym przypadku chodzi zwłaszcza o tych z Globalnego Południa).

Przy czym jest coś, co poniekąd łączy nowego burmistrza Nowego Jorku z trumpistami, a przynajmniej z ich częścią. To diagnoza, że USA pogrążone są w głębokim kryzysie społeczno-ekonomicznym wywołanym przez sprzyjający wielkim korporacjom turbokapitalizm. Z diagnozy tej zaś płynie wniosek, że amerykańska klasa polityczna powinna się zająć własnym krajem i przestać myśleć o naprawianiu całego świata. Choć Mamdani nie artykułuje takich treści wprost – jego domeną jest bądź co bądź polityka lokalna – to można się domyślać, że zwolennicy nowojorskiego samorządowca je podzielają. Z bolesnymi skutkami turbokapitalizmu borykają się bowiem wyborcy obu głównych ugrupowań politycznych USA.

Niemniej na zwycięskiego kandydata Partii Demokratycznej w rywalizacji o Nowy Jork można też spojrzeć jak na polityka, który będzie nadawać ton swojej formacji. A już teraz coraz bardziej skręca ona w lewo. Mało tego, trzeba rozważyć i to, że Mamdani stanie się w ogóle trendsetterem lewicy Zachodu. Jeśli tak, to należy wziąć pod uwagę z jednej strony światopoglądową wyrazistość tego polityka, z drugiej zaś – jego tożsamość religijną.

TYRANIA SKRUCHY

Urodzony w Ugandzie, w rodzinie wywodzącej się z Indii, nowy burmistrz Nowego Jorku deklaruje się jako „demokratyczny socjalista", a zarazem jest muzułmaninem wyznania szyickiego. I choć odcina się od tego, co bywa nazywane fundamentalizmem religijnym, to trudno w tym kontekście nie pytać o relacje między lewicą a islamem. Cechują się one bowiem sprzecznościami. Warto się nad nimi zastanowić w odniesieniu do politycznych perypetii Zachodu. Za przykład zaś posłuży tu Francja.

Lewica głosi ideę postępu pojętego jako niesienie pomocy przez państwo grupom społecznym, które są ekonomicznie poszkodowane. W krajach zachodnich do drugiej połowy XX w. taką grupę stanowił rodzimy biały proletariat. Jednak z upływem czasu istotnym elementem dyskursu lewicy stało się to, co francuski pisarz Pascal Bruckner nazwał „tyranią skruchy". Dały o sobie znać takie koncepcje jak tzw. teoria krytyczna.

Na fali procesów dekolonizacyjnych oraz przemian kulturowych elity polityczne i intelektualne Zachodu zaczęły deprecjonować dorobek własnego kręgu cywilizacyjnego i eksponować poczucie winy za krzywdy, które – w ich przekonaniu – „cywilizacja białego człowieka" wyrządziła ludom kolorowym. Choć nie można pomijać tego, że masowa imigracja z Afryki i Azji w drugiej połowie XX w.

eprasa.pl 31386a225f

miała podłoże ekonomiczne – zachodnie gospodarki korzystały na imporcie siły roboczej – to jednocześnie otwarcie wrót bogatych krajów ubogim mieszkańcom Trzeciego Świata było rodzajem historycznego zadośćuczynienia.

A zatem Zachód został zaludniony przez kulturowo obcą mu ludność. To ona stała się nową polityczną klientelą lewicy. Tymczasem białą klasę robotniczą jako swoją bazę wyborczą przejęła „populistyczna" prawica. O tym opowiada autobiograficzna książka eseistyczna francuskiego socjologa Didiera Eribona „Powrót do Reims" z roku 2009, która zawiera spostrzeżenie, że we Francji biały proletariat przerzucił swoje głosy z komunistów na Front Narodowy (w roku 2018 przekształcony w Zjednoczenie Narodowe).

I tak dochodzimy do sprzeczności dzielących lewicę i islam. Opcja polityczna postulująca świeckość przestrzeni publicznej oraz emancypację jednostek niewolonych przez tradycyjne struktury społeczne koliduje z religią o tendencjach teokratycznych, która podporządkowuje kobiety mężczyznom. A jednak muzułmanie na Zachodzie jako imigranci z krajów będących w przeszłości zamorskimi koloniami państw europejskich mają w świetle stanowiska lewicy status „Innego" – taki sam, jaki uzyskały choćby mniejszości seksualne. Sposób życia tych ostatnich jednak islam surowo potępia. A zatem lewica, hołubiąc muzułmanów, przeciera szlak czemuś, co przeczy jej ideałom, i w pewnym sensie zarzuca sznur na swoją głowę.

Na marginesie można tu odnotować ciekawostkę. Jeden z mentorów nowej lewicy, czołowy autorytet środowiska postmodernistów, francuski filozof Michel Foucault, wyrażał pozytywny stosunek do teokratycznego przewrotu w Iranie, dokonanego przez ajatollahów w roku 1979. Znamienne, że choć myśliciel ten był jawnym homoseksualistą, to w imię podziwu dla rewolucyjnych aspiracji Irańczyków de facto opowiedział się po stronie ruchu „homofobów".

Oczywiście – jak już zostało powiedziane – Zohran Mamdani nie jest rygorystą religijnym, co odróżnia go od ajatollahów. Niemniej tak jak oni oficjalnie wyznaje islam szyicki. A to nie pozostaje bez znaczenia, ponieważ jest postrzegany jako swój człowiek wśród nowojorskich muzułmanów. Rzecz jasna, stanowią oni różnorodną grupę, lecz w jej łonie nie brak ludzi odnoszących się do Zachodu i jego swobód obyczajowych z wrogim nastawieniem.

Jeśli zaś chodzi o kwestię tego, do czego może prowadzić sojusz lewicy z islamem, to być może istotny trop podsuwa… literatura, a konkretnie głośna dystopijna powieść francuskiego pisarza Michela Houellebecqa „Uległość". Ukazała się ona w roku 2015. Zanim trafiła do rąk czytelników, już była owiana legendą proroczego utworu o tym, jak muzułmanie stopniowo czynią z Francji swoją własność. Dalszy ciąg – tragiczny – powieści dopisało zaś życie. Książka miała swoją francuską premierę dokładnie w tym samym dniu, w którym dżihadyści przeprowadzili zamach na redakcję tygodnika „Charlie Hebdo" w Paryżu.

Islamizacja Francji może się obejść bez terroru dżihadystów. Wystarczy rozbrojenie moralne rdzennych Francuzów wedle emancypacyjnych recept Pokolenia '68

Akcja „Uległości" toczy się w roku 2022 (a zatem autor wybiega w przyszłość siedem lat). We Francji odbywają się wybory prezydenckie. Wygrywa je Mohammed Ben Abbes, kandydat Bractwa Muzułmańskiego, który tym samym pokonuje kandydatkę Frontu Narodowego, Marine Le Pen. Udaje mu się to m.in. dlatego, że ma za sobą poparcie koalicji złożonej z socjalistów i prawicy systemowej. I tak Front Narodowy – zresztą nie po raz pierwszy przecież w dziejach – zostaje otoczony „republikańskim" kordonem sanitarnym. Co jednak istotne, Mohammed Ben Abbes, reprezentując wyznawców islamu, unika religijnego radykalizmu. Słusznie zatem nie jest kojarzony z dżihadystowskim terrorem (zupełnie jak Mamdani!). Natomiast swoje plany polityczne odsłania już jako głowa państwa francuskiego. I tu możemy być zaskoczeni: chce on zbudować śródziemnomorskie mocarstwo na wzór Cesarstwa Rzymskiego, tyle że z islamem jako religią państwową.

POLIGAMIA ZAMIAST NIEPOKOJU

Mohammed Ben Abbes wpisuje się zatem w marzenia lewicy i liberałów na Zachodzie o dobrym muzułmaninie. Chcąc przekonać rdzennych Francuzów do islamu, nie stosuje przemocy. Robi to poprzez perswazję. Nomen omen ulega jej główna postać powieści. To literaturoznawca François. Choć jest człowiekiem niereligijnym, to przez całą swoją karierę akademicką zajmował się twórczością Jorisa-Karla Huysmansa, francuskiego pisarza epoki fin de siècle'u, dekadenta i satanisty, który pod koniec swojego życia wrócił na łono Kościoła katolickiego. François sam próbuje pójść w jego ślady. I choć zafrapowany jest duchowością katolicką, to ostatecznie zostaje muzułmaninem. Powody, dla których dokonuje takiego wyboru, są jednak intrygujące.

Chrześcijaństwo nieustannie niepokoi człowieka dylematami dotyczącymi cierpienia czy rozmaitych pokus. Natomiast islam jest inny. Na jego gruncie człowiek godzi się z rzeczywistością, mężczyzna zaś jest wręcz obdarzony takimi przywilejami jak poligamia i François się na nią decyduje. A jak w „Uległości" mówi funkcjonariusz francuskich służb specjalnych, religia muzułmańska kładzie nacisk na demografię. I oto z powieści wyziera przewrotna wizja: dla rozwiązłych europejskich samców, którzy są spadkobiercami dziedzictwa pozostawionego przez wyzwoloną obyczajowo lewicę z Pokolenia '68, dochowanie wierności w ramach monogamicznego małżeństwa przestaje być czymś kłopotliwym.

Tak więc islamizacja Francji może się obejść bez terroru dżihadystów. Wystarczy rozbrojenie moralne rdzennych Francuzów wedle lewicowych recept emancypacyjnych.

A skoro już była mowa o proroczym charakterze „Uległości", to warto pesymistyczny scenariusz Houellebecqa odnieść do całego Zachodu, w tym i USA. Choć oczywiście Zohran Mamdani to nie Mohammed Ben Abbes. W odróżnieniu bowiem od powieściowego nowo wybranego prezydenta Francji istnieje przecież naprawdę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

Andrzej Nowak

Od Sasa do Lasa – i z powrotem

Portret Augusta II Mocnego pędzla Louisa de Silvestre'a

FOT. MUZEUM NARODOWE W SZTOKHOLMIE

Przedstawiam poniżej fragment trzeciej części tomu 7 „Dziejów Polski". Tom pt. „Upadanie i powstawanie" obejmuje czas panowania Jana III Sobieskiego i okres saski, od roku 1673 do 1763 – od ostatnich triumfów oręża sarmackiego – w odsieczy Wiednia – aż po czas całkowitego uzależnienia od „opieki" imperialnej Rosji i wewnętrznego paraliżu państwa. To nie jest jednak tylko analiza upadku, rzeczywiście przygnebiającego, lecz także objawów powstawania z niego, które współtworzą historię tego czasu; objawów przebudzenia pod wpływem szoku utraconej niepodległości

Od Sasa do Lasa" – to powiedzenie weszło do języka polskiego i trwa w nim przez kolejne już trzy wieki. Co znaczy? Robić coś bez sensu, bez ładu i składu, miotać się – innymi słowy: od ściany do ściany. Wrażenie takiego miotania się – między „Sasem", czyli elektorem saskim, a „Lasem", czyli Leszczyńskim – wynieść można już było z czasu rywalizacji Augusta II (popieranego przez Rosję cara Piotra) oraz Stanisława (króla nie z Bożej, ale szwedzkiej łaski) w dobie wojny północnej. W 1733 roku, a więc ćwierć wieku później, to wrażenie powraca.

Nic jednak w historii nie powtarza się tak samo. Nie było już „pierwszego Sasa", czyli Augusta II. Był jego syn: następca na tronie elektorskim w Dreźnie, kolejny Fryderyk August. Miał inny temperament od ojca, rozsadzanego energią i pomysłami na rolę bohatera wieku. Syn był spokojny, systematyczny, nieskłonny do ryzyka ani do rywalizowania o rekordy Don Juana. Z czasem oraz wagą nabierał w swej posturze cech statecznych, a nawet majestatycznych. Z Augustem II dzielił zamiłowanie do wspaniałych uroczystości i kosztownych strojów. Uwielbiał polowania i włoską muzykę. Polityczna wielka gra ani też mniejsze gry i intrygi nie pociągały go tak bardzo. Urodzony w październiku 1696 roku był niemal dokładnie równolatkiem panowania swego ojca w Polsce. Dlatego też od dziecka przygotowywany był nie tylko do następstwa w Saksonii, lecz także do królowania Sarmatom. Tak jak August II przyjął katolicyzm, by móc zostać polskim władcą. Ojciec, choć wiemy, że nie żył przykładnie, dał w późniejszych latach swego życia dowody autentycznej pobożności, czci dla Matki Boskiej Częstochowskiej; gorliwie zabiegał u papieża o beatyfikację Andrzeja Boboli. Syn, zwłaszcza pod wpływem pobożnej matki, Marii Józefy, córki cesarza Józefa I, całe życie traktował religię poważnie. Uczył się polskiego, ale nie szło mu jego używanie: nie pisał ani nie mówił w naszym języku. Znał włoski i francuski, po łacinie też jakoś sobie radził, ale w najbliższym otoczeniu kurprinza (to tytuł następcy tronu elektorskiego) mogli utrzymać się dłużej ci Polacy, którzy porozumiewali się z nim po niemiecku.

ZMĘCZENIE AWANTURAMI

Wiadomość o śmierci króla Augusta w Warszawie dotarła do stolicy Saksonii po dwóch dniach. Tyle czasu potrzebowali kurierzy, żeby pokonać dystans około 650 kilometrów [...]. Elektor miał do dyspozycji cały aparat dyplomatyczny i skarbowy Saksonii, żeby wziąć udział w walce o opróżniony przez ojca polski tron. Sąsiednie dwory umawiały się wcześniej, żeby wprowadzić na ten tron księcia Emanuela de Bragança, młodszego brata portugalskiego króla Jana V. Dla Petersburga i Wiednia czy Berlina jednak nie ta egzotyczna kandydatura była najważ-

eprasa.pl 31386a225f

niejsza, ale niedopuszczenie do wpływów Francji w Rzeczypospolitej i ewentualnego uniezależnienia państwa polsko-litewskiego od „czułej opieki” sąsiadów. I tu właśnie pojawiała się szansa dla Wettyna. Dyplomaci rosyjscy, cesarscy i pruscy zgodnie oceniali go – i słusznie – jako mniej niż ojciec skłonnego do ryzykownych prób emancypacji. Przede wszystkim im bardziej rosły szanse promowanego przez Francję Leszczyńskiego na elekcyjne zwycięstwo w Warszawie, tym silniejsze stawały się argumenty dyplomacji saskiej, by niedawni sygnatariusze układu „trzech czarnych orłów” potraktowali nowego elektora jako jedyne realne antidotum na grożącą nad Wisłą „francuską chorobę”.

W Polsce bowiem po śmierci Augusta II poparcie dla Leszczyńskiego rozwijało się lawinowo. Poseł Ludwika XV, Antoine Felix de Monti, już od chwili rozpoczęcia swej misji nad Wisłą, to jest od roku 1729, starał się przygotować wybór francuskiego kandydata na króla Polski. W osiągnięciu sukcesu, którego nie zaznał żaden z jego poprzedników w trakcie trzech poprzednich bezkrólewi, liczył na pomoc silnej wciąż partii dawnych zwolenników „Lasa”, czyli przede wszystkim klanu Potockich z prymasem interrexem na czele. Teraz mogli razem płynąć na fali nastrojów zmęczenia awanturami, w które przez ponad trzy dekady wprowadzał Polskę August II, połączonych z niechęcią szlachty do przedłużającej się obecności Sasów i ich najemników w życiu politycznym Rzeczypospolitej. Nie chcemy więcej „Sasa” – chcemy „Piasta”, to jest rodzimego króla! Ten okrzyk rozbrzmiewał powszechnie nad trumną z ciałem Augusta II. W opinii zdecydowanej większości nikt nie miał jednak szans w konfrontacji z kandydaturą Leszczyńskiego. Zapomniano już, jak bierną był kreaturą Szwedów w czasie swego pierwszego królowania. Traktowano go teraz powszechnie właśnie jako symbol zerwania z uzależnieniem od zewnętrznych potencji: od związku z Saksonią, od wpływów rosyjskiego czy cesarskiego ambasadora.

Prymas Teodor Potocki błyskawicznie zwołał sejm konwokacyjny. Kiedy ten się zebrał w końcu kwietnia, prymas przeforsował na nim wykluczenie z elekcji kandydatów cudzoziemskich. Wyrugowano też z sejmu posłów różnowierców i na fali antysaskich resentymentów pozbawiono dysydentów prawa piastowania urzędów senatorskich, poselskich i deputackich. W dniu zakończenia konwokacji, 23 maja, prymas wyznaczył początek sejmu elekcyjnego na 25 sierpnia. Na sejmikach przedelekcyjnych zdecydowanie górę brali entuzjaści „Lasa”, zarówno w Koronie, jak i na Litwie, gdzie tylko województwo nowogrodzkie opowiedziało się za „Sasem”.

Dwory sąsiedzkie obserwowały tę polską rewolucję z niepokojem. Tym większym, że spodziewać się mogły interwencji Francji na rzecz tak pięknie rozwijającej się kandydatury Leszczyńskiego – zięcia arcychrześcijańskiego króla Ludwika XV. Polityką Wersalu kierował 80-letni kardynał André Hercule Fleury. Godny następca tradycji kardynała Richelieu mimo wieku ani na chwilę nie wypuszczał trzymanego od 1726 roku steru (i trzymać go będzie jeszcze przez całą dekadę!). Był chłodno kalkulującym realistą. Polskiego teścia swojego króla nie lubił ani nie zamierzał poświęcać interesów Francji dla jego zwolenników nad Wisłą. Gotów był wykorzystać nowe zaburzenie europejskiej polityki wokół polskiej elekcji wyłącznie po to, by strategicznie zaokrąglić granice Francji i osłabić jej kontynentalnego arcyrywala, czyli cesarstwo. Cesarscy dyplomaci prędko pojęli, podobnie jak rosyjscy zresztą, że jeśli ktoś może zablokować wybór Leszczyńskiego w Polsce, to będzie to właśnie przygotowywany od dawna do tej roli syn Augusta II, a nie pozbawiony jakiegokolwiek oparcia w Rzeczypospolitej kandydat z Portugalii. Król portugalski, Jan V, także szybko zrozumiał, że popieranie młodszego brata, księcia Emanuela, nie tylko będzie kosztowne, lecz także skończy się niechybnym fiaskiem. W ten sposób już wiosną 1733 roku egzotyczna kandydatura portugalskiego infanta upadła.

Po śmierci Augusta II poparcie dla Stanisława Leszczyńskiego rozwijało się lawinowo. Zapomniano już, jak bierną był kreaturą Szwedów w czasie swego pierwszego królowania

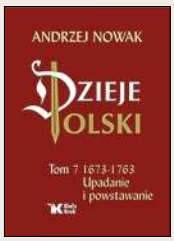

ANDRZEJ NOWAK „DZIEJE POLSKI”, T. 7, „1673-1763 UPADANIE I POWSTAWANIE” BIAŁY KRUK, KRAKÓW 2025

SPRZECIW WOBEC ROSJI

Rosyjska imperatorowa Anna potwierdziła gotowość do interwencji zbrojnej, gdyby Polacy wybrali „niewłaściwego” króla. 10/21 lipca [10 według kalendarza juliańskiego, 21 według kalendarza gregoriańskiego] zaaprobowała plan, opracowany przez posłów rosyjskiego (Löwenwolda) i cesarskiego w Warszawie. Plan był prosty: do Polski wkroczą wojska rosyjskie i cesarskie, by zapobiec wyborowi Leszczyńskiego. W tym samym momencie stanął w Petersburgu traktat rosyjsko-saski. W zamian za pomoc w narzuceniu Wettyna na tron polski saski kandydat do tronu w Warszawie zgadzał się uznać tytuł Cesarzowej Wszechrosji, który z dumą nosiła Anna Iwanowna, a także zagwarantować lenno kurlandzkie dla jej faworyta – Birona, a przede wszystkim nie zmieniać niczego w polityczno-instytucjonalnym bezwładzie Rzeczypospolitej i jej zależności od Petersburga. Wystrychnięty na dudka poczuł się król pruski Fryderyk Wilhelm I: przecież w berlińskim traktacie „trzech czarnych orłów” z końca 1732 roku to jemu, a raczej jednemu z jego synów, miała przypaść Kurlandia. W tak zmienionej konfiguracji na politycznej szachownicy Berlin znajdzie się nieoczekiwanie poza grą o tron polski, którą wspólnie prowadziły dalej Rosja i cesarstwo.

Zbrojnie miała tę grę poprowadzić dalej właściwie sama Rosja. Przynajmniej nad Wisłą, ponieważ cesarz Karol VI musiał szykować się na wojnę z Francją nad Renem i w Italii. Przedstawiciele dyplomatyczni carowej i cesarza przekazali prymasowi Potockiemu jako interrexowi jasne stanowisko: dwory cesarskie nie zgadzają się na wybór Leszczyńskiego przez Polaków. Potocki, ten sam, który zabiegał tak niedawno o interwencję carowej Anny w Polsce, byle usunąć znienawidzonego króla Augusta, teraz wystąpił z publicystyczną odpowiedzią jak najgodniejszy syn Rzeczypospolitej: Polacy muszą się

eprasa.pl 31386a225f

przeciwstawić temu, by Rosja „u nas, w Polszcze absolute [nie] panowała, jak w swoim państwie”. Interrex wzywał, „żebyśmy się za nos wodzić nie dali y pokazali, że Gens libera sumus et nemini servimus unquam [narodem wolnym jesteśmy, który nigdy nikomu nie jest niewolnikiem]”. Piękne słowa. Ale trzeba było czynów, i to zbrojnych, by nie pozostały puste.

Na początku sierpnia korpusy rosyjskie stacjonujące pod Rygą oraz pod Smoleńskiem otrzymały rozkaz wymarszu ku granicom Rzeczypospolitej. Trzeci korpus szykował się pod Kijowem do interwencji. 11 sierpnia liczący 32 tysiące żołnierzy korpus „ryski” pod dowództwem Irlandczyka w carskiej służbie, generała Piotra Lacy, wkroczył na Litwę i zgodnie z rozkazami posuwał się z wolna od północy w kierunku Warszawy. Nie natknął się na żadne oddziały komputowe ani też w ogóle nie napotkał na swej drodze jakiegokolwiek oporu. Armia Wielkiego Księstwa, licząca na papierze 6 tysięcy porcji [termin „porcje” oznaczał etaty, które miały pokrycie finansowe z podatków, ale nie uwzględniały wyższych gaży dla oficerów i stąd faktycznie liczba „porcji” była zawsze większa niż faktyczna liczba żołnierzy], w istocie dwa razy słabsza, nie zamierzała takiego oporu stawiać. Następców Ostrogskiego, Chodkiewicza czy Radziwiłła „Pioruna” już nie było. Ba, w tym momencie w ogóle nie było żadnego hetmana w Rzeczypospolitej. Pełniący obowiązki litewskiego regimentarza, Michał Serwacy Wiśniowiecki, nie miał zamiaru walczyć. Wolał raczej wystąpić w roli gościnnego gospodarza, witającego wojska rosyjskie chlebem i solą. Tydzień po korpusie Lacy’ego, wszedł w granice Wielkiego Księstwa drugi korpus, który szedł spokojnym marszem w stronę Grodna. Po nim wchodzić będą jeszcze na teren Rzeczypospolitej następne oddziały wojsk Anny Iwanownej – łącznie nawet do 60 tysięcy żołnierzy. Lato było dżdżyste, więc tylko rozmokłe drogi spowalniały marsz. W połowie września korpus Lacy’ego dobrnął do Tykocina, a więc już w granice Korony.

W nieodległej Warszawie było już po elekcji. Jeszcze przed wyznaczonym na 25 sierpnia otwarciem sejmu elekcyjnego odbyła się w stolicy uroczysta eksportacja doczesnych szczątków króla Jana III Sobieskiego i Marii Kazimiery, a także Augusta II. Królewskie trumny wyprowadzono z kościoła Kamedułów pochodem przez plac Zamkowy i plac Saski w drogę do Krakowa, na Wawel. Kardynał Fleury wypuścił Stanisława Leszczyńskiego z odległego Chambord – po polską koronę. Stanisław nie wyruszył nad Wisłę na czele potężnej armii francuskiej, ale w przebraniu subiekta kupieckiego musiał przekradać się przez terytorium Rzeszy, podczas gdy dla zmylenia potężnych przeciwników drogą morską wysłano z Francji jego sobowtóra. Szczęśliwie Leszczyński dotarł po tej operetkowej podróży przez Niemcy do polskiej stolicy i 8 września stanął w ambasadzie francuskiej nad Wisłą.

Na Woli już od dwóch tygodni gromadziły się tłumy szlachty: kilkanaście tysięcy wyborców. Sejm elekcyjny, kierowany faktycznie przez prymasa, uchwalił manifest ogłaszający zdrajcami tych, którzy sprowadzili wojsko rosyjskie. Po drugiej stronie Wisły, pod wsią Kamień na Pradze, tradycyjnie rozkładały się obozami województwa litewskie i podlaskie. Codziennie przeprawiano się mostem pontonowym na Wolę i wracano wieczorem; w godzinach szczytu obowiązywał na moście ruch wahadłowy. Część Litwinów zaprotestowała od razu, że nie godzą się na Leszczyńskiego, licząc na to, że zostanie wybrany ktoś z panów litewskich (za Sasem był chyba tylko jeden Radziwiłł „Rybeńko”). Zostali na Pradze. Zaczęto rozmowy – mediację. Tymczasem zbliżali się Rosjanie. Kiedy jednak 11 września Stanisław Leszczyński ujawnił się na nabożeństwie w kościele Świętego Krzyża, a ambasador Monti obiecał pełne poparcie króla Francji dla „Lasa” i dla rozbudowy polskiej armii, entuzjazm wyborców szlacheckich stłoczonych na Woli sięgnął zenitu. Tegoż dnia na polu elekcyjnym prymas, nie czekając na koniec rozmów z Litwinami, nakazał zbieranie głosów. Kontynuowano je 12 września, kiedy prymas ogłosił jednomyślny wybór króla Stanisława. Ponad 13 tysięcy głosów, rzeczywiście bez sprzeciwu po tej stronie Wisły, zaśpiewało „Te Deum”. 19 września nowy król zaprzysiągł w kolegiacie św. Jana pacta conventa. I dwa dni później uciekł z Warszawy – przed nadciągającym wojskiem carowej Anny. O nowej koronacji w Krakowie nawet nie myślał, uznając, że już raz, w roku 1705, został na króla Polski namaszczony. Za radą Montiego postanowił razem z prymasem i częścią senatorów koronnych schronić się w potężnych murach Gdańska, by tam czekać na obiecaną pomoc Francji.

Tymczasem 24 września korpus Lacy’ego doczłapał do Grochowa. Mianowany regimentarzem wojsk koronnych Józef Potocki ściągnął chorągwie komputowe pod swoją komendę, ale wystarczyło mu pomysłu i animuszu na tyle tylko, by zdobyć gmachy poselstw saskiego i moskiewskiego w Warszawie. Nie zdecydował się iść na pomoc wybranemu królowi w stronę Gdańska ani tym bardziej zaczepiać korpus Lacy’ego pod Warszawą, tylko rozproszył swoje wojsko i ruszył na południe, ku Radomiowi.

Nikt nie zakłócał więc drugiej, całkowicie bezprawnej elekcji, która odbyła się na Pradze 5 października. Zachęcona przez obecność korpusu rosyjskiego, który „bronił wolnego wyboru Polaków”, grupka szlachty okrzyknęła syna Augusta II królem. Współczesny historyk, Andrzej Macuk, oblicza, że szlacheckich elektorów Sasa było zaledwie 591, z czego 40 proc. z województwa nowogródzkiego, kontrolowanego przez jawnie działającego na rzecz Rosjan wojewodę Mikołaja Faustyna Radziwiłła. Zawiązano w celu obrony tronu dla Wettyna konfederację, zwaną warszawską, pod laską marszałkowską Antoniego Józefa Ponińskiego. Oczywiście nie ta marionetkowa konfederacja, ale wojsko carowej Anny było jedynym gwarantem powodzenia Sasa. Z asystą wojsk Lacy’ego „konfederaci” bez trudu

Hasło „niepodległość Polski” nie pozwoli ostatecznie zasnąć spokojnie nadzorcom i opresorom polskiej wolności, którzy w imię ładu czy postępu będą odnawiali kolejne wersje imperialnej wieży Babel w naszej części Europy

eprasa.pl 31386a225f

opanowali stolicę. Nie było w niej jednak regaliów, które towarzyszyły niedawnej, warszawskiej części uroczystości pogrzebowych Augusta II i Jana III. Stronnicy Leszczyńskiego, chcąc uniemożliwić koronację nominata mniejszości, ukryli skarbiec koronny na Jasnej Górze, a koronę, Szczerbiec, jabłko i berło zamurowali w warszawskim kościele Świętego Krzyża.

IDEAŁ SUWERENNOŚCI SIĘGNĄŁ WAWELSKIEGO BRUKU

Do Drezna wiadomość o zdobyciu królewskiego tytułu dla elektora dotarła 10 października. Dopiero 14 listopada Fryderyk August ogłosił przyjęcie polskiej korony, ale już wcześniej wyprawił cały tabor – 200 wozów, 6 karet i tłum dworzan w 1300 koni – na koronację do Krakowa. Pod ochroną wojska saskiego sam elektor (wraz z małżonką) wjechał w granice Polski 4 stycznia 1734 roku. 15 stycznia 1734 roku dopełnił w zdobytym Krakowie obrządku pochowania swoich poprzedników na tronie, a dwa dni później odbyła się skromna uroczystość koronacji, z udziałem biskupów Lipskiego i Hozjusza, w miejsce obecnego w przeciwnym obozie prymasa. Znikoma liczba senatorów z trudem wystarczyła do pełnienia najważniejszych funkcji ceremonialnych. Nie brakowało za to wokół katedry wojska saskiego, które pilnowało bezpieczeństwa elektora króla. Tak wyglądała ostatnia, jak się później okazało, koronacja królewska na Wawelu. 413 lat po namaszczeniu Władysława Łokietka, otwierającym nieprzerwaną serię 20 koronacji, wpisany w tę koronę ideał suwerenności sięgnął wawelskiego bruku.

Polska miała tak czy inaczej nowego króla, a Litwa wielkiego księcia – Augusta III. A właściwie, jak przed ponad ćwierć wiekiem, było dwóch królów, ponieważ przecież był już wybrany Stanisław. Znowu: „Sas" i „Las". Tym razem „Sas" był jeszcze bardziej zależny od Rosji niż niegdyś August II. Nie dało się nawet zachować pozorów. Nie przeszkodziło to hucznym uroczystościom w Saksonii. Z perspektywy historii muzyki najważniejsza z nich odbyła się w Lipsku, zapewne także w lutym, w sali Café Zimmermann przy Collegium Musicum, kierowanym przez samego Jana Sebastiana Bacha. Zabiegał on wtedy właśnie o nadanie mu tytułu nadwornego kompozytora elektora Saksonii. Jeszcze w 1733 roku wysłał elektorowi list z uniżoną prośbą w tej sprawie, z dodanymi do niego częściami jednego ze swych największych arcydzieł: muzyki do katolickiego porządku Mszy: głosy „Kyrie" i „Glorii" ze słynnej później na cały muzyczny świat „Mszy h-moll". Czy miały swoje prawykonanie na Wawelu, w czasie koronacji? Miło byłoby tak pomyśleć, ale raczej tak nie było. Za to w Lipsku odśpiewana została około 40-minutowa kantata, którą Bach napisał specjalnie na okazję wawelskiej koronacji. Tekst i nuty odnalezione zostały niedawno, w roku 2007. Gdzie? W Moskwie oczywiście, która swoje panowanie nad Europą Wschodnią i Środkową od XVII wieku potwierdza kolejnymi falami grabieży. Ostatnia taka w czasie drugiej wojny zagarnęła także niemieckie dobra kultury. Wśród nich znalazła się wspomniana kantata pod groźnym tytułem: „Blast Lärmen, ihr Feinde! Verstärket die Macht"… „Zagrzmijcie na alarm, wrogowie! Wzmacniajcie swe siły" – za owym tytułowym wersem chóru brzmi zapewnienie: „Serce mojego bohatera [to jest Augusta III] pozostaje niewzruszone". Stały librecista Bacha, Picander, czyli Christian Friedrich Henrici, nadał kantacie wyraz reportażu z wojny, którą elektor toczy zwycięsko o koronę polską. Już Leszczyński czmychnął do Gdańska – „bezczelny wróg ze wstydem pogonion" – śpiewa figura Męstwa. Duet Łaski i Sprawiedliwości łagodzi jednak groźny ton i zapewnia nowych polskich poddanych Augusta III: „Czarne kruki prędzej spłodzą łabędzie, niż August złamie prawo".

Czarne orły, a raczej właśnie kruki już się gromadziły nad Polską. Ale może kantata proroczo zapowiadała raczej to, że spłodzą one czarne łabędzie, czyli – jak to dziś interpretujemy – zwiastuny strasznej katastrofy? Ale czyjej katastrofy? Nasza odpowiedź na to ostatnie pytanie zdaje się całkiem banalna: katastrofa polskiej wspólnoty politycznej, Rzeczypospolitej, była już przecież widoczna. O tym właśnie piszemy. A jednak odpowiedź pokolenia, które otworzyło oczy na grożącą Rzeczypospolitej zagładę, mogła zmienić ten czarny scenariusz. Niezgoda Polaków na zniewolenie mogła ostatecznie przynieść katastrofę tym, którzy to zniewolenie wprowadzali do niej. I w końcu przecież – warto to stwierdzić! – przyniesie klęski kolejnych imperialnych zapędów, które będą rozbijać się o Polskę (między innymi o nią) w następnych trzech wiekach. Gdzie dzisiaj jest imperium habsburskie? Nie ma go. Gdzie dziś przebiega granica imperium germańskiego, które pod egidą Prus powstaje w XVIII wieku? Na Nysie Łużyckiej i Odrze ze Szczecinem po polskiej stronie. A gdzie znalazło się imperium carów w 1918 roku, gdy odrodziła się Polska po raz pierwszy? Zniknęło z mapy. A gdzie sowieckie – gdy Polska odradzała się, wraz z innymi narodami, ponownie w latach 1989–1991? Gdzie dzisiaj toczy swe walki kolejna inkarnacja moskiewskiej woli mocy? Przecież nie nad Bugiem i Sanem, ale hen, za Dnieprem…

19 września nowy król zaprzysiągł w kolegiacie św. Jana pacta conventa. I dwa dni później uciekł z Warszawy – przed nadciągającym wojskiem carowej Anny.
O nowej koronacji w Krakowie nawet nie myślał, uznając, że już raz, w roku 1705, został na króla Polski namaszczony

Ktoś może zapytać: Czy autor chce tu zaproponować jakąś tanią i nieprzekonującą wizję pociechy, która ma zasłonić nieudolność i winy własne tych, którzy Rzecząpospolitą władali w wiekach XVII i XVIII? Nie. Chcę tylko wprowadzić, z odpowiednim do znaczenia tej nowej nuty przytupem, hasło NIEPODLEGŁOŚĆ, które właśnie w reakcji na hańbę roku 1733 zaczyna rozbrzmiewać w polskiej historii. Od tego roku datować można przebudzenie, które nie pozwoli spać spokojnie Polakom i będzie prowadzić kolejne pokolenia, już kilkanaście od tego czasu, do pracy nad podniesieniem ojczyzny, a kiedy trzeba – do walki przeciw tym, którzy ją niewolą. I to hasło – niepodległość Polski – nie pozwoli ostatecznie zasnąć spokojnie nadzorcom i opresorom polskiej wolności, którzy w imię ładu czy postępu będą odnawiali kolejne wersje imperialnej wieży Babel w naszej części Europy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl 31386a225f

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Klęska

Czerwony Bór, 23 czerwca 1944 r. Była to jedna z największych klęsk Armii Krajowej w akcji „Burza". Zgrupowanie żołnierzy AK i NOW-AK miało przeprowadzić akcję rozbicia więzienia w Łomży i uwolnić osadzonych tam nieszczęśników. Ale organizacja i jeszcze gorsze dowodzenie akcją przez kpt. Jana Buczyńskiego „Jacka", inspektora Inspektoratu Mazowieckiego, doprowadziły do katastrofy. Zgrupowaniem dowodził fatalnie, nie przestrzegając elementarnych zasad bezpieczeństwa. Zbyt długo przebywało w jednym miejscu i było źle ubezpieczone. W momencie niemieckiej obławy dowódca jako jeden z pierwszych zbiegł zaś z pola walki, wraz ze swą partyzancką „żoną", porzucając podkomendnych. Otoczeni, źle uzbrojeni, pozbawieni dowództwa partyzanci nie mieli szans w nierównej walce.

Od całkowitej katastrofy uratowała ich akcja pomocy z zewnątrz, ze strony żołnierzy AK i NSZ, powołanych „z siatki". Zdezorientowało to Niemców, którzy nie zdawali sobie sprawy z niewielkich sił idących na pomoc. Dowódca oddziału NSZ, kpt. Antoni Kozłowski „Biały", przypłacił to życiem, zginęło też kilku jego żołnierzy. Ale to pozwoliło na niedomknięcie pierścienia niemieckiej obławy. Największe straty poniosły oddziały NOW-AK, dowodzone przez ppor. Zygmunta Przeździeckiego „Wiesława" (komendanta Powiatu Zambrów NOW). On i wielu jego żołnierzy zginęło, ale umożliwili wyjście innym z okrążenia.

Brak jest dokumentów AK z tego okresu. Nikt też nie szukał dokumentów niemieckich, dotyczących tej walki, a sprawozdania mogłyby wiele spraw wyjaśnić. Wiemy z relacji bezpośrednich świadków i osób chowających poległych, że zginęło od 87 do ponad 100 żołnierzy, głównie NOW. Straty niemieckie były zapewne niewielkie, biorąc pod uwagę ich poziom wyszkolenia i uzbrojenia. W ciągu następnych tygodni w ramach represji Niemcy aresztowali w okolicy setki ludzi, zsyłając ich do obozów koncentracyjnych i na roboty przymusowe w Rzeszy.

Ważne są dalsze losy kpt. „Jacka". Został zawieszony w czynnościach do czasu rozstrzygnięcia jego sprawy przez sąd wojskowy, do czego już nie doszło. Po kilku miesiącach zdezerterował z AK. Na tym terenie już nigdy po wojnie się nie pojawił. Co więcej, w 1956 r. podjął współpracę z UB, jako tajny współpracownik „Stach", do agenturalno-operacyjnej sprawy pod kryptonimem Dywersanci. Działał ponadto w lokalnym Froncie Jedności Narodu w Rykach na Lubelszczyźnie. Do pracy na rzecz Polski Ludowej wciągnął też syna Andrzeja, aktywistę PZPR. Jan Buczyński w III RP otrzymał awans do stopnia… pułkownika WP. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Nowa epoka w dziejach

Na początku lat 60. wytwarzany przez FSO samochód Warszawa był już pojazdem przestarzałym i nawet tak zajadły wróg indywidualnej motoryzacji jak Władysław Gomułka uznał, że czas na produkcję znacznie nowszego modelu. Oczywiście towarzysz Wiesław nie myślał o potrzebach swoich poddanych, a zależało mu wyłącznie na pojeździe dla administracji państwowej i służb mundurowych.

Poza tym Gomułka zawsze zwracał uwagę na aspekt ekonomiczny i doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że metody produkcyjne stosowane na Żeraniu są zbyt czasochłonne i generują ogromne koszty. Wprawdzie część powstałych egzemplarzy przeznaczano na eksport, ale odbiorcami były wyłącznie kraje socjalistyczne lub Trzeciego Świata i cena pojazdów nie mogła być zbyt wysoka. Poza tym Warszawa nie była konkurencyjna nawet wobec pojazdów wytwarzanych w CSRS czy NRD. Rozwiązaniem mógł być zakup kompletnej licencji zza żelaznej kurtyny, co całkowicie zrewolucjonizowałoby polski przemysł motoryzacyjny. Podobne decyzje podejmowano zresztą wówczas w ZSRS, gdzie rozpoczęto rozmowy z Fiatem, oraz w Rumunii, gdzie negocjowano z Renault.

W rachubę wchodził samochód średniolitrażowy z klasy określanej dzisiaj jako segment C (compact). Włosi produkowali wówczas Fiata 1300/1500, ale przygotowywali się już do wprowadzenia modelu 125. Jednocześnie miał się pojawić Fiat 124 będący jego zubożoną wersją.

Sowieci zdecydowali się właśnie na ten pojazd i przez wiele lat kolejne Łady (na rynku krajowym nazywane Żiguli) bazowały na tym modelu. Polacy ze względów oszczędnościowych postanowili zakupić licencję Fiata 1300/1500, ale w ostatniej chwili Włosi zgodzili się, by pojazd posiadał nadwozie i układ hamulcowy z modelu 125. Była to zatem hybryda, która nie miała odpowiednika w ofercie koncernu z Turynu. Dzięki temu samochód uzyskał nazwę Polski Fiat 125p, co w przyszłości ułatwiło jego eksport.

Koszt licencji wyniósł 40 mln dol. (obecnie to równowartość 377 mln), ale w umowie znalazł się zapis, że od opłat licencyjnych będzie odejmowane 10 proc. kosztów zakupów kolejnych technologii w koncernie Fiata. Przez kolejnych kilka lat strona polska nabywała je niemal hurtowo i wreszcie doszło do sytuacji, że przekroczyły one koszty licencji. Produkt z FSO był jednak pojazdem, w którym zastosowano rozwiązania pochodzące jeszcze z lat 50. i trudno go było uznać za nowoczesne auto. Nie dorównywał też sowieckim pojazdom powstałym na bazie modelu 124. Jednak gdy rozpoczęto produkcję Fiata 125p (28 listopada 1967 r.), był to początek nowej epoki w dziejach motoryzacji PRL. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

MAKABRYCZNY KONIEC TYRANÓW

Jęki w Gorkach – Pan życia i śmierci milionów mieszkańców czerwonego imperium odchodził z tego świata w potwornych okolicznościach. Lenin stawał się więźniem własnego ciała, a jego najbliżsi współpracownicy krążyli nad nim jak sępy

Carski tron we krwi – Gdy austriacki kanclerz Klemens von Metternich wspominał śmierć cara Pawła I, zawsze dodawał z przekąsem, że Rosjanie mogliby wreszcie znaleźć inną przyczynę zgonów swoich władców niż apopleksja

Najpotężniejsza w Europie – Eleonora Akwitańska była królową Francji i Anglii, dziedziczką Akwitanii, najbogatszą kobietą wieków średnich

Miliony ministra Czechowicza – Józef Piłsudski wziął na siebie odpowiedzialność za wydatki nieprzewidziane w budżecie. Wiedział, że opozycja nie ośmieli się postawić go przed Trybunałem Stanu

Słońce Austerlitz – ze względu na propagandę, która towarzyszyła zwycięstwu nad siłami rosyjsko-austriackimi, i polityczne znaczenie wygranej, Austerlitz postrzegane jest jako moment, kiedy „słońce cesarza" zaświeciło najjaśniej

Brzemię Wojciecha Żukrowskiego – „Dobry pisarz, ale czasem coś obrzydliwego potrafi napisać" – oceniał go Stefan Kisielewski

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 31386a225f

Maciej Pieczyński

Wieloletnia szefowa Związku Polaków na Białorusi najwyraźniej zrezygnowała ze sprzeciwu wobec władz w Mińsku, wybierając pragmatyczną uległość. To kolejny dowód na triumf „politycznego realizmu" w relacjach zarówno z Putinem, jak i z Łukaszenką

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Pakt „Polka – Łukaszenka"

Andżelika Borys była przez wiele lat uosobieniem oporu przeciwko białoruskiej dyktaturze. Niedawno przestała jednak pełnić funkcję przewodniczącej Związku Polaków na Białorusi. I najwyraźniej postanowiła pogodzić się z Alaksandrem Łukaszenką. Świadczy o tym wywiad, którego w połowie listopada udzieliła gazecie „Biełaruś Siegodnia", wydawanej przez rząd białoruski. Rozmowa ukazała się również w dwóch częściach w Internecie – na portalu gazety sb.by. Uwagę zwracają tytuły. „Czy na Białorusi dochodzi do prześladowań etnicznych Polaków? Andżelika Borys zaprzecza tym gołosłownym twierdzeniom" – głosi tytuł części pierwszej. Nie jest to bynajmniej żadna manipulacja. Rzeczywiście, była szefowa mniejszości polskiej kreśli obraz diametralnie odmienny od tego, który znamy z przekazu mediów nad Wisłą. Borys zauważa, że władze w Mińsku nie tylko nie zamykają istniejących kościołów katolickich, lecz także pozwalają na budowę nowych. W świątyniach Msze Święte odprawiane są po polsku, polskie dzieci również uczą się w swoim ojczystym języku. „Nikt nam nie zabrania organizowania licznych obrzędów czy uroczystości narodowych. Jesteśmy traktowani tak samo, jak wszyscy inni obywatele" – zapewnia Andżelika Borys w imieniu mniejszości polskiej, choć w wywiadzie jest przedstawiona jako „była przewodnicząca Związku Polaków na Białorusi, a obecnie dyrektor szkoły języka polskiego Polonica Plus".

Z wypowiedzi działaczki wyłania się bardzo pozytywny obraz państwa

eprasa.pl 31386a225f

rządzonego przez Łukaszenkę. Twierdzi ona m.in., że polscy turyści chętnie przyjeżdżają na Białoruś. „Tutaj odpoczywają, korzystają z różnego rodzaju usług medycznych, podróżują po pięknym, zadbanym kraju" – nie, to nie jest cytat z propagandowego portalu Belta.by. To są słowa Andżeliki Borys. Ale to nie koniec. W innym akapicie wywiadu czytamy: „Osobno chcę podziękować władzom Białorusi za to, że dają możliwość zarówno etnicznym Polakom, jak i przedstawicielom innych narodów (a jest ich ponad sto!) pielęgnować swoją tożsamość narodową. Obecnie u nas [chyba chodzi o szkołę Polonica Plus – przyp. red.] jest 400 dzieci, które uczą się języka polskiego. A na całej Białorusi jest ich ponad 3000". Borys przyznaje, że program nauczania w Polonica Plus został uzgodniony z Miejskim Komitetem Wykonawczym w Grodnie, ale to „normalna praktyka". „Mówię to jako pedagog z wykształcenia" – uściśla działaczka.

„Wskutek zamknięcia granic cierpią przede wszystkim prości ludzie" – taki cytat z wywiadu z Andżeliką Borys został wybrany do tytułu drugiej części wywiadu z nią. Działaczka zaznacza, że sprawnie porozumiewa się w trzech językach: po polsku, białorusku i rosyjsku. Nie mówi tego jednak po to, by pochwalić się zdolnościami lingwistycznymi, tylko po to, by po raz kolejny pochwalić politykę Łukaszenki: „Trzeba powiedzieć, że na Białorusi nikt nigdy nie dzielił ludzi z uwagi na ich narodowość czy wyznanie. I dziś też nikt nie dzieli! Przeciwnie, wielokrotnie ze wzruszeniem obserwowałam, jak czteroosobowa rodzina idzie w niedzielę na Mszę. Na jej czas rozdzielają się: tata i syn idą do cerkwi, a mama i córka – do kościoła. A potem równie przyjaźnie wszyscy razem wracają do domów. Przecież u nas większość małżeństw to związki międzyetniczne".

MULTIKULTURALIZM

Z jednej strony, Andżelika Borys docenia (albo zapewnia, że docenia) politykę władz w Mińsku wobec Polaków. Z drugiej zaś strony, przy okazji, zapewne niechcący, akcentuje rzadko zauważalny aspekt białoruskiej i rosyjskiej polityki, czyli multikulturalizm. W wypadku Moskwy wynika on zarówno z autentycznej różnorodności etnicznej, jak i z imperialnego charakteru Moskwy. W wypadku Mińska zaś – ze słabości własnej tożsamości. Pod wodzą sowieckiego patrioty, którym był i jest Łukaszenka, Białoruś ulega postępującej rusyfikacji, a po białorusku niechętnie, rzadko i słabo mówią nawet opozycjoniści. Oczywiście na łukaszenkowskim multikulturalizmie polski żywioł narodowy może tylko skorzystać.

Andżelika Borys mocno podkreśla bliskość kulturową i językową Polaków i Białorusinów. Ponadto opowiada się kategorycznie przeciwko sankcjom na Mińsk. Jej zdaniem granice „powinny łączyć, a nie dzielić ludzi". „Od zwykłych obywateli ani razu nie słyszałam, żeby cieszyli się z ich zamknięcia" – zapewnia.

Wywiad w Internecie pojawił się w czwartek 13 listopada. Dzień później polski rząd poinformował o ponownym otwarciu z pewnymi ograniczeniami dwóch przejść granicznych z Białorusią. Zamknięte były z dwóch powodów. Po pierwsze, z uwagi na atak hybrydowy Mińska. Po drugie, jako środek nacisku w celu uwolnienia Andrzeja Poczobuta. Co ciekawe, Andżelika Borys pod koniec września odwiedziła uwięzionego dziennikarza w kolonii karnej w Nowopołocku. Była jeszcze wtedy przewodniczącą Związku Polaków na Białorusi. O stanie zdrowia Poczobuta opowiadała na łamach polskiego „Newsweeka" tak: „Andrzej cierpi na nadciśnienie i arytmię. Mówił, że ostatnio bardzo często ma wysokie ciśnienie. We wrześniu w więziennym szpitalu przeszedł operację. Wycinali wrzody, które zrobiły mu się na skórze. Powiedział mi, że przez tydzień w więziennym szpitalu nawet przytył. Jeśli chodzi o oczy, to trudno mi ocenić. Wiadomo jednak, że w kolonii karnej wszystkim psuje się wzrok". Borys wyraziła wtedy przekonanie, że Poczobut za kratami nie dostaje leków: „Z duchem u Andrzeja jest wszystko w porządku. Jest bardzo spokojny, zrównoważony, zresztą tak jak zawsze" – mówiła ponadto.

Między dwoma wywiadami – dla „Newsweeka" i „Biełaruś Siegodnia" – minęły niecałe dwa miesiące. W tym czasie Borys przestała pełnić funkcję szefowej Związku Polaków na Białorusi. Jeszcze kilka lat temu Andżelika Borys była tam, gdzie obecnie Andrzej Poczobut. Ideowo i dosłownie. W marcu 2021 r. została aresztowana. Najpierw zarzucono jej nielegalną organizację imprezy masowej. Chodziło o coroczny jarmark odpustowy Kaziuki w Grodnie. Szybko jednak sformułowano zarzut o wiele poważniejszy. Prokuratura wszczęła postępowanie na podstawie artykułu Kodeksu karnego, dotyczącego „celowych działań mających na celu podżeganie do nienawiści narodowej i religijnej oraz siania niezgody na gruncie przynależności narodowej, religijnej, językowej, a także rehabilitację nazizmu przez grupę osób". Taki zarzut postawiono nie tylko Andżelice Borys, lecz także innym czołowym działaczom

eprasa.pl 31386a225f

polskiej mniejszości, w tym Andrzejowi Poczobutowi. „Obywatele ci, pozycjonujący się jako członkowie powyższego związku, od 2018 r. do chwili obecnej, na terenie miasta Grodna i innych miejscowości tego obwodu, z udziałem nieletnich, zorganizowali i przeprowadzili wiele nielegalnych imprez masowych na cześć uczestników antyradzieckich formacji zbrodniczych działających w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej i po jej zakończeniu, dokonujących rabunków, mordów na ludności cywilnej Białorusi i niszczenia mienia. Ich działania miały na celu rehabilitację nazizmu i usprawiedliwianie ludobójstwa narodu białoruskiego" – tak łukaszenkowska prokuratura uzasadniła postawione zarzuty. Jakkolwiek Mińsk jest rzeczywiście przeczulony na punkcie polskiego podziemia niepodległościowego (które w duchu propagandy komunistycznej traktuje jako kolaborantów hitlerowskich), to kwestie historyczne były w tym wypadku wygodnym pretekstem do zduszenia niezależnej od władz działalności polskiej mniejszości. Szczególnie że Związek Polaków na Białorusi od dawna jest przez Łukaszenkę nieuznawany.

Oskarżonym groziło od 5 do 12 lat więzienia. Poczobut dodatkowo jeszcze dostał zarzut „działalności terrorystycznej" i został skazany na osiem lat odsiadki. Andżelika Borys trafiła do aresztu, w którym spędziła rok. W marcu 2022 r. wyszła na wolność i została objęta z kolei aresztem domowym. W niepewności żyła kolejny rok, nie wiedząc, czy i jaki czeka ją wyrok. W kwietniu 2023 r. została zwolniona również z aresztu i oczyszczona ze wszystkich zarzutów.

Andżelika Borys urodziła się w Grodnie w 1973 r. Z wykształcenia jest nauczycielką. Uczyła się i studiowała w Polsce, po czym wróciła na Białoruś, gdzie uczyła języka polskiego w szkołach. W 2005 r., na szóstym zjeździe Związku Polaków na Białorusi, została wybrana na jego przewodniczącą. Na czele ZPB zastąpiła Tadeusza Kruczkowskiego, który blisko współpracował z białoruskimi władzami. Mińsk unieważnił zatem zjazd. Doszło do rozłamu w Związku. Frakcja ugodowców przeprowadziła nowy zjazd, na którym głosowanie na przewodniczącego wygrał Józef Łucznik. Od tej pory trwała walka między lojalistycznym a zbuntowanym, formalnie nielegalnym ZPB. Funkcję szefowej Borys pełniła aż do niedawna, z sześcioletnią przerwą między 2010 a 2016 r. Kilkakrotnie ją ukarano wysoką grzywną za organizację imprez kulturalnych. Na przykład w 2008 r. było to 400 euro (ok. 1,8 tys. zł) za… koncert zespołu Lombard w Grodnie, w 2010 r. – 1 tys. euro (ok. 4,5 tys. zł) „za nielegalną działalność charytatywną" i 200 euro (ok. 900 zł) „za nielegalny protest" przed grodzieńskim Domem Polskim. W 2019 r. była sądzona za to, za co dwa lata później trafi do aresztu – czyli za organizację Grodzieńskich Kaziuków. Śledztwo umorzono wtedy z powodu małej szkodliwości czynu. Popierała też białoruską opozycję podczas protestów w 2020 r.

Retoryczna ustępliwość wobec dyktatora może pomóc sprawie. Nieufny wobec zachodniego sąsiada Łukaszenka może nie będzie tak konsekwentny w tropieniu „polskiego spisku" jak dotychczas

„SOWIECKI PATRIOTA"

Dziś Andżelika Borys chwali działania władz w Mińsku. Skąd jej prołukaszenkowski zwrot? Jan Krzysztof Michalak, korespondent polskich mediów na Białorusi, uważa, że działaczka została do pochlebstw pod adresem władz w Mińsku zmuszona. Jego zdaniem KGB w ten sposób wykorzystało szansę, by upokorzyć swojego wieloletniego wroga. Ponadto, przekonuje Michalak, sam fakt, że taki wywiad zostaje opublikowany w przededniu otwarcia przejść granicznych (a być może też w przededniu uwolnienia Poczobuta), „jest świadectwem tego, że Polacy na Białorusi są wciąż zakładnikami reżimu" i nic nie wskazuje na to, by ta sytuacja miała się w najbliższym czasie zmienić.

W podobnym tonie sprawę komentuje Michał Potocki. Zdaniem dziennikarza Andżelika Borys poszła na trudny kompromis. W zamian za wycofanie zarzutów i umożliwienie dalszej pracy musi powstrzymać się od krytyki białoruskich władz.

Możliwe również, że – deklarowana czy szczera, ale jednak faktyczna – zmiana poglądów wieloletniej opozycjonistki wpisuje się w szerszy kontekst polityczny, a nawet geopolityczny. Trump szuka porozumienia z Putinem, próbując go zachęcić do zakończenia wojny za pomocą marchewki, a nie kija. Niezależnie od tego, czy ta taktyka okaże się skuteczna czy też po raz kolejny Kreml pokaże, że nie chce pokoju, pewne jest jedno. Skończyły się czasy, gdy szeroko rozumiany Zachód nie rozmawiał z Rosją. Świadomość konieczności rozwiązywania problemów drogą dyplomatyczną jest coraz większa. W mniejszej skali dotyczy to również Białorusi, która akurat jest przykładem skuteczności polityki Waszyngtonu. Dzięki staraniom Trumpa Łukaszenka wypuszcza co jakiś czas kolejnych więźniów politycznych. Rosja nie zniknie z mapy i nie przegra wojny na polu militarnym, więc – chcąc nie chcąc – trzeba z nią siadać do stołu negocjacji.

Podobnie Łukaszenka – cieszący się wsparciem Putina – nie zostanie w dającej się przewidzieć przyszłości obalony ani przez demokratyczną opozycję, ani przez lojalny wobec Warszawy Związek Polaków na Białorusi. Być może więc uległa postawa Andżeliki Borys jest jedynym sposobem, by cokolwiek od Łukaszenki uzyskać. Oczywiście podporządkowana Rosji Białoruś pozostanie geopolitycznym przeciwnikiem Polski. Oczywiście „sowiecki patriota" Łukaszenka nie będzie nigdy dla Warszawy sojusznikiem i nie będzie pozwalał na nadmierną niezależność polskich organizacji na swoim terenie. Ale retoryczna ustępliwość wobec dyktatora może pomóc sprawie. Nieufny wobec zachodniego sąsiada Łukaszenka może nie będzie tak konsekwentny w tropieniu „polskiego spisku" jak dotychczas. A Polacy na Białorusi będą mogli przynajmniej po cichu, bez polityki, w ograniczonym, ale jednak zakresie krzewić swoją kulturę, w ramach pracy u podstaw. Trzeba przy tym pamiętać, że Andżelika Borys, Andrzej Poczobut i inni nasi rodacy za wschodnią granicą są zakładnikami. Nie jesteśmy w stanie ich odbić, więc może rzeczywiście lepiej nie drażnić „terrorysty".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

FOT. ADOBE STOCK

WALKA Z WYKLUCZENIEM

Nowy australijski zakaz korzystania z mediów społecznościowych dla osób poniżej 16. roku życia trafił do sądu najwyższego Australii. Dwoje nastolatków twierdzi, że narusza on ich prawo do wolnej komunikacji. Od 10 grudnia platformy takie jak Meta, TikTok i YouTube będą musiały blokować konta młodych Australijczyków. Rząd powołuje się na ochronę dzieci. Tymczasem przeciwnicy zakazu uważają, że szkodzi on tej części młodzieży, której grozi wykluczenie społeczne (np. z powodu „nieheteronormatywności").

TAJEMNICZY SKARB

Mężczyzna z Neuville-sur-Saône (Francja), kopiąc basen w swoim ogrodzie, odkrył złoto o łącznej wartości ok. 800 tys. dol. Na kruszcu były numery identyfikacyjne i pochodził on z legalnego przetopu sprzed 15–20 lat. Dzięki temu policja ustaliła, że złoto nie zostało skradzione. Zgodnie z francuskim prawem osoba, która znalazła skarb na własnej posesji, może go zatrzymać. Poprzedni właściciel działki nie żyje, a okoliczności ukrycia złota pozostają tajemnicą.

POLITYKA RÓWNOŚCI

W kawiarni Starbucks w St. Petersburgu w stanie Floryda jeden z klientów oburzył się z powodu wywieszonej w lokalu flagi ruchu LGBT. Zażądał jej usunięcia i wywieszenia w zamian narodowej flagi USA. Kiedy od kierownika kawiarni usłyszał, że w miejscu tym jest realizowana polityka równości, ponoć zniszczył przedmiot, który wywołał w nim gniew. W efekcie mężczyzna trafił do aresztu, z którego został wypuszczony po wpłaceniu kaucji w wysokości 500 dol. Stracił też pracę.

JAKI CEL PODRÓŻY?

Turysta z USA nie został wpuszczony do Kolumbii. Podczas kontroli na lotnisku w Medellín w jego walizce znaleziono blisko 100 prezerwatyw. On oraz trzech innych podróżnych nie potrafili spójnie wyjaśnić celu wizyty. Tym samym wzbudzili podejrzenia o uprawianie turystyki seksualnej. Cała czwórka została odesłana z powrotem. Według władz Kolumbii to kolejny taki przypadek, odkąd zintensyfikowano kontrolę obcokrajowców, którzy przybywają do tego kraju.

JEDNAK ŻYJE

W Bangkoku brat uznanej za zmarłą 65-letniej kobiety załatwiał w świątyni formalności związane z kremacją siostry. W pewnym momencie z trumny zaczęło dochodzić stukanie. Pracownicy świątyni się przerazili. Wezwano pogotowie. Po otwarciu trumny okazało się, że kobieta żyje, porusza się i otwiera oczy. Zamierzano ją pożegnać, ponieważ według relacji rodziny 65-latka przestała oddychać. Wywnioskowano więc, że kobieta jest martwa. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

PERUN, Orka i Pomerania

Na poligonie w Ustce w poniedziałek pomyślnie przeprowadzono test polskiej rakiety suborbitalnej. Trójstopniowy system rakietowy – opracowany w ramach konsorcjum stworzonego przez Wojskowe Zakłady Lotnicze nr 1 w Łodzi, Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia oraz Zakład Produkcji Specjalnej Gamrat – osiągnęła wysokość 65 km i leciała po założonej trajektorii.

Dwa dni wcześniej, również na Centralnym Poligonie Sił Powietrznych w Ustce, pomyślny lot próbny na wysokość 50 km wykonała rakieta suborbitalna PERUN, opracowana przez polską, prywatną firmę SpaceForest. W świecie, w którym innowacje decydują o przewadze na polu walki, dobrze jest widzieć rozwój rodzimych technologii rakietowych, które w przyszłości mogą być wykorzystywane zarówno w celach cywilnych, jak i wojskowych.

Świetnie, że wybraliśmy też wreszcie okręty podwodne w programie Orka (choć ta decyzja powinna była zapaść lata temu).

Dobrze również, że rząd w Warszawie dostrzegł strategiczne znaczenie trasy Via Pomerania, która ma łączyć Ustkę i Słupsk z Bydgoszczą, Inowrocławiem i Kaliszem. Obecnie, gdyby w razie wojny sojusznicy przybyli Polsce z pomocą, przysyłając wojska do portu w Ustce, przerzucenie tych jednostek do centrum kraju zajęłoby koszmarnie dużo czasu.

Nowa trasa byłaby też korzystna w czasach pokoju. Jeśli jednak rząd nie przyspieszy jej budowy, to może powstanie za dekadę, a może później... Poślizg złapał już nawet odcinek drogi ekspresowej S10 między Toruniem a Bydgoszczą. Wygląda na to, że urzędnicy i politycy wciąż mają mnóstwo czasu...

eprasa.pl 31386a225f

Szturm chińskich marek nad Wisłą

Jacek Przybylski

Sprzedaż nowych aut w Europie w tym roku nadal wyraźnie rośnie. W coraz szybszym tempie przybywa też samochodów produkcji chińskiej. Według najnowszego raportu IBRM SAMAR marki z Państwa Środka przekroczyły w październiku symboliczny poziom 10 proc. udziału w polskim rynku. Różnych modeli chińskich marek zarejestrowano już w Polsce ponad 70. Czym się od siebie różnią?

Według najnowszych danych Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów (ACEA) tylko w październiku na Starym Kontynencie zarejestrowano aż 1,1 mln nowych osobowych aut. To oznacza, że rok do roku sprzedaż wzrosła aż o 4,9 proc. I chociaż to wciąż wynik wyraźnie gorszy niż w czasach przed pandemią COVID-19, to w salonach większości marek widać wyraźne ożywienie. W dobrym humorze obecny rok powinni kończyć szefowie kluczowych grup. Renault odnotował bowiem wzrost sprzedaży rok do roku o 10,6 proc., Volkswagen o 6,5 proc., BMW o 6,4 proc., a Stellantis o 4,7 proc. Z dużych europejskich producentów na minusie jest wyłącznie Mercedes-Benz (spadek rok do roku o 2,9 proc.).

W pierwszych 10 miesiącach obecnego roku w Europie sprzedało się 11,02 mln nowych samochodów osobowych (o 1,4 proc. więcej niż rok temu). Liderem w roku 2025 pozostaje Volkswagen (ze sprzedażą na poziomie 1,2 mln sztuk) przed Toyotą (712,7 tys. egzemplarzy) i Škodą (698,5 tys. sztuk). W pierwszej dziesiątce najlepiej sprzedających się marek w Europie są również Renault, Mercedes, Peugeot, Audi, Dacia oraz Hyundai.

Świetne wyniki sprzedaży nowych aut na Starym Kontynencie odnotowują w tym roku również producenci z Chin. Dla przykładu: SAIC Motor uplasował się na 16. miejscu (przed Nissanem, Cuprą czy Fiatem), zwiększając sprzedaż w ciągu roku o 26,6 proc.; BYD zajął z kolei 24. pozycję, ale odnotował gigantyczny wzrost (o 285 proc. rok do roku). Tym samym zdołał już pokonać m.in. Mazdę, a na ostatniej prostej tego roku może wyprzedzić jeszcze Mini czy Suzuki.

HYBRYDY GÓRĄ

Według danych ACEA w tym roku rośnie sprzedaż aut w pełni elektrycznych (BEV). Od stycznia do października w całej UE sprzedano 1,473 mln takich pojazdów i miały one 16,4 proc. udziału w rynku. Rośnie także sprzedaż samochodów hybrydowych (wzrost rok do roku aż o 43,2 p.p.). Mimo to wyraźnie widać, że fizycznie niemożliwe jest wykonanie planu sformułowanego bezmyślnie przez urzędników w Brukseli – od 2030 r. chcieli oni zakazać rejestracji nowych samochodów spalinowych we flotach firmowych, wypożyczalniach i firmach CFM, zmuszając przedsiębiorców do zakupu samochodów wyłącznie z napędem elektrycznym, a od 2035 r., w ramach planu „Fit for 55", również osoby fizyczne w UE nie mogłyby już kupić żadnego innego pojazdu z napędem innym niż wyłącznie elektryczny.

Na szczęście przymuszeni przez firmy motoryzacyjne eurokraci mają jeszcze w grudniu tego roku rozważyć złagodzenie zakazu, który nie tylko pozbawia ludzi wolności wyboru, lecz także podkopuje konkurencyjność europejskiego przemysłu.

eprasa.pl 31386a225f

Nowością w Polsce jest elektryczny JAECOO E5. Model za 139,9 tys. zł od zera do 100 km/h przyspiesza w 7,7 s FOT. JAP

W segmencie aut elektrycznych świetnie sobie radzą chińscy producenci, z których wielu może liczyć de facto na podwójne dotacje. Otrzymują bowiem subsydia od władz w Pekinie. Z kolei nabywcy ich e-aut mogą obniżyć ich cenę np. za pomocą programów typu „NaszEauto”.

I chociaż auta elektryczne nie sprzedają się tak, jak chcieliby dyktować to urzędnicy w Brukseli, to systematycznie zmniejsza się liczba nowych rejestracji aut z silnikiem benzynowym (spadek z 34 proc. udziału w rynku w 2024 r. do 27,4 proc. w pierwszych 10 miesiącach obecnego roku) oraz z silnikiem Diesla (spadek o 24,5 p.p. do 9,2 proc.).

REKORDY W POLSKICH SALONACH

U dilerów samochodowych nad Wisłą w październiku nadal panował ruch niczym w ulu. Według danych Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego od stycznia do końca października obecnego roku zarejestrowano już łącznie 480 636 samochodów osobowych, co oznacza wzrost o 7,6 proc. (+33 908 sztuk) w porównaniu z analogicznym okresem roku poprzedniego. PZPM podkreśla, że „rynek samochodów osobowych jest na drodze do osiągnięcia najlepszego rocznego wyniku w najnowszej historii”.

Najwyższy wzrost sprzedaży rok do roku odnotowała w październiku czeska Škoda (aż o 30 proc.). Z kolei największym awansem wśród ulubionych przez Polaków modeli może się pochwalić chiński SUV MG HS. Rok 2025 był jednak dobry nie tylko dla MG. Według Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego SAMAR już w październiku chińskie marki przekroczyły nad Wisłą poziom 10 proc. udziału w rynku nowych aut. Ich udział w segmencie elektryków jest jeszcze wyższy. O tym, jak ważny jest nasz rynek dla Chińczyków, może świadczyć to, że Polska zajmuje obecnie trzecie miejsce w Unii Europejskiej i ósme wśród 35 krajów Starego Kontynentu pod względem sprzedaży chińskich marek.

Eksperci przewidują zaś, że już za trzy lata liczba wyprodukowanych w Chinach samochodów osobowych może przekroczyć milion egzemplarzy. Chińscy producenci oferują bowiem dobrze wyposażone auta w bardzo atrakcyjnych cenach. Trudno też narzekać na brak wyboru. Jak bowiem zauważył w opublikowanej w ubiegłym tygodniu informacji Wojciech Drzewiecki z IBRM SAMAR, obecnie zarejestrowano w Polsce już 75 różnych modeli chińskich marek, co nawet miłośników motoryzacji może przyprawić o zawrót głowy. A sami Chińczycy nie ułatwiają zadania, często nazywając swe modele w sposób, który jeszcze bardziej utrudnia rozpoznanie, co jest czym i dla kogo.

BITWA O PODIUM

Wśród chińskich producentów liderem w Polsce pozostaje MG , należąca do koncernu SAIC. Marka o brytyjskich korzeniach od stycznia do końca października sprzedała 11 782 sztuki swoich samochodów. Tylko w październiku ta marka odnotowała aż 1629 zarejestrowanych pojazdów i pierwszy raz w historii przekroczyła próg 3 proc. udziału w polskim rynku aut osobowych. MG Motor znalazło się w październiku na 11. miejscu w segmencie osobowym. Po 10 miesiącach obecnego roku marka zajęła 14. lokatę z udziałem rynkowym 2,45 proc.

Bezsprzecznie bestsellerem jest MG HS. Całkiem duży SUV (mierzy 4,655 m długości, 1,89 m szerokości i 1,664 m wysokości) z silnikiem 1.5T o mocy 170 KM i z przyzwoitej wielkości bagażnikiem sprzedawany jest w dwóch wersjach wyposażenia: Excite oraz Exclusive. Można też wybierać między skrzynią manualną lub automatyczną.

Kabina auta w wyższej wersji wyposażenia jest zaś wykończona niemal tak, jakby HS był autem klasy premium. Popularność tego modelu tłumaczy stosunek jakości do ceny. Nowy HS w wersji 1.5 M/T Excite kosztuje ok. 105,9 tys. zł, natomiast w wersji Exclusive, z automatyczną skrzynią, 129,9 tys. zł. Odmiany hybrydowe są droższe. Hybrid+ to w promocji wydatek rzędu 128,9 tys. zł w wariancie Excite oraz 139,9 tys. zł w wersji Exclusive. Hybryda typu Plug-In kosztuje zaś odpowiednio 154,5 tys. zł oraz 163,5 tys. zł.

Świetnie sprzedaje się również druga generacja modelu MG ZS. Kompaktowy SUV mierzący 4,43 m długości i 1,818 m szerokości jest dostępny w wersji benzynowej oraz hybrydowej. W wariancie benzynowym 1,5-litrowy silnik ma 115 KM maksymalnej mocy i współpracuje z pięciobiegową skrzynią manualną. Na przyspieszenie od zera do 100 km/h trzeba tu poczekać 12,5 s. Dużo bardziej dynamiczna jest wersja hybrydowa MG ZS, która ma pod maską 1,5-litrowy silnik benzynowy o mocy 102 KM, a także napęd elektryczny o mocy 136 KM (250 Nm).

MG ZS Hybrid+ to jeden z bestsellerów tej chińskiej marki o brytyjskim rodowodzie FOT. JAP

Łączna moc maksymalna tego układu wynosi 197 KM. Sprint od zera do setki trwa 8,7 s. MG ZS w wersji benzynowej (1.5 L M55 115 KM) kosztuje 85,5 tys. zł w standardzie oraz 98,9 tys. zł za bogatszy wariant wyposażenia Excite. MG ZS Hybrid+ w odmianie standardowej został wyceniony w promocji na 96,4 tys. zł. Za wariant Excite trzeba zapłacić 105,3 tys. zł, a Exclusive – 114,2 tys. zł. Dla tych, którzy szukają mniejszego, typowo miejskiego auta, MG ma w ofercie model MG3 (w wersji benzynowej lub hybrydowej), którego cena zaczyna się od 73,5 tys. zł.

eprasa.pl 31386a225f

Wśród marek z Państwa Środka również na polskim rynku toczy się coraz bardziej zacięta rywalizacja. Tylko w październiku na polskich drogach pojawiło się 900 samochodów marki OMODA oraz 709 sztuk JAECOO. Łączny wynik to 1609 egzemplarzy. Od stycznia do końca października nad Wisłą sprzedano zaś łącznie 11 050 nowych pojazdów OMODA & JAECOO. To imponujący wynik, jeśli weźmie się pod uwagę to, że w październiku marka ta obchodziła pierwszą rocznicę działalności w Polsce.

Szczególną popularną cieszą się OMODA 9 Super Hybrid oraz JAECOO 7 Super Hybrid (tylko w październiku polskich drogach pojawiło 380 nowych egzemplarzy tego pierwszego i 373 sztuki drugiego modelu). Oba modele były już testowane przez redakcję „Do Rzeczy”. OMODA 9 Super Hybrid to mierzący 4,775 m długości hybrydowy SUV, który po zatankowaniu i naładowaniu akumulatora może przejechać bez konieczności tankowania czy doładowania aż 1100 km. Auto ma 537 KM mocy, 650 Nm maksymalnego momentu obrotowego i napęd na wszystkie koła. Od zera do setki model ten przyspiesza zaś zaledwie w 4,9 s. W kabinie jest jakby luksusowo, a na polskich konsumentach wrażenie robi też stosunkowo niska cena: 219,9 tys. zł.

JAECOO 7 Super Hybrid jest nieco mniejszą hybrydą (mierzy 4,5 m długości, 1,865 m szerokości i 1,671 m wysokości), w której główne skrzypce gra silnik 1.5 T-GDI. Moc auta to 204 KM (maksymalny moment obrotowy wynosi 215 Nm), a sprint od zera do setki trwa 8,5 s. Łączny zasięg tego modelu może wynieść nawet 1200 km. Niestety, model ten występuje wyłącznie z napędem na przednią oś. W tym przypadku można teoretycznie wybierać między wersją standardową za 153,9 tys. zł lub bogato doposażoną (z HUD-em, niezłym systemem audio z ośmioma głośnikami) za 163,9 tys. zł. Kwota dopłaty jest jednak na tyle niewielka, że z naszych rozmów z przedstawicielami marki wynika, że mniej więcej cztery piąte klientów decydują się kupić bogatszą wersję.

Z kolei JAECOO 7 bez napędu hybrydowego ma, podobnie jak swój brat bliźniak, 4,5 m długości, 1,865 m szerokości i 1,671 m wysokości. Auto nie tylko przypomina terenówki ze znaczkiem Land Rover, lecz także w wersji Offroad może dysponować napędem 4 × 4. Co prawda, pod maską mógłby kryć się mocniejszy silnik (147 KM generowane przez jednostkę 1.6 T-GDI to jednak trochę za mało), ale duże, dobrze wyglądające i całkiem przyzwoicie jeżdżące auto można kupić za 130,9 tys. zł (w wersji Urban z napędem tylko na przednie koła) i 148,9 tys. zł (zdecydowanie lepsza wersja Offroad).

Chińska marka nie zasypia gruszek w popiele i wprowadza na rynek nowe, mniejsze i tańsze modele: JAECOO 5, OMODA 5 i OMODA 5 Hybrid oraz wyłącznie elektryczny JAECOO E5. W ubiegłym tygodniu miałem okazję krótko testować je wszystkie w mocno zimowych warunkach. JAECOO 5 to – w uproszczeniu – po prostu mniejsze i tańsze JAECOO 7. Ten model ma 4,38 m długości. Jego zaletą jest jednak duża ilość miejsca nad głową i na nogi w drugim rzędzie siedzeń. Bagażnik ma już jednak tylko 480 l pojemności (choć po złożeniu tylnej kanapy da się go powiększyć do 1284 l). Auto napędza silnik 1.6 T-GDI o mocy 147 KM. A po starcie na rozpędzenie auta do 100 km/h trzeba poczekać 10,2 s. Cena tego modelu w wersji premium wynosi 124,9 tys. zł, a w wersji podstawowej 109,9 tys. zł. Dokładnie tyle samo trzeba zapłacić za najtańszą Omodę 5, również z silnikiem 1.6 T-GDI o mocy 147 KM (przyspieszenie od zera do 100 km/h trwa 10,1 s). OMODA 5 Hybrid jest droższa (w wersji podstawowej kosztuje 119,5 tys. zł, a w wersji premium 136,5 tys. zł), ale ma już 224 KM mocy (sercem napędu hybrydowego jest silnik 1.5 TGDI), łączny zasięg wynoszący 1000 km i przyspieszenie 0–100 km/h na poziomie 7,9 s.

Nowością nad Wisłą jest także elektryczny JAECOO E5. Auto za 139,9 tys. zł jest bardziej dynamiczne od swego spalinowego kuzynostwa. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 7,7 s. Moc maksymalna to 211 KM, a maksymalny moment obrotowy wynosi 288 Nm. Zasięg to teoretycznie 402 km, ale w praktyce w zimowych warunkach ta wartość oscyluje raczej w okolicach 300 km. Producent wyposażył auto w technologię szybkiego ładowania, która powinna pozwolić naładować baterię o pojemności 61 kWh od 30 do 80 proc. w niecałe pół godziny.

OFENSYWA CHERY

Marki Omoda i Jaecoo należą do chińskiego koncernu Chery. Ich sukces sprawił, że w polskich salonach – jako jednych z pierwszych w Europie – pojawiły się też modele pod marką Chery: Tiggo 4 HEV (z ceną od 95,9 tys. zł), Tiggo 7, Tiggo 7 PHEV, Tiggo 8, Tiggo 8 PHEV oraz Tiggo 9 PHEV. Z tej gamy przetestowaliśmy na razie tylko jeden model: Chery Tiggo 8 PHEV. To potężny, siedmiomiejscowy, muskularny SUV (mierzy 4,725 m długości, 1,86 m szerokości i 1,705 m wysokości), który w pełni zatankowany i naładowany potrafi przejechać bez konieczności zjeżdżania na stację 1100 km. Jego sercem jest 1,5-litrowy turbodoładowany silnik T-GDI wspomagany jednostką elektryczną. Łączna moc hybrydowego układu napędowego wynosi 279 KM. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje niecałe 9 s.

Auto jest oferowane w dwóch wersjach wyposażenia. Za wariant Comfort trzeba zapłacić 156,9 tys. zł, a za wersję Prestige (z dachem panoramicznym, skórzaną tapicerką, HUD-em oraz podgrzewanymi siedzeniami z przodu i z tyłu) 166,9 tys. zł.

Już wkrótce w rubryce motoryzacyjnej „Do Rzeczy” planujemy zaś test Tiggo 7 – mniejszego SUV-a, który sprzedawany jest z silnikiem 1.6 T-GDI o mocy 147 KM, a którego ceny zaczynają się w promocji od 116,9 tys. zł (za wersję Essential) lub od 154,9 zł (za wersję w wariancie z napędem PHEV).

W 2026 r. chińskich marek nad Wisłą na pewno przybędzie. Na łamach „Do Rzeczy” będziemy zatem przybliżać kolejne modele.

Chery Tiggo 8 PHEV FOT. JAP

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Włoska pizzeria a polska piceria

Konstytucja Polski w kluczowej części, dotyczącej rozdziału i współdziałania władz wykonawczych i ustawodawczej, została skonstruowana w tak kuriozalny i przez to szkodliwy dla naszego państwa sposób, że dziś pod jej rządami nie da się już uprawiać żadnej polityki oprócz polityki picu, która tym różni się od polityki, czym polska piceria od włoskiej pizzerii.

A polega ona, z grubsza, na tym, że oba ośrodki władzy – prezydenta i premiera – jeśli zostaną opanowane przez ludzi ze zwalczających się partii, to mogą zajmować się właściwie już tylko udawaniem, że rządzą. Na użytek kibicujących im plemion, składających się głównie z ludzi, dla których ostatnią rzeczą, która mogłaby im przyjść do głowy, jest pytanie, czy cała ta praca ich wybrańców ma jakikolwiek sens, czyli czy istnieje choć cień szansy, by zakończyła się wejściem proponowanych przez nich zmian w życie.

Z jednej więc strony – znacząca część obozu premiera Tuska, skupiona wokół Ministerstwa Sprawiedliwości, traci dziś np. mnóstwo czasu na klecenie rzekomo wielkiej reformy, mającej rzekomo przywrócić rzekomo sponiewieraną przez poprzedni rząd praworządność. Zbierają się liczne gremia prawników, które opracowują projekt ustawy, organizuje się mnóstwo konferencji, próbując przekonać opinię publiczną do swojej wersji zmian itd. A wszystko to w sytuacji, gdy świetnie wiadomo, że prezydent Nawrocki takiej ustawy – kwestionującej status części sędziów – nie podpisze i dlatego za jego rządów, czyli przez co najmniej pięć lat, po prostu nie wejdzie ona w życie. Więc rychtowanie jej jest zwykłym picowaniem wyborców, a przy tym stratą ich czasu i pieniędzy.

Z drugiej strony – prezydent Nawrocki od czasu do czasu traci czas na uroczyste podpisywanie prezydenckich projektów (?!) ustaw, a przedtem jego współpracownicy – na ich napisanie. To o tyle kuriozalne, że ustawy te w dającej się przewidzieć przyszłości, czyli co najmniej pod rządami tej koalicji, też nie wejdą w życie. Nie wspominając o tym, że po latach rozdawniczej bonanzy tandemu Morawiecki-Tusk w kasie państwa nie ma złamanego grosza na ich realizację. Właśnie w ramach takiego politycznego picu w sierpniu Nawrocki uroczyście podpisał prezydencki projekt ustawy o zerowym PIT dla rodzin z dwojgiem dzieci i więcej, a niedawno – o ustawowo gwarantowanych, czyli rzecz jasna – wyższych od obecnych, podwyżkach emerytur.

Ale przecież jest jeszcze gorzej, bo wskutek klinczu prezydenta i premiera nie wiadomo także, jaką właściwie politykę prowadzi dziś Polska w całej masie bardzo ważnych dla nas spraw – czasami kluczowych, a nawet gardłowych, w tym np. w sprawie wojny Rosji z Ukrainą. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

PiS idzie jak burza!

PiS ma na swoim koncie nie lada osiągnięcie: według Marcina Palade po raz pierwszy od bardzo dawna średnia sondażowa za listopad pokazała notowania tej partii poniżej 30 proc. Potwierdzają to kolejne, ukazujące się w samej końcówce miesiąca sondaże. Zarówno w badaniu OGB, jak i United Surveys ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego zjechało wyraźnie poniżej symbolicznej granicy.

Przyczyny, dla których partia Brauna rośnie w siłę, podczas gdy PiS systematycznie traci, są jasne

Niedawno jeden z portali cytował anonimowego oczywiście polityka tej partii, który w niejakiej desperacji komentował: „Coś się dzieje złego, coś powoduje, że mamy kryzys!". Ja mogę nawet powiedzieć, co to takiego, choć będę się powtarzał, bo piszę to od wyborów w 2023 r. Najkrócej mówiąc – chodzi o przyjęcie po ośmiu latach rządów postawy „byliśmy świetni i nie mamy sobie nic do zarzucenia". Postawa jest oczywiście konsekwencją wytycznych pana prezesa. Natomiast notowany ostatnio wyraźny zjazd sondażowy wiąże się prawdopodobnie z dodaniem do powyższej frazy dalszego ciągu: „Jeśli znowu dacie nam władzę, to będziemy tacy sami, jak byliśmy, tylko bardziej!".

Pomijając wewnętrzne awantury wokół spotkania programowego „Myśląc Polska 2.0", każdy zainteresowany mógł sprawdzić, jaki skład miały zespoły programowe. I tak – w zespole medialnym brylowała Joanna Lichocka, która odgrywała rolę cenzora mediów za rządów PiS i dbała, aby nie pojawiały się w mediach państwowych nieprawomyślne opinie. W zespole do spraw zdrowia pojawił się jeden z największych covidowych zamordystów, Czesław Hoc. O gospodarce mają decydować Michał Moskal, autor „piątki dla zwierząt", i Jacek Sasin, za którego sprawą niemal zorganizowano wybory kopertowe, które mogły się skończyć podważeniem legalności wyboru prezydenta. Można by długo wymieniać.

Przyczyny, dla których partia Brauna rośnie w siłę, a Konfederacja stabilnie trwa jako trzecia siła, podczas gdy PiS systematycznie traci, są jasne, oczywiste i na wyciągnięcie ręki. Ciekawe, ile czasu zajmie kierownictwu partii ich zrozumienie. Choć nawet i z tego może nic nie wyniknąć. Poza wynikiem wyborczym, rzecz jasna. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

Krezusi i bankruci

Łukasz Majchrzyk

Wielu sportowców świetnie radzi sobie też w biznesie. Inwestują i pomnażają majątek, a jako przestrogę mogą traktować losy starszych kolegów, którzy po zejściu ze sceny ponieśli porażki

Michael Jordan podczas premiery modelu butów sportowych Air Jordan 2009 w The Event Space w Nowym Jorku, 8 stycznia 2009 r. FOT. KELLY KLINE/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

Dzisiejszy sport jest przeładowany pieniędzmi. Kontrakty na poziomie miliona dolarów rocznie już na nikim nie robią wrażenia. Szejkowie znad Zatoki Perskiej obrzucają petrodolarami kolejne dyscypliny: po piłce nożnej i Formule 1 przyszedł czas na boks.

Miliardy dolarów w turnieje tenisowe, golfowe, mistrzostwa świata różnych dyscyplin i rozgrywki ligowe pompują też globalne marki, które chcą się przykleić do największych wydarzeń i zbudować wokół siebie pozytywne emocje.

Filmiki z pięknymi bramkami strzelonymi przez Kyliana Mbappé, gdzie w tle pojawia się logo, są warte naprawdę sporo. Widzą je miliony ludzi na całym świecie, a efekt jeszcze wzmacniają media społecznościowe, gdzie takie filmiki są podawane dalej i wywołują pozytywne reakcje kolejnych milionów widzów.

Do wyścigu o ten tort reklamowy stają też Chińczycy gotowi płacić gigantyczne sumy pieniędzy. Na niedawnych koszykarskich mistrzostwach Europy, których część odbywała się w katowickim Spodku, doskonale widoczne były reklamy chińskich marek: Ganten, TCL i Yili.

O prawa do pokazywania meczów, turniejów, najważniejszych pojedynków bokserskich albo igrzysk olimpijskich walczą też telewizje i, coraz częściej, serwisy streamingowe. Kiedyś było to nie do pomyślenia, a dzisiaj można w telewizji obejrzeć mecze polskiej drugiej ligi piłkarskiej (trzeci poziom rozgrywkowy). Ostatnie igrzyska odbywające się w Paryżu można było oglądać w Polsce także na platformie Max, a według dostępnych informacji za piłkarskie klubowe mistrzostwa świata platforma DAZN zapłaciła miliard dolarów.

MĄDRE INWESTOWANIE LUB TAŃCE, HULANKI, SWAWOLA

Dzięki temu wyścigowi do kieszeni sportowców trafia coraz więcej pieniędzy i dzisiaj nawet dość przeciętni zawodnicy, jeśli tylko uprawiają złotodajną dyscyplinę, zarabiają bardzo przyzwoite kwoty. W przypadku piłkarzy, jeśli w Europie nie ma chętnych na ich usługi, zawsze można wyjechać do Arabii Saudyjskiej i jeszcze dorobić.

Ci najlepsi zawodnicy, już dzięki samym kontraktom, stają się multimilionerami, a jeszcze mogą zwiększyć przychody, podpisując kontrakty reklamowe. Wzrost wartości kontraktów w sporcie w ostatnich 20–30 latach jest niebywały. Michael Jordan przez całą swoją karierę „podniósł z parkietu" ok. 90 mln dol., a był najlepszym koszykarzem w historii, który odmienił całą dyscyplinę. Dzisiaj takie pieniądze czołowi zawodnicy NBA zarabiają w trzy lata.

Sportowcy mają zatem co wydawać i stoją przed wyborem jednej z dwóch dróg: mądrego inwestowania albo tańców, hulanek i swawoli, które często kończą się bankructwem. Niestety, na tę drugą ścieżkę wchodzi wielu sportowców, ale w sumie nie ma się czemu dziwić. To są przecież młodzi ludzie, często bez doświadczenia życiowego i wiedzy ekonomicznej, którzy nagle dostali do rąk olbrzymie pieniądze. Wokół nich pojawiają się różni nowi „przyjaciele" i doradcy, a kobiety są na wyciągnięcie ręki. I tak wielu z nich trwoni pieniądze na drogie samochody, imprezy, jachty, samoloty i domy, których nie ma za co utrzymać, kiedy kończą karierę. Często mają też nieślubne dzieci (nawet niejedno), którym płacą alimenty. Pieniądze topnieją zatrważająco szybko, a nowych przychodów

eprasa.pl 31386a225f

brak. Bankrutami zostali słynny niemiecki tenisista Boris Becker, koszykarze NBA Shawn Kemp i Allen Iverson czy piłkarz John Arne Riise, żeby wymienić tylko tych z samego szczytu, którzy zdołali przehulać dziesiątki milionów dolarów.

Na szczęście jest też wielu takich, którzy mądrze inwestują zarobione miliony i nie tylko ich nie trwonią, lecz także je pomnażają, rozwijając różne biznesy. Właściwie każdy sportowiec, który poważnie myśli o życiu, nie trzyma pieniędzy w skarpecie, ale puszcza je dalej w ruch.

Często gwiazdy stadionów angażują się w branże, które dobrze znają i z którymi są kojarzone. Właśnie Jordan jest tutaj jednym z najlepszych przykładów, jak dojść do fortuny liczonej w miliardach dolarów. Można się uśmiechnąć i powiedzieć, że na początku działo się to wbrew niemu, bo jako młody chłopak uparł się na podpisanie kontraktu z Adidasem, podczas gdy to Nike miało na niego pomysł. Ostatecznie dał się jednak przekonać i tak powstały pierwsze słynne buty Nike Jordan.

Z czasem powstała niezależna marka Air Jordan, chociaż powiązana z Nike, która stała się podstawą finansowego imperium Jordana, ale były koszykarz Chicago Bulls sam dokłada do tego kolejne biznesy i inwestuje naprawdę szeroko. Jest właścicielem restauracji, współwłaścicielem jednej z marek tequili, firmy z branży bukmacherskiej Draft Kings oraz firmy Vanilla z branży fintech. Można też powiedzieć, że z opóźnieniem, ale zebrał owoce boomu na koszykówkę, który pomógł rozhuśtać.

W 2010 r. kupił udziały w Charlotte Hornets za 275 mln dol., a kilkanaście lat później sprzedał je za 3 mld dol. Wartość drużyny poszybowała, chociaż zespół z Charlotte nie zdobył żadnego trofeum – po prostu dzięki kontraktom telewizyjnym niebotycznie zwiększyły się przychody NBA, a hossa na sport dalej trwa.

Właśnie to postanowił wykorzystać LeBron James, który ściga się z Jordanem o miano najlepszego koszykarza w historii i w wieku 40 lat przygotowuje się do kolejnego sezonu NBA. Sport biznesowo ma się dobrze, przynosi olbrzymie pieniądze, więc razem ze swoim partnerem biznesowym Maverickiem Carterem kupił udziały w Fenway Group, a przez to stał się współwłaścicielem kilku znanych drużyn: baseballowego Red Sox, piłkarskiego Liverpoolu i stajni wyścigowej Roush Fenway Racing.

Robert Lewandowski od dawna ma już w Warszawie restaurację, jest współwłaścicielem agencji marketingowej, zainwestował w start-up. A to jest tylko część jego przedsięwzięć

Trzeba przyznać, że jego inwestowanie jest spójne i James wykorzystuje w biznesie także swój wizerunek jednego z najpotężniejszych atletów. W sieci można znaleźć filmiki, na których widać, jak ćwiczy w domu. Zdrowy tryb życia i profesjonalizm? Na pewno też, ale równie ważne jest to, że od 2021 r. koszykarz Los Angeles Lakers jest współwłaścicielem firmy Tonal, produkującej sprzęt sportowy do ćwiczeń w domu. Chcesz być jak LeBron James, to kup od niego sztangę i hantle – proste i skuteczne.

To nie jest tylko amerykańska specjalność. Tak robią Szwajcar Roger Federer (m.in. szwajcarska firma produkująca odzież sportową On i Uniqlo), Portugalczyk Cristiano Ronaldo (Bioniq, Chrono24, FanCraze) czy Francuz Mathieu Flamini. Przedsięwzięcie tego ostatniego jest chyba najciekawsze, bo zupełnie nieoczywiste i dalekie od sportu. Były piłkarz Arsenalu Londyn zainwestował w spółkę biochemiczną fGF Biochemicals, która jako jedna z pierwszych na świecie zaczęła produkować kwas lewulinowy, składnik biopaliw i kosmetyków. Flamini ma już dzięki temu status miliardera, a jest dopiero na początku drogi, liczy sobie 41 lat.

POLSCY PIŁKARZE I IGA ŚWIĄTEK

Dobrymi biznesmenami są też nasi sportowcy. Robert Lewandowski jest przykładem świetnie zaplanowanej kariery nie tylko sportowej, lecz także biznesowej. Niedawno, podczas spotkania z dziećmi, dostał pytanie o to, co będzie robił po zakończeniu gry w piłkę, i chociaż uchylił się od jednoznacznej odpowiedzi, to można założyć, że będzie działał w biznesie, i to na różnych polach.

Najlepszy polski piłkarz od dawna ma już w Warszawie restaurację, jest współwłaścicielem agencji marketingowej Stor9, zainwestował w start-up LESS oraz polską spółkę Hymon z branży odnawialnych źródeł energii, ma udziały w spółce produkującej biopreparaty dla rolników, a to jest tylko część jego przedsięwzięć.

Ostatnio głośno zrobiło się o zaangażowaniu Lewandowskiego w branżę deweloperską. Piłkarz inwestuje w budowę osiedla w podwarszawskiej Lesznowoli. Jedna z jego spółek kupiła też działkę przy Chłodnej w stolicy i chce tam wybudować wieżowce, przy okazji nadając tej jednej z najbardziej znanych warszawskich ulic nowy charakter. Budową domów zajmują się też Arkadiusz Milik czy Grzegorz Krychowiak i nie ma się co dziwić, że wyczuli w tej branży potencjał, skoro ceny nieruchomości w Polsce w ostatnich latach ciągle szły do góry.

Krychowiak jest zresztą znakomitym przykładem tego, jak swoją karierę wykorzystać do budowania wizerunku i płynnego wejścia w biznes. Poważne pieniądze zaczął zarabiać, mając ponad 20 lat, a dzisiaj milionerami potrafią być już nastolatkowie. Teraz ma kilka spółek, dzięki którym wspólnie z braćmi angażuje się w różne przedsięwzięcia, ale chyba najbardziej jest znany jako właściciel dwóch butików Balamonte, gdzie m.in. można sobie uszyć garnitur na miarę. Były piłkarz m.in. Sevilli FC i Paris Saint-Germain już w trakcie kariery piłkarskiej ubierał się starannie, stworzył poza boiskiem wizerunek dżentelmena i osobiście promuje swoje kolekcje.

A najlepsza polska tenisistka? Iga Świątek kiedyś przyznała, że miała już propozycje inwestowania, ale na razie się na to nie zdecydowała. Stwierdziła, że jeszcze za mało wie i musi się dokształcić, a na razie koncentruje się na „zbieraniu kapitału" (czytaj: wygrywaniu turniejów). Na inwestycje przyjdzie czas, jej zdaniem, w wieku 27–30 lat. To raczej nie jest typ osoby, która przepuściłaby oszczędności na błahostki, więc można się spodziewać, że do tego czasu będzie miała spore środki na wejście w biznes. Jeśli pójdzie jej tak dobrze i skutecznie jak na korcie, to niedługo może zostać miliarderką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31386a225f

CUPRA TAVASCAN ENDURANCE

FOT. JAP

To najnowszy model elektryczny w gamie hiszpańskiej marki. Wprawdzie z elektrykami z koncernu Volkswagena dzieli wspólną platformę MEB, to wśród niemieckich konkurentów wyróżnia się nie tylko odważną, muskularną stylistyką, lecz także tym, jak przyjemnie się nim jeździ. W mojej ocenie Cupra Tavascan to obecnie jeden z najlepszych elektrycznych crossoverów coupé w swojej klasie. I nie zmienia tego fakt, że to jednocześnie pierwszy samochód tej hiszpańskiej marki, który produkowany jest w... Chinach.

Cupra Tavascan Endurance ma napęd na tylną oś i moc 286 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi 545 Nm. Hiszpański crossover (lub jak kto woli A-SUV) o długości 464,4 cm, szerokości 186,1 cm, wysokości 159,7 cm i wadze ponad 2200 kg nie tylko wygląda na auto ze sportowym pazurem, lecz także potrafi dynamicznie jeździć. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 6,8 s. Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h.

Litowo-jonowy akumulator ma pojemność brutto 82 kWh. Według producenta zasięg Tavascana wynosi 568 km. Podczas naszego testu w zimowych warunkach (miasto, drogi krajowe, autostrada z prędkością 120–130 km/h) zasięg wynosił ok. 460 km. To zasługa m.in. aerodynamicznej sylwetki (dzięki której współczynnik oporu aerodynamicznego wynosi tylko 0,26).

Adaptacyjne zawieszenie pozwala kierowcy wybrać jeden z kilku trybów jazdy, w tym Comfort, Performance, Cupra lub Individual), które różnią się m.in. sztywnością i reakcją na naciśnięcie gazu. Banalnie prosto można też zmieniać poziom rekuperacji energii – do jego zmniejszania lub zwiększania służą po prostu łopatki przy kierownicy. Samo „spalanie" zależy oczywiście od stylu jazdy, ale zejście poniżej 18 kWh/100 km nie jest wielkim problemem. Ładowanie od 10 do 80 proc. trwa zaś ok. pół godziny.

W kabinie wzrok przyciągają charakterystyczne dla hiszpańskiej marki miedziane wstawki oraz oryginalnie zaprojektowany tunel środkowy („wyrzeźbiona" szkieletowa konsola, tzw. Spine, co prawda, zmniejsza aspekty praktyczne, ale wizualnie naprawdę robi robotę). Na pochwałę zasługują też 15-calowy wyświetlacz systemu multimedialnego oraz bezprzewodowa obsługa Apple CarPlay czy AndroidAuto. Kierowca ma do dyspozycji zestaw cyfrowych zegarów, a także opcjonalny wyświetlacz przezierny (tzw. HUD). Z kolei zganić konstruktorów Cupry należy za złe, mało wygodne i źle rozmieszczone przyciski na kierownicy. Użyte do wykończenia wnętrza plastiki są miękkie i przyjemne w dotyku. Fotele przednie są wygodne. Pasażer o wzroście ok. 180 cm komfortowo będzie podróżował również na tylnej kanapie.

Pojemność bagażnika wynosi 540 l (w tym modelu z przodu nie ma jednak nawet malutkiego frunka na kable).

Cena podstawowa testowanego modelu wynosi 238,8 tys. zł. Po dopłacie 5 tys. zł do lakieru (niestety, wygląda na tyle dobrze, że jest wart dopłaty) i dokupieniu dwóch pakietów (Adrenaline i zimowego) końcowy rachunek za opisywaną wersję Cupry Tavascan rośnie do 280 tys. zł.

ŁADOWARKA ANKER PRIME 250W

Eleganckie wzornictwo, możliwość ładowania sześciu urządzeń jednocześnie, aż 250 W całkowitej mocy wyjściowej, jedno gniazdo USB-C o mocy 140 W oraz przydatny 2,26-calowy kolorowy wyświetlacz LCD – to największe zalety inteligentnej ładowarki chińskiej marki Anker, która znacząco ułatwia zrobienie porządku na biurku.

Pierwszą zaletą jest design. Biurkowa ładowarka o srebrnej obudowie jest zgrabna (jej wymiary to 106,2 × 40,2 × 92,5 mm) i elegancka. Z przodu znajdują się cztery porty USB-C, a z boku dwa starsze i większe USB-A. Za pomocą Anker Prime 250W można zatem jednocześnie ładować np. laptopa, czytnik e-booków, smartfona, smartwatcha, tablet oraz słuchawki. Pierwszy z portów USB-C może mieć moc nawet 140 W, a kolejne 100 W. Z kolei każde ze złączy USB-A może dostarczać maksymalnie 22,5 W. Kombinacji jest wiele – użytkownika ogranicza tylko maksymalna całkowita moc wyjściowa (250 W). System PowerIQ 4.0 inteligentnie dobiera optymalne parametry ładowania podłączonych urządzeń.

Moc ładowania z danego portu można szybko i łatwo wybrać samodzielnie za pomocą srebrnego pokrętła umieszczonego z prawej strony urządzenia. Aktualną moc ładowania widać na wyświetlaczu LCD o przekątnej 6 cm, a także w aplikacji (aby było to możliwe, trzeba najpierw podłączyć ładowarkę do domowej sieci wi-fi). Za pomocą tej ostatniej można też ustawić tryb zasilania AI (wówczas ładowarka sama identyfikuje podłączony sprzęt i automatycznie przydziela odpowiednią moc), tryb portu priorytetowego (można ustawić maksymalnie dwa takie porty), tryb z dwoma laptopami (wówczas są one zasilane jako pierwsze) lub tryb niskiego prądu (który umożliwia bezpieczne ładowanie urządzeń o niskim poborze mocy). Aplikacja pozwala nie tylko zdalnie kontrolować poszczególne porty, lecz także ustawić harmonogram zasilania, aby dany sprzęt był w pełni naładowany o określonej porze.

Ciekawym dodatkiem jest duży wybór możliwych do ustawienia motywów zegara, w tym klasyczny, futurystyczny, galaktyczny, artystyczny etc.

Wady? Ładowarka potrafi zrobić się dość ciepła. Brakuje funkcji alarmu. Przydałaby się też polska wersja językowa. To jednak drobiazgi. Prawdziwy minus jest jeden: to wysoka cena. Zazwyczaj producent wycenia bowiem tę ładowarkę na 699 zł. W promocji Anker Prime 250W można jednak kupić za 469 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 31386a225f

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 31386a225f

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Obrona Kargowej

Herb Kargowej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wiadomość o podpisaniu traktatu rozbiorowego pomiędzy Rosją a Prusami 23 stycznia 1793 r. była przykrą niespodzianką dla wykluczonych z tego porozumienia dyplomatów austriackich. I jeszcze większym zaskoczeniem dla sprawującej rządy konfederacji targowickiej. Jej przywódcy zostali wręcz porażeni, kiedy 20 stycznia na posiedzeniu Generalności w Grodnie wręczono im notę pruską o wkroczeniu wojsk Fryderyka Wilhelma do Wielkopolski. Do tej pory wierzyli bowiem jak koronowani głupcy, że imperatorowa Katarzyna po przywróceniu praworządności w Rzeczypospolitej odda im władzę i zadowoli się protektoratem nad krajem.

Reakcja targowiczan była tak histeryczna, że mogłaby stać się podstawą pracy z dziedziny zbiorowej psychozy. Najgłupszy z nich, Jan Suchorzewski, łkał i krzyczał, żeby siadać na koń, a potem bić i wypędzać żołnierzy Fryderyka Wilhelma. W te pędy wysłano list do imperatorowej, natomiast kanclerzowi Małachowskiemu polecono doręczyć pruskiemu ambasadorowi notę, w której informowano, że podane przez jego króla powody interwencji (rzekoma działalność jakobinów w Wielkopolsce, incydenty graniczne i ogłoszenie Konstytucji 3 maja) nie mają miejsca lub zostały zlikwidowane. Wierzono naiwnie, że „wspaniały aliant pruski nie tylko naruszenia własności Rzeczypospolitej nie uczyni, ale też gdy uwiadomionym zostanie, że spokojność publiczna doskonale utrzymaną być może bez wejścia wojsk jego [...], cofnąć raczy rozkazy swoje do tego wojska wydane”.

RYS. OBA

Nic takiego nie nastąpiło i 24 stycznia korpus gen. Möllendorfa przekroczył granicę polską, ciągnąc pięcioma kolumnami ze Śląska, z Nowej Marchii i Prus. Silny oddział pułkownika Schwerina podszedł pod Toruń, rozbił bramę i zajął miasto, kwaterując żołnierzy po domach. Chociaż targowiczanie zamierzali wyprawić wojsko na Prusaków, to ich rozkazy zostały zablokowane przez nowego posła carskiego w Warszawie – Osipa Igelströma.

Honor żołnierza polskiego, który nie pozwolił, aby Prusacy zajęli Wielkopolskę bez jednego wystrzału, ocalił kpt. Kazimierz Więckowski, dowódca oddziału piechoty stacjonującego w Kargowej, miasteczku leżącym nad granicą, na południowy zachód od Grodziska Wielkopolskiego.

27 stycznia rano do Kargowej wkroczył batalion pruski liczący ok. 600 ludzi, dowodzony przez mjr. von Milkau, który wysłał oficera z dwoma żołnierzami z wezwaniem do poddania miasta i wydania odwachu. Jednak polski dowódca, wspomniany kpt. Więckowski, odrzucił żądanie. Prusacy wysłali zatem adiutanta, który zagroził zastosowaniem siły. Wrócił z odpowiedzią odmowną. Wówczas wkroczyli do miasteczka i bijąc w bębny, otoczyli ratusz, obsadzony przez zaledwie 60 żołnierzy polskich. Więckowski jednak nakazał przygotować broń i Polacy gotowi byli do obrony. Wówczas von Milkau jeszcze raz udał się – tym razem osobiście, na koniu – na spotkanie z dowódcą polskim, próbując nakłonić go do kapitulacji. Wówczas doszło do utarczki. Jak podaje autor niemieckiej relacji August Krumham, Więckowski chciał chwycić konia Prusaka za uzdę. Wówczas Milkau ciął go szablą w rękę, chorąży Kalisch zadał mu dwa cięcia w kark, a jeden z żołnierzy przebił bagnetem. Ranny Polak padł, a jego żołnierze otworzyli ogień do Prusaków z okien ratusza i wieży. Walka trwała ok. godziny, po czym Milkau nakazał części żołnierzy strzelać do okien, z pozostałych zaś sformował grupę, która sforsowała drzwi do ratusza i odwachu, po czym wyparła Polaków na plac. Tutaj rozpoczęła się masakra; żołnierze Więckowskiego zostali albo zabici od kul i bagnetów, albo wzięci do niewoli. Prusacy obrabowali ich z karabinów, szabel i tornistrów, zdarli mundury z trzech wziętych do niewoli oficerów.

Błotnisty rynek w Kargowej wokół ratusza pełen był rannych i umierających, których napastnicy dobijali bagnetami. Jednego z Polaków zrzucono ze szczytu wieży. Rozlokowawszy się w miasteczku i zrabowawszy aptekę w ratuszu, żołdacy pruscy sprzedawali łupy. Autor relacji podaje, że zakupił trzy strzelby, dwie szable i dwie polskie rogatywki, które powiesił w kwaterze. Jeńców, którzy pozostali przy życiu, zaprowadzono najpierw do Cylichowa, a potem do Krosna Odrzańskiego. Przez długie lata uważano, że kpt. Więckowski poległ w tej potyczce, jednak inne źródła historyczne podają, że przeżył, brał udział potem w powstaniu kościuszkowskim, otrzymał awans i zmarł w roku 1820.

Ratusz w Kargowej można oglądać do dziś. Wzniesiony w 1745 r. został uszkodzony w wyniku pożaru i przebudowany w 1856. Do roku 1830 nosił jeszcze ślady po kulach świadczących o jedynej i desperackiej próbie obrony przed pruską agresją. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Świąteczne śledzie

Adwent to początek nowego roku liturgicznego i czas przygotowań do najpiękniejszych świąt Bożego Narodzenia. W czasie Adwentu warto wypróbowywać przepisy i nowe inspiracje tak, aby móc nimi wzbogacić wigilijny stół. Na polskim stole nie może zabraknąć śledzia. Jest obowiązkowy w każdym regionie naszego kraju. Ryba to symbol pierwszych chrześcijan, no i można ją jeść w postne dni, a takim jest wciąż w wielu domach Wigilia. Ryba także wpisywała się w łączenie tego wieczoru różnych przestrzeni – na stole więc powinno znaleźć się coś z pola – pszenica, lasu – grzyby, z wody – ryby właśnie i z pasieki – miód. W Polsce dzięki połowom na Bałtyku mieliśmy już od średniowiecza dostęp do śledzi. Były stosunkowo tanie, dostarczały białka i kwasów nienasyconych i łatwo można je było przechowywać. Dobra wiadomość – są małokaloryczne: 100 g śledzia bez dodatków to 160 kcal. Do różnych potraw używano różnych śledzi – były śledzie pocztowe (płynące jako zapowiedź, czyli forpoczta ławicy), mleczaki (zawierające tzw. mleczko), uliki (młode, tłuste śledzie) czy dwulatki nadające się najlepiej do wędzenia.

FOT. ADOBE STOCK

O smaku potrawy decyduje jakość ryby – kupujmy je zatem w sprawdzonym miejscu. Najlepiej kupować śledzie z beczki i samemu patrzeć na poszczególne okazy – zwracajmy uwagę na kolor i zapach solanki, natomiast mięso śledzia powinno być jasne, jędrne i tłuste. Potrawy ze śledziem możemy przygotować dwa–trzy dni przed Wigilią, wtedy śledź przejdzie smakiem przypraw i będzie idealny. Śledzie przed przygotowaniem należy namoczyć w zimnej wodzie lub mleku, tak aby pozbyć się nadmiaru soli. W naszym domu jadało się śledzie w sosie śmietanowym z jabłkiem i cebulką, czyli po krakowsku, oraz tradycyjnie w oleju z cebulką. Więcej wariacji nie było, bo być może nasza mama ich nie znała. Dziś mamy dostęp do wielu źródeł i szukamy nowych przepisów, więc w tym roku zrobimy śledzie w marynacie z cebuli i przecieru pomidorowego, czyli śledzie po kaszubsku w wersji z rodzynkami z lekko winnym aromatem.

Śledzie po kaszubsku:

• 6 płatów śledziowych wcześniej namoczonych ok. kilku godzin, osuszonych, pokrojonych na 2-, 3-centymetrowe kawałki • 3–4 cebule, najlepiej cukrowe • garść rodzynek • 1/3 szklanki wina czerwonego • 1 łyżka miodu lub cukru • 4 łyżki koncentratu pomidorowego • 1 łyżka ostrego ketchupu • sól do smaku • pieprz, ziele angielskie (kilka ziaren), liść laurowy (kilka listków), 1 łyżeczka gorczycy • 1/3 szklanki oliwy do smażenia

Rodzynki zalewamy winem i namaczamy na ok. 1 godz. Cebule kroimy w piórka, podsmażamy na patelni z olejem, dodajemy liść laurowy, ziele angielskie, przyprawy, podsmażamy kilkanaście minut, dodajemy koncentrat, ketchup, rodzynki, sól na koniec do smaku. Wszystko razem dusimy. Odstawiamy, pozostawiamy do przestudzenia. Pokrojone śledzie przekładamy do dużego słoika i warstwowo układamy z marynatą. Pozostawiamy na dwa–trzy dni, przed podaniem dekorujemy świeżą natką. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Smutny felieton

Starsza pani, z dawnego kręgu znajomych rodziców, w przewidywaniu nadchodzących zdarzeń (jak się wkrótce okazało, słusznym) postanowiła ułatwić życie spadkobiercom. Nie było do dzielenia wiele – bardziej pamiątki rodzinne niż kapitał. Na tych drobnych domowych ruchomościach starsza pani poprzyklejała karteczki z imionami wnuków. Co ma być dla kogo.

Jednak będąc zmiennego charakteru (a i z zachowaniem wnucząt różnie bywało), w bezsenne noce przyszła spadkodawczyni wstawała i zmieniała miejsce karteczek. Szafa biedermeier zmieniała trzykrotnie właściciela, chińska waza przechodziła z rąk do rąk, komplet foteli simmlerowskich należał najpierw do najmłodszej wnuczki, potem przeszedł do średniego wnuka, żeby wreszcie wrócić do dziewczynki.

Stan zdrowia starszej pani szybko się pogarszał, przestała być samodzielna, a ponieważ wszyscy młodzi pracowali, postanowiono oddać babcię do domu opieki. Zanim wybrano miejsce, przedstawiciele rodziny odbyli wycieczki po kilku prywatnych zakładach opiekuńczych. Reklamowały się jak wczasy na Zanzibarze: „Nasz zespół to lekarze, pielęgniarki, fizjoterapeuci, terapeuci zajęciowi, psycholog i opiekunowie medyczni, którzy każdego dnia wkładają całe serce w to, co robią. Od lekarza rehabilitacji, przez neurologa, po serdeczną opiekunkę – wszyscy pracują razem, by zapewnić troskę na najwyższym poziomie".

Rzeczywistość niezupełnie pasowała do tych opisów. Recepcja w miarę elegancka, personel przemykający po korytarzach. Ale w salach zamiast radosnych staruszków wcinających dietetyczne dania – leżący na łóżkach, kiwający się w fotelach staruszkowie w piżamach, wgapieni w ekran non stop działającego telewizora, omiatający obojętnym wzrokiem przybyszy. Ci lustrowali przestrzeń od progu, bo zabrakło im odwagi, żeby do tego ponurego przybytku wejść dalej. No i ten wszechobecny, nieusuwalny zapach: mieszanka środków dezynfekcyjnych, moczu i starości.

Sprawy karteczek przestały nagle być ważne. Wnukowie skrzyknęli się i załatwili opiekę dla babci. Młoda Ukrainka zgodziła się z nią zamieszkać. Starszą panią nękały kłopoty zdrowotne, ale głowa działała całkiem sprawnie, a i na krótki spacer dawało się ją namówić. Najmłodsza wnuczka, ta od foteli simmlerowskich, wpadała codziennie. Po roku stan starszej pani gwałtownie się pogorszył. Po przeziębieniu wywiązało się zapalenie płuc. Antybiotyk nie pomógł, trzeba było chorą zabrać do szpitala. Stamtąd już nie wróciła.

Po pogrzebie rodzina zebrała się w mieszkaniu babci, które wyglądało tak samo jak 50 lat temu. Karteczkami na meblach nikt się nie interesował. Młodzi nie lubią antyków. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

PIECZEŃ RZYMSKA

Czas apokalipsy

PIOTR KOWALCZUK

Centrum Mediolanu, stolicy włoskich finansów, mody i futbolu, które nigdy nie śpi, a biesiaduje i świętuje, przepoczwarzyło się w teren łowiecki. Zwierzyną łowną są bywalcy i mieszkańcy, a myśliwymi młodociane gangi włosko-arabskie, tzw. maranza (zbitka „Maroko" i „zanza" – w slangu „złodziej"). Od początku roku za kratki za napady, pobicia, kradzieże i gwałty trafiło ponad 800 młodzieńców. 70 proc. pochodzi z Afryki Północnej, a 20 proc. to nieletni.

Niedawno pięciu chłopców z Monzy (17–18 lat) na gościnnych występach w Mediolanie zaatakowało nożem 22-letniego studenta. Zabrali mu 50 euro. Nawet jeśli przeżyje, to będzie kaleką do końca życia. Sprawców schwytano. Policja nagrała rozmowę młodych bandytów, gdy czekali na przesłuchanie w kwesturze. Oto fragmenty: „Miejmy nadzieję, że umrze i nie zdąży nic powiedzieć". „Jak trzeba, to pójdę do szpitala i przetnę rurki". „Dobrze mu przyłożyłem, co?". „Trzeba zmiękczyć sędziów. Pójdźmy do szpitala, pokajajmy się, powiedzmy, że nam przykro, choć mnie to w ogóle nie rusza". „A jak nam wytoczą proces, to najwyżej wyjedziemy za granicę".

Co porażające, jeden z napastników jest synem wziętego handlowca i uczęszcza do elitarnego liceum w Monzy. Inny to syn bankiera. Rodzice wszystkich pięciu, w tym Egipcjanina Ahmeda Atii, reprezentują typową klasę średnią Lombardii.

We wrześniu policja aresztowała w Mediolanie i okolicach 120 początkujących gangsterów. Znaleziono narkotyki, kilkaset zerwanych z szyj ofiar złotych łańcuszków i naszyjników, firmowe zegarki i ciemne okulary, a także kilkaset tysięcy euro. Niestety, jak dotąd sytuacja w Mediolanie się nie poprawiła.

Znawcy i badacze tematu wskazują, że „maranza" to coraz powszechniejsze zjawisko kryminalno-kulturowe. Młodzi gangsterzy mają swoją muzykę, rap lub trap, naturalnie swój dress code i slang. Zjawisko nie ogranicza się tylko do Mediolanu. Podobnie dzieje się w innych dużych miastach uprzemysłowionej północy, choćby w Turynie. Tam też rozrywkowe, historyczne centrum miasta, z ekskluzywnymi klubami, ostentacją bogactwa, przyciąga mirażem sukcesu młodzieżowe gangi z prowincji.

Ostatnio „maranza" gości często we włoskich telewizjach. Czemu noszą noże? Powiadają, że w samoobronie przed konkurencją. A czemu kradną zegarki, biżuterię, skutery i samochody? Rozbrajająca odpowiedź brzmi: „Bo nas na to nie stać, a jest nam potrzebne".

Nie lepiej w Neapolu. 15-latek zastrzelił 18-letniego dilera. W ramach porachunków mafijnych. To idzie młodość. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

DEKAMERONKI

Koniec wojny?

JERZY KARWELIS

Kurczę – i znowu przypominają się covidowe czasy. Pamiętacie, jak to było – nie to, że zamykaliśmy się na dwa–trzy tygodnie, a zeszło parę lat, ale chodzi o to, że im dłużej się męczyliśmy, tym bardziej wydawało nam się, że jak to się skończy, to będzie wielka radość, tłumy wylegną na ulicę, a losowe dziewczyny będą dawały na prawo i lewo buziaki, czy to żołnierzom, czy lekarzom. Nic takiego się nie stało.

Ja wiem – COVID się skończył właściwie wraz z rozpoczęciem wojny Rosji z Ukrainą, strach przeniósł się z jeźdźca Apokalipsy znanego jako zaraza na jeźdźca wojny. Może dlatego, kiedy minęło jeszcze sporo dni od tego faktu, COVID schodził już pokonany przez odwrócenie uwagi w inną stronę i dlatego, kiedy oficjalnie ogłoszono termin jego końca, nikt nie zwrócił na to uwagi.

Otóż kroi się powtórka – możliwe zakończenie tej wojny. Trump przedłożył (twarde dla Ukrainy) warunki pokoju, Zełenski się żachnął, ale je zaakceptował, Unia się obraziła, a Putin stwierdził, że się zastanowi. Tak czy siak, jesteśmy blisko końca tego starcia. I co? Widzą państwo jakieś objawy euforii? Że to się wszystko może skończyć i ludzie przestaną umierać w tej bezsensownej jatce? Gdzież tam – ja wszędzie słyszę głosy wręcz oburzenia, czyli dożyliśmy czasów, w których koniec wojny jest kontestowany z wielu stron. Czemu tak się dzieje?

Mówi się, że to nie będzie „sprawiedliwy pokój", że jego warunki są haniebne. A jakie mają być zalety warunków pokoju w przegranej wojnie? Przypomnieć należy, że elity europejskie, wcale niesiedzące w zimnych okopach, kontestowały do tej pory wszelkie porozumienia, jeśli te miałyby być wyrazem „niesprawiedliwego pokoju". Tylko że taki opór ciągnął ten konflikt coraz bardziej w kierunku przegranej Ukrainy, czyli pogarszał warunki pokojowego porozumienia na korzyść Rosji. Czyli elity europejskie (łącznie z naszymi, pszenno-buraczanymi) de facto wyszły na kremlowskie onuce, bo poduszczanie do kontynuowania tej wojny tylko pogarszało przyszłe warunki pokoju wobec Ukrainy.

To dlatego – zobaczycie – jak się ta wojna skończy, nikt nie będzie świętował tego pokoju. Nie dlatego, że padło wiele ofiar – jak się kończyła wielomilionowa hekatomba drugiej wojny światowej, to jednak była radość. Teraz będzie cisza, bo bardzo wiele grup interesów nie jest zainteresowanych końcem tego konfliktu. Huczne celebry końca takich zdarzeń skłaniają do niebezpiecznych podsumowań i tak jak w COVID, tak po tej wojnie większość jej uczestników nie jest zainteresowana wyciąganiem niebezpiecznych wniosków. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

REPUBLIKA

Pierwszy poranny wywiad Republiki
z czołowymi postaciami polskiej sceny politycznej
o bieżących wydarzenia z kraju i ze świata.

Zadaj pytanie do gościa na X
#PIERWSZAROZMOWADNIA

ANDRZEJ GAJCY

#PIERWSZA ROZMOWA DNIA

PONIEDZIAŁEK - PIĄTEK

6:50

w Republice

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 31386a225f

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Futra i miejsce w szeregu

Zaskakujące spory rodzą się, po raz kolejny, w łonie największej polskiej partii opozycyjnej. Tym, co podzieliło niedawno głosujących w Sejmie posłów PiS i podniosło obawy o konflikt partii z prezydentem Nawrockim, okazały się tzw. ustawy prozwierzęce. Spór, który w dobie geopolitycznych konwulsji mógłby wydać się sprawą drugorzędną, budzić ma przy ul. Nowogrodzkiej żywiołowe emocje. „Sytuacja na dziś jest taka, że prezes PiS mocno obawia się o decyzję prezydenta. Mówi wprost, że może nie być łatwo, bo jego zdaniem dostęp do Pałacu Prezydenckiego i ucha

Karola Nawrockiego mają rolnicy, ale organizacje prozwierzęce już nie" – twierdzi cytowana przez „Rzeczpospolitą" osoba z otoczenia prezesa Kaczyńskiego. Ma to być, zdaniem dziennikarzy „Rzeczpospolitej", pierwszy duży test dla relacji pomiędzy PiS a Pałacem Prezydenckim.

Sam prezydent Nawrocki, indagowany w tej sprawie przez tygodnik „Do Rzeczy", w sprawie ewentualnego weta uchylił się od odpowiedzi. „Jak przyjdzie moment decyzji, to z całą pewnością się nią podzielę. Bardzo poważnie podchodzę do wszystkich ustaw, a w szczególności do tych, które interesują opinię publiczną. Wsłuchuję się w głosy zwolenników i przeciwników" – powiedział prezydent.

Na decyzje polityków próbują wpłynąć celebryci. Modelka Joanna Krupa przypomniała o sobie ostatnio kameralnym, prywatnym spotkaniem z europosłem Dominikiem Tarczyńskim, o wdzięcznym przydomku Jenot. Europoseł zawdzięcza go sesji fotograficznej, do której dumnie pozował w stroju z ssaków psowatych. Joanna Krupa z kolei zasłynęła udziałem w rozbieranych sesjach fotograficznych oraz byciem twarzą i ciałem kampanii „Lepiej nago niż w futrze". Być może na gruncie tego stwierdzenia narodziła się pomiędzy obojgiem celebrytów spontaniczna wspólnota poglądów? Czy to znajomość z europosłem Tarczyńskim zainspirowała panią Joannę do wystąpienia „w imieniu zwierząt" z apelem do prezydenta Nawrockiego? „Polska jest krajem współczucia, odwagi i wartości. Podpisując tę ustawę, zapisze pan nasze państwo po właściwej stronie historii" – podkreśliła modelka, nieustępująca – jak widać – europosłowi Tarczyńskiemu pod względem instynktu państwowego.

Dotychczasowa postawa prezydenta Nawrockiego pozwala zachować nadzieje, że na apele egzaltowanych gwiazdeczek będzie on bardziej odporny niż jego poprzednik, Andrzej Duda. Kłopot w tym, że o podpisanie ustawy zaapelować do niego może nie tylko drugoplanowa aktoreczka z „Planety małp", lecz także dziecięcy gwiazdor filmu „O dwóch takich, co ukradli księżyc". Doświadczenia z brutalnym przepychaniem ustawy o „piątce dla zwierząt" w roku 2020 dają powody do obaw. Liczni politycy PiS zawiesili wtedy na kołku wszelkie racjonalne argumenty, kierując się jedynie bezwstydnym serwilizmem. Oto jak o „piątce dla zwierząt" mówił w wywiadzie zatytułowanym znamiennie „Trzeba znać swoje miejsce w szeregu" ówczesny wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego, Jarosław Sellin: „A na jednej z tych dwóch ustaw bardzo zależało Jarosławowi Kaczyńskiemu i trzeba było to uszanować. On jest liderem, który doprowadził do zjednoczenia prawicy i siedmiu zwycięstw wyborczych z rzędu. Od ćwierć wieku mówił o tym, że zależy mu na ustawie o dobrostanie zwierząt i lepszej ich ochronie. Każdy, kto go zna, powinien to uszanować. Lider też ma swoje polityczne marzenia i zasługuje na to, żeby mu pomóc w ich realizacji, a nie stawać okoniem".

Czy prezydent Nawrocki zdecyduje się „stanąć okoniem" czy też nawiąże do propagowanego przez Jarosława Sellina zwyczaju „spełniania marzeń lidera"? Podejmując swoje decyzje, pamiętać powinien, że po pierwszych miesiącach prezydentury darzy go zaufaniem aż 51,8 proc. Polaków, co czyni go w tym rankingu absolutnym liderem. Jarosławowi Kaczyńskiemu nie ufa natomiast aż 56,4 proc. rodaków, co, we wzbudzaniu nieufności, też daje miejsce na podium.

Decyzje o przyszłości polskiej branży futrzarskiej trzeba będzie niebawem podjąć. Warto przy tym pamiętać, że na lśniących i gładkich futerkach można się boleśnie poślizgnąć. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Zapomniana rocznica

Wśród wielu rocznic ważnych wydarzeń z historii Polski, które na ogół upamiętniamy, są takie, które cieszą, a także takie, które przypominają o naszych tragediach. Pamiętamy zatem o 1 września i 17 września 1939 r. Pamiętamy też o nieudanych powstaniach narodowych. Jedna rocznica, i to dość okrągła – co prawda z początku stycznia – jakoś ostatnio umknęła naszej uwadze. Chodzi o rocznicę podpisania traktatu między Austrią, Prusami i Rosją, na którego mocy ostatecznie zlikwidowano I Rzeczpospolitą.

Ostateczny rozbiór Rzeczypospolitej uzgodnili trzej zaborcy w cyniczny sposób w traktacie z 3 stycznia 1795 r. Takich mieliśmy sąsiadów. Warto pytać, czy może gwoli swojego „spokojnego życia" nie chodzi im i dziś po głowie coś podobnego

Jesienią 1794 r., po klęsce maciejowickiej i dostaniu się Tadeusza Kościuszki do niewoli, losy powstania kościuszkowskiego były już przesądzone. Wojska pruskie podeszły do linii Bzury, a armia gen. Aleksandra Suworowa uderzyła na Warszawę od wschodu. W obronie Pragi, którą dowodził gen. Józef Zajączek, zginęło parę tysięcy żołnierzy polskich, a po jej zdobyciu kilkanaście tysięcy ludności cywilnej, w tym kobiet i dzieci, zostało wymordowanych przez Rosjan. Rzeź Pragi przypieczętowała klęskę I Rzeczypospolitej. 9 listopada 1794 r. wojska Suworowa weszły do Warszawy. W wyniku upadku insurekcji kościuszkowskiej ok. 11 tys. jeńców polskich uwięziono i zesłano na Syberię.

Świadkiem rzezi Pragi był ks. Klemens Hofbauer, który zanotował: „Ciężkie nieszczęścia napełniły nas trwogą [...]. Po zdobyciu przedmieścia Praga zostało wymordowanych ponad 16 000 ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci. Musieliśmy patrzeć na te okrutne sceny, gdyż działo się to naprzeciw naszego domu. Jedynie Wisła przepływa pomiędzy tym przedmieściem a naszym domem, który stoi tuż nad brzegiem rzeki". Ksiądz Hofbauer upamiętnił się też jako organizator opieki nad dziećmi ofiar rzezi Pragi.

Ostateczny rozbiór Rzeczypospolitej uzgodnili trzej zaborcy w cyniczny sposób w traktacie z 3 stycznia 1795 r., zapisując: „Gdy usiłowania, które J.M. Cesarzowa zniewolona była podjąć, aby zgnieść i przytłumić rewoltę i powstanie, które wybuchło w Polsce w celach najbardziej zgubnych i groźnych dla spokoju mocarstw sąsiadujących z tem państwem, zostały uwieńczone skutkiem i Polska została zupełnie zawojowana i podbita przez armię Cesarzowej, wtedy Jej Ces. Mość, którą ufność, oparta na słuszności swej sprawy oraz na sile środków, przygotowanych przez Nią dla zapewnienia sobie triumfu, upoważniały do przewidywania takiego rezultatu – z góry porozumiała się ze swymi sprzymierzeńcami, tj. z J.M. Cesarzem Rzymskim [czyli austriackim – przyp. W.R.] i J.M. Królem Pruskim co do tego, jakich najbardziej skutecznych sposobów należy użyć, aby zapobiec ponowieniu się zamieszek, podobnych do tych, jakie stanowiły już groźbę dla słusznych Ich praw, a których zarody, wiecznie kiełkując w umysłach, przepojonych do głębi najbardziej przewrotnymi zasadami, niewątpliwie wystąpią ponownie prędzej czy później, jeżeli się temu nie zapobiegnie przez rząd silny i sprężysty. Owi dwaj Monarchowie, nabrawszy z doświadczenia przeszłości przekonania o zupełnej niezdolności Rzczpltej Polskiej do wytworzenia takiego dla siebie rządu i do spokojnego życia pod własnymi prawami przy zatrzymaniu jakiejkolwiek niepodległości, uznali w swej mądrości i w swej miłości pokoju i dobra swych poddanych, że jest rzeczą konieczną uciec się i przystąpić do zupełnego podziału owej Rzczpltej między trzy sąsiednie mocarstwa. Uwiadomiona o takim Ich sposobie myślenia Jej M. Cesarzowa Wszechrosji, widząc, że odpowiada on najzupełniej także Jej zapatrywaniu, postanowiła przystąpić bezzwłocznie najpierw z każdem z osobna wzmiankowanym Sprzymierzeńcem, a następnie łącznie z Oboma do ostatecznego załatwienia sprawy względem udziału, jaki każdemu z nich na mocy wspólnego postanowienia ma przypaść".

Takich mieliśmy sąsiadów. Warto pytać, czy może gwoli swojego „spokojnego życia" nie chodzi im i dziś po głowie coś podobnego. ©℗

[1] Za: Anna Radziwiłł, Wojciech Roszkowski, „Historia 1789–1871. Podręcznik dla szkół średnich", t. 1, Warszawa 2000, Wydawnictwo Szkolne PWN, s. 137.

eprasa.pl 31386a225f

ŻYDY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdybym w USA przeprowadził wywiad z Murzynem na temat Żydów, to nie dałoby się go opublikować w polskiej prasie. I nie chodzi o wulgaryzmy. Byłby to wywiad przeprowadzony normalnym językiem, a mimo to – zero szans na publikację z powodu TREŚCI, a nie formy.

Murzyni w USA otwarcie nie lubią Żydów. Nie kryją się z tym i mogą sobie na to pozwolić. Zero zahamowań i ograniczeń, bo skoro sami są czarni, czyli stanowią mniejszość ustawowo chronioną przed rasizmem, to nie będą karani za „mowę nienawiści" wobec innych. W tej sytuacji, gdy Murzyn jest rasistą, to to nie jest ani rasizm, ani jego wina. A gdy Murzyn jest antysemitą, to najlepiej, gdy będziemy omijali temat, bo nie wiadomo, co z tym robić.

***

Żydzi w USA uważają, że Murzyni to małpy, i nie muszą się z takim sądem kryć pod warunkiem, że są żydami ekstremalnymi, czyli ortodoksyjnymi. Chasydzi z pejsami, brodami, w chałatach – ci, którzy dla Polaka wyglądają jak statyści z filmu „Ziemia obiecana". Gdybym z takim typem Żyda przeprowadził wywiad o Murzynach, nie dałoby się tego wywiadu opublikować w polskiej prasie.

Obie grupy się nie cierpią, wypowiadają na swój temat oceny mocno obraźliwe i nikt sobie z tego nic nie robi. Dlatego obie te grupy pozostają w stosunkach w miarę poprawnych. Stosują autoapartheid. Żydowska matka byłaby głupia, gdyby posłała swoje żydowskie dziecko do dzielnicy pełnej „małp" – no przecież wiadomo, co te „małpy" zrobiłyby żydowskiemu dziecku. Z kolei Murzyni nie pchają się do dzielnicy żydowskiej. Autoapartheid.

Stosunki Murzynów z Żydami są otwarcie wrogie, niechętne, niemiłe, rasistowskie i dzięki temu POPRAWNE lub może lepiej powiedzieć: statyczne… Mój dziadek miał przed wojną dom na granicy Gdańska. Za płotem jego posesji mieszkał Niemiec. Jeden drugiego uważał za świnię, żaden się nie krył z osądem tego drugiego i dzięki tej otwartej niechęci stosunki między nimi były poprawne. Postawili sobie wysokie płoty, posadzili gęste żywopłoty, nie utrzymywali stosunków nawet na poziomie „dzień dobry", a sporadycznie pluli sobie pod nogi, gdy nadziali się na siebie przypadkiem. Unikali wzajemnego kontaktu, dzięki czemu na granicy ich posesji panował zimny pokój. Podobnie jest w Nowym Jorku na granicach pomiędzy obszarami, gdzie mieszkają czarni, a dzielnicą zasiedloną przez chasydów. Nie wchodzą sobie w drogę, a gdyby jakiś czarny polazł za daleko, żydowskie matki zaczną krzyczeć: Won stąd, małpo! Zrobią to w języku jidysz lub po hebrajsku.

***

Czy ktoś w Polsce lubi Żydów? Statystycznie – nikt. Liczba osób, które gotowe są szczerze przyznać, że lubią Żydów albo popierają Państwo Izrael, jest znikoma – statystycznie ZERO. W Polsce nawet polscy Żydzi nie lubią Żydów. Żyd Żyda zeżre – dowodów mamy wiele: Żydzi z ubecji prześladujący Żydów z opozycji itd. A potem jesteśmy oskarżani o antysemityzm, co jest BEZ SENSU, bo co innego nie lubić, a coś zupełnie innego być antysemitą. „Nie lubić" to kategoria uczuciowa lub estetyczna, a „antysemityzm" to działanie praktyczne i rasowe lub rasistowskie. Polacy nie są antysemitami. Polacy po prostu i zwyczajnie nie lubią Żydów. Kwestia uczuć. A na uczucia mają wpływ obie strony – nie lubimy kogoś, bo ten ktoś nie daje się lubić. Robi takie rzeczy, że jest dla nas odpychający. Statystyczny Polak ma wobec Żyda emocje negatywne i moim zdaniem to Żydzi dawno temu zapracowali na te nasze złe emocje. Zachowywali się wobec nas tak, jak obecnie Ukraińcy. Przyjmujesz kogoś w gościnę, a on się zachowuje, jakby był u siebie.

***

Dostałem następujący list:

„Szanowny Panie,

Trump… Trzymałem kciuki za jego zwycięstwo, czytałem książki, cieszyłem się ze zwycięstwa pierwszego i z drugiego. Wtedy bardzo go polubiłem. Ale jak mam rozumieć silne i głupie, w mojej opinii, wsparcie Trumpa i całej jego administracji dla Izraela? O ile w czasie pokoju uznałbym to za »interes« i już, to jednak w czasie gdy w Strefie Gazy ginęło mnóstwo cywili, nie byłem w stanie obok tego przejść obojętnie. Takie postępowanie administracji Trumpa, pomimo wielu innych sukcesów, jest dla mnie skandaliczne. Proszę o kilka słów wyjaśnienia, o co w tym wszystkim chodzi".

Pokazuję i objaśniam: Biali Amerykanie, a szczególnie protestanci, mają do Żydów i Izraela stosunek pozytywny; podobny do tego, jak myślą o Irlandczykach i Włochach. Mogą mieć w pamięci jakieś niedobre doświadczenia w obcowaniu z Włochami – no np. Al Capone i mafia – ale ogólnie lubią Włochów. Irlandczyków też lubią, choć jednocześnie wiedzą, że Irlandczyk bywa agresywny i organizuje pijackie burdy w mieście.

Aby zrozumieć, jak biali Amerykanie lub sam Trump oceniają sprawę Gazy, proszę podmienić słowo „Żyd" na „Irlandczyk". Terroryści dokonali masowego mordu na niewinnych Irlandczykach bawiących się na koncercie. Mordowali niewinnych ludzi, filmowali sceny gwałtów na cywilach, a niektórych Irlandczyków porwali i trzymali w podziemnych bunkrach jako zakładników.

Czego w takiej sytuacji oczekujemy od Irlandczyków lub czego się po nich spodziewamy? Że zniosą to wszystko po cichu? Czy raczej będziemy kibicować Irlandczykom, gdy pojadą rozwalić terrorystów i nie spoczną do czasu odbicia siłą ostatniego uwięzionego rodaka? Tak biali Amerykanie oceniają działania Izraela w Gazie – akcja wojenna mająca na celu odzyskanie zakładników. To kwestia emocji i solidarności. Biali Amerykanie mają do Żyda, Irlandczyka czy Włocha stosunek przyjazny, za to do terrorystów muzułmańskich mają stosunek zdefiniowany 11 września. Z Żydami czują więź kulturową, biblijną, a Palestyńczycy to poganie i barbarzyńcy, czyli obcy. ©℗

eprasa.pl 31386a225f

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

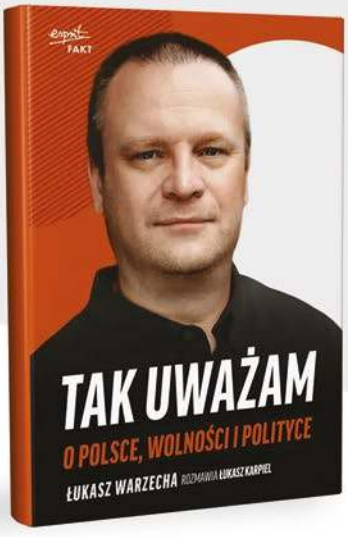

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ŁUKASZ WARZECHA, ROZMAWIA ŁUKASZ KARPIEL: „TAK UWAŻAM. O POLSCE, WOLNOŚCI I POLITYCE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1003~~ZŁ

517,00ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 486ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 31386a225f

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl 31386a225f